

Erskine Caldwell

Poletko Pana Boga

(Przełożył Bronisław Zieliński)

Rozdział 1

Kilka jardów podkopanego piasku i gliny zerwało się u krawędzi i osunęło na dno dołu. Tay Tay Walden tak się rozżłościł na ten widok, że znieruchomiał z kilofem w rękach, po kolana w czerwonej ziemi, i zaczął kląć na czym świat stoi. Ale jego synowie i tak już chcieli przerwać pracę. Było późne popołudnie, a od świtu tkwili tam, wyrzucając ziemię z wielkiego wykopu.

— Dłaczego, u diabła starego, ten piach musiał się oberwać akurat, jakeśmy dokopywali się głębiej? — powiedział Tay Tay, łypiąc na Shawa i Bucka. — Co to za los!

Zanim któryś zdążył odpowiedzieć ojcu, ten ścisnął oburącz trzonek kilofa i smyrgnął nim z całej siły o ścianę wykopu. Na tym poprzestał; ale czasem w podobnych wypadkach ogarniała go taka pasja, że łapał kij i grzmocił nim ziemię, póki nie opadł z sił.

Buck, przytrzymując się rękami za kolana, wyciągnął nogi z sypkiej ziemi, po czym usiadł, aby wytrząsnąć z trzewików piasek i żwir. Rozmyślał o całej tej wielkiej kupie piachu, którą trzeba będzie wybrać i wynieść z dołu, zanim znów wezmą się do kopania.

— Pora zacząć nowy dół — powiedział Shaw do ojca. — Już blisko od dwóch miesięcy ryjemy w tej dziurze i nie trafiło się nam nic, prócz ciężkiej harówki. Mam dosyć tego dołu. Nic z niego nie wydostaniemy, choćbyśmy się dokopali nie wiadomo jak głęboko.

Tay Tay usiadł i zaczął wachlować kapeluszem rozgrzaną twarz. W wykopie brakowało powietrza i było gorąco jak w kotle z wołowiną.

— Z wami, chłopaki, jest ta bieda, że nie macie takiej cierpliwości jak ja — powiedział, wachlując i ocierając sobie twarz. — Kopię w tej ziemi prawie od piętnastu lat i mam zamiar kopać drugie piętnaście, jeżeli będzie trzeba. Ale coś czuję, że wcale nie będzie trzeba. Widzi mi się, że już niedługo nam się to opłaci. Czuję to w kościach. Nie można zaraz wszystkiego rzucać i kopać gdzie indziej, jak tylko trochę tej ziemi oberwie się z wierzchu i zleci. Nie byłoby żadnego sensu zaczynać za każdym razem nowego dołu. Musimy ryć dalej, jak gdyby nigdy nic. Tylko tak można coś zrobić. Wy, chłopaki, zanadto się niecierpliwicie drobiazgami.

— Cholera tam, niecierpliwicie! — odparł Buck, spluwając na czerwoną glinę. — Nie potrzeba nam cierpliwości, potrzeba nam odgadywacza. Ojciec, mógłbyś już zmańdrzeć i nie kopać bez niego.

— Znowu zaczynasz gadać jak te Murzyny, synu — odpowiedział z rezygnacją Tay Tay. — Powinieneś mieć tyle oleju w głowie, żeby ich nie słuchać. To jest przesąd, nic innego. Weź na przykład mnie. Ja pracuję naukowo. Jakby kto słuchał tego, co mówią czarnuchy, toby pomyślał, że mają więcej rozumu ode mnie. A oni tylko potrafią głądzić o różnych odgadywaczach i czarodziejach.

Shaw podniósł łopatę i zaczął wdrapywać się na górę.

— No, ja w każdym razie na dzisiaj kończę — oświadczył. — Chcę jechać wieczorem do miasta.

— Zawsze rzucasz robotę w środku dnia, żeby się zbierać do miasta — powiedział Tay Tay. — W ten sposób nigdy się nie wzbogacisz. A w mieście tylko pokręcisz się trochę przy bilardzie i zaraz lecisz za jakąś babą. Gdybyś posiedział w domu, przynajmniej doszłoby się do czegoś.

W pół drogi do wierzchu wykopu Shaw począł pełznąć na czworakach, aby nie zsunąć się w tył. Patrzyli, jak wlaził coraz wyżej i wreszcie stanął na górze.

— Do kogo on tak często jeździ? — zapytał Tay Tay drugiego syna. — Narobi sobie nieszczęścia,

jeżeli nie będzie uważał. Shaw jeszcze nie zna kobiet. Dostanie od nich jakiego paskudztwa i połapie się dopiero, jak już będzie za późno.

Buck siedział w wykopie naprzeciw ojca i kruszył w palcach zeschniętą glinę.

— A bo ja wiem — odrzekł: — Chyba do nikogo w szczególności. Wciąż słyszę, że ma jakąś nową dziewczuchę. Podoba mu się każda, co nosi kieckę.

— Czemu, u diabła starego, nie może odczepić się od tych kobit? Nie ma żadnego sensu, żeby człowiek co dzień ganiał gzić się jak rok długi. Te baby wyniszcza go na wiór. Za moich młodych lat nigdy tak nie wyprawiałem z kobitami. Co go napadło? Powinno mu wystarczyć, że siedzi w domu i patrzy sobie na nasze dziewczuchy.

— Mnie ojciec nie pytaj. Guzik mnie obchodzi, co on tam robi w mieście.

Shawa nie było widać już od paru minut, ale nagle ukazał się na górze i zawołał do ojca. Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

— A co tam, synu? — zapytał Tay Tay.

— Jakiś gość idzie tu polem od domu, tato — odparł.

Tay Tay wstał, rozglądając się na wszystkie strony, jak gdyby mógł coś zobaczyć ponad krawędzią wykopu znajdującą się o dwadzieścia stóp wyżej.

— Co to za jeden, synu? Czego on tu chce?

— Jeszcze nie mogę poznać — odparł Shaw. — Ale wygląda jak ktoś z miasta. Ubrany jest po miejsku.

Buck z ojcem pozbierali kilofy i łopaty, po czym wyleźli z dołu.

Gdy wydostali się na wierzch, ujrzeni tłustego mężczyznę, brnącego ku nim z trudem przez wyboiste pole. Szedł wolno z powodu upału, a jego bladoniebieska koszula przyklepiona była do złanej potem piersi i brzucha. Bezradnie potykał się na nierównym gruncie, bo z powodu otyłości nie mógł dojrzeć własnych stóp.

Tay Tay pomachał ręką.

— Przecież to Pluto Swint — powiedział. — Ciekawe, czego on tu chce.

— Nie poznałem go, taki wystrojony — rzekł Shaw. — W ogóle bym go nie poznał.

— A, pęta się nie wiadomo po co — odpowiedział ojcu Buck. — Odkąd go znam, zawsze to samo.

Pluto podszedł do nich, po czym wszyscy zasiedli w cieniu dębu.

— Ale upał! — powiedział Pluto, zwalając się na ziemię. — Jak się macie, chłopaki! Co u was słyhać, Tay Tay? Powinniście zrobić dojazd do tych dołów, tobym mógł dostać się tu autem. Chyba jeszcze nie skończyliście na dzisiaj, co?

— Trzeba ci było poczekać w mieście, aż się pod wieczór ochłodzi, i dopiero do nas przyjechać — rzekł Tay Tay.

— Ano, chciałem się z wami zobaczyć.

— Gorąco, nie?

— Jeżeli inni mogą wytrzymać, to chyba i ja wytrzymam. No, jak wam idzie?

— Nie narzekam — odparł Tay Tay.

Pluto oparł się plecami o pień dębu i dyszał jak pies goniący za królikami w upalne lato. Pot ściekał mu po pulchnej twarzy i szyi i kapał na bladoniebieską koszulę, przyciemniając ją o kilka tonów. Pluto siedział tak chwilę, zbyt wyczerpany i zgrzany, by się poruszać czy mówić.

Buck i Shaw skręcili i zapalili papierosy.

— Więc nie narzekacie? — odezwał się Pluto. — No, to już Bogu dziękować. Dzisiaj dość jest powodów do narzekania, jeżeli człowiek ma ochotę trochę pobiadolić. Uprawa bawełny już się nie opłaca, a Murzyny zzerają każdy arbuz, jak tylko dojrzeje na krzaku. W dzisiejszych czasach nie ma wielkiego sensu gospodarować. Ja w każdym razie nigdy nie nadawałem się na rolnika.

Przeciagnął się i założył ręce pod głowę. W cieniu poczuł się trochę lepiej.

— Trafiło wam się coś ostatnio? — zapytał.

— Iii, nic takiego — odrzekł Tay Tay. — Chłopaki mnie gnębią, żeby zacząć nowy dół, ale się jeszcze nie zdecydował. Wkopaliśmy się tu na dwadzieścia stóp i boki zaczynają się zawalać. Właściwie można by trochę pokopać gdzie indziej. Nowy dół nie będzie gorszy od starego.

— Bo wam potrzeba do pomocy albinosa — powiedział Pluto. — Mówią, że bez albinosa człowiek ma tyle szans co kula śniegu w piekle.

Tay Tay wyprostował się i spojrzał na niego.

— Bez czego, Pluto?

— Bez albinosa.

— A co to jest albinos, u diabła starego? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Skądęś to wytrzasnął?

— Przecież wiecie, o czym mówię. Już wam o tym opowiadali.

— W takim razie zupełnie mi to wyleciało z głowy.

— To takie facety całe białe, co wyglądają, jakby byli zrobieni z kredy albo z czegoś innego białego. Albinos to jest właśnie taki. Podobno wszystko ma białe: włosy, oczy i w ogóle.

— Aha — powiedział Tay Tay, opierając się znowu o drzewo. — Z początku nie mogłem wymiarkować, o czym mówisz. No pewnie, że wiem, o co ci idzie. Słyszałem, jak o tym gadali Murzyni, ale nie zwracam uwagi, co plotą czarni. Może by zresztą przydał mi się taki, gdyby było wiadomo, gdzie go znaleźć. Nigdy w życiu nie widziałem na oczy podobnego stworzaka.

— Wam potrzeba tu albinosa.

— Zawsze powtarzałem, że nie dam się nabrać na te przesady i czarodziejstwa, ale tak sobie myślę, że przydałby się nam taki albinos. Tylko, rozumiesz, ja cały czas pracuję naukowo. Nie chcę mieć nic wspólnego z czarami. W to jedno nie będę się bawił. Wolałbym spać w łóżku z grzechotnikiem, niż się wygłupiać z jakimś tam czarodziejem.

— Ktoś mi mówił, że parę dni temu widział albinosa — rzekł Pluto. — To fakt.

— A gdzie? — zapytał Tay Tay, zrywając się na równe nogi. — Gdzie on go widział, Pluto? Może gdzieś niedaleko, co?

— Bodajże w dolnej części okręgu. Nie tak bardzo daleko. Wystarczyłoby wam najwyżej dziesięć albo dwanaście godzin, żeby pojechać i przywieźć go tutaj. Nie myślę, żebyście mieli trudności ze złapaniem tego faceta, ale nie zaszkodziłoby trochę go związać przed powrotem. On mieszka na moczarach i może by mu się nie podobało na twardym gruncie.

Shaw i Buck podsunęli się bliżej do drzewa, pod którym siedział Pluto.

— Prawdziwy albinos, jak Bóg przykazał? — zapytał Shaw.

— Prawdziwy jak słońce na niebie.

— Taki, co żyje i chodzi?

— Tak mi mówił tamten gość — odparł Pluto. — To fakt.

— A gdzie on teraz jest? — pytał Buck. — Łatwo można go złapać?

— Nie wiem, czy go łatwo złapiecie, moi kochani, bo może trzeba będzie ogromnie długo go przekonywać, żeby się przeniósł tutaj, na twarde grunto. Ale chyba sami wiecie, jak się do niego zabrać.

— Zwiążemy go — rzekł Buck.

— Nie chciałem tego mówić, aleście zgadli, co miałem na myśli. Z zasady nie chodzę po ludziach i nie doradzam, żeby łamali prawo, a jak już o tym napomknę, to wolę, żeby mnie nie mieszały w takie rzeczy.

— A duży on jest? — zapytał Shaw.

— Ten gość nie pamiętał.

— Chyba nie za mały, żeby zrobić coś pożytecznego — powiedział Tay Tay.

— Na pewno. I zresztą tu nie wzrost się liczy, a ta białość, Tay Tay.

— Jak on się nazywa?

— Ten gość też nie pamiętał. To fakt.

Tay Tay ułamał podwójną prymkę tytoniu do żucia i podciągnął szelki. Zaczął przechadzać się w cieniu tam i z powrotem, nie odrywając oczu od ziemi. Był zbyt podniecony, aby usiedzieć dłużej na miejscu.

— Chłopaki — odezwał się, krocząc tak przed nimi. — Znowu mnie chwyciła gorączka złota. Idźcie do domu i przyszykujcie samochód do drogi. Sprawdźcie, czy opony są porządnie, twardo napompowane, i nalejcie pełną chłodnicę wody. Zaraz jedziemy.

— Po albinosa, ojciec? — zapytał Buck.

— Ogromnie jesteś sprytny, synu — odparł, przyśpieszając kroku. — Dostaniemy tego bielasa, choćbym miał sobie flaki wypruć. Tylko że nie będzie w tym wszystkim żadnych czarodziejstw i hokus-pokusów. Weźmiemy się do rzeczy naukowo.

Buck zaraz ruszył ku domowi, natomiast Shaw zawrócił do nich.

— No, a co będzie z żywnością dla Murzynów, ojciec? — zapytał. — Czarny Sam mówił w obiad, że już mu się skończyło mięso i mąka kukurydziana, a Wuj Feliks gadał, że nie miał co jeść na śniadanie. Prosił mnie, żebym aby na pewno powiedział o tym ojcu, bo chcą coś dostać na kolację. Obaj mieli gęby porządnie zapadnięte.

— Słuchaj no, synu, wiesz doskonale, że nie mam czasu martwić się o jedzenie dla czarnuchów — powiedział Tay Tay. — Dlaczego, u diabła starego, zwracasz mi głowę, akurat jak jestem najbardziej zajęty i zbieram się, żeby jechać po tego bielasa? Musimy zdążyć na moczary i złapać albinosa, zanim zwieje. Powiedz Czarnemu Samowi i Wujowi Feliksowi, że coś im dam do ugotowania, jak tylko znajdziemy albinosa i przywieziemy go tutaj.

Shaw nadal nie odchodził. Zaczekał jeszcze parę minut, zerkając na ojca.

— Czarny Sam powiedział, że jak ojciec mu nie da szybko żarcia, to zarżnie i zje tego muła, którym orze. Pokazywał mi dzisiaj rano brzuch. Zapadł mu się pod zebra.

— Idź powiedzieć Czarnemu Samowi, że jakby zabił i zjadł tego muła, wezmę się do niego i złożę mu tyłek na miazgę. Nie pozwolę, żeby w takiej chwili smoluchy zawracały mi głowę żarciem. Powiedz Czarnemu Samowi, że ma zamknąć pysk, zostawić tego starego muła w spokoju i orać pod bawełnę.

— Powiem — odparł Shaw — ale on pewnie i tak zje tego muła. Mówił, że jest strasznie głodny, i nie wiadomo, co mu niedługo strzeli do głowy.

— Powtórz mu, co powiedziałem. Zajmę się nim, jak przytaskamy tego albinosa.

Shaw wzruszył ramionami i poszedł do domu za Buckiem.

Na drugim końcu pola dwaj Murzyni zaorywali nowiznę. Na farmie zostało już niewiele ziemi pod uprawę. Piętnaście czy dwadzieścia akrów usianych było dołami głębokimi od dziesięciu do trzydziestu stóp i dwa razy szerszymi. Ze dwadzieścia pięć akrów nowizny wykarczowano na wiosnę pod uprawę bawełny. Gdyby nie to, nie starczyłoby tego roku gruntu do obrabiania dla dwóch czarnych parobków. Rok po roku malała powierzchnia ziemi uprawnej, w miarę jak mnożyły się wielkie wykopy. Jesienią przyszłoby zapewne kopać je na nowiznie albo pod samym domem.

Pluto odkrajał świeży kawałek złotego tytoniu do zucia z podłużnej, prasowanej cegielki, którą nosił w tylnej kieszeni spodni.

— Skąd wy wiecie, Tay Tay, że w tej ziemi jest złoto? — zapytał. — Kopiecie tu od piętnastu lat i jeszcze nie natrafiliście na żyłę, prawda?

— Już teraz niedługo, Pluto. Trafimy na pewno, jak tylko będziemy mieli tego białego faceta, bo on odgadnie miejsce. Czuję to wyraźnie w kościach.

— Ale skąd wiecie, że złoto w ogóle jest w ziemi na tej farmie? Kopiecie nie wiadomo odkąd, a jeszczeście nic nie znaleźli. Wszyscy stąd aż do rzeki Savannah gadają o złocie, tylko że nikt go nie widział.

— Ciebie trudno przekonać, Pluto.

— Bo go też nie widziałem — odrzekł. — To fakt.

— No, właściwie mówiąc, jeszcze nie trafiłem na żyłę — powiedział Tay Tay — ale już jesteśmy diabelnie blisko. Czuję w kościach, że robi się "gorąco". Mój ojczulek mówił mi, że w tej ziemi jest złoto, to samo gadają wszyscy w Georgii, a nie dalej jak na zeszłe Boże Narodzenie chłopaki wykopały bryłkę wielką jak spore jajko. To dla mnie murowany dowód, że złoto tu jest, i mam zamiar dobrać się do niego przed śmiercią. Ani mi się śni przerywać szukania. Wiem doskonale, że jeżeli nam się uda znaleźć tego albinosa i ściągnąć go tutaj, to natrafimy na żyłę. Podobno czarnuchy wciąż szukają złota po całej okolicy, nawet w Auguście, a to najlepszy znak, że złoto gdzieś jest.

Pluto ściągnął usta i plunął strumieniem złotożółtego soku tytoniowego na jaszczurkę, która siedziała pod spróchniałą gałęzią o dziesięć stóp od niego. Wycelował bezbłędnie. Szkarłatna jaszczurka pierzchła jednym susem, z oczami piekącymi od soku tytoniowego.

Rozdział 2

— Czy ja wiem — mówił Pluto, wypatrując ponad noskami butów innego celu do oplucia. — Czy ja wiem. Coś mi się zdaje, że to strata czasu kopać te wielkie dziury i szukać w nich złota. Ale może to dlatego, że jestem leniwy. Gdybym miał gorączkę złota jak wy, pewnie bym też tu wszystko porozkopywał. Tylko że ta gorączka jakoś się mnie nie ima, tak jak was wszystkich. Mogę jej się pozbyć, jak tylko trochę posiedzę i pomyślę.

— Kiedy dostaniesz porządnej, uczciwej gorączki złota, Pluto, nie otrząsniesz się z niej za nic w świecie. Może powinieneś się cieszyć, że jej nie masz. Teraz, jak już mi wlała w krew, wcale tego nie żałuję, ale bo też nie jestem podobny do ciebie. Człowiek nie może być leniwy i jednocześnie mieć gorączkę. Bo to go zaraz podrywa i gna do roboty.

— Ja tam nie mam czasu na rycie w ziemi — rzekł Pluto. — Po prostu nie mam czasu.

— Gdybyś dostał gorączki, nie miałbyś czasu na nic innego — powiedział Tay Tay. — To człowieka wciąga zupełnie jak picie albo ganiecie za kobitami. Jak w tym zasmakujesz, nie potrafisz usiedzieć na miejscu i czekać, aż będzie jeszcze gorzej. Bo to się ciągle robi coraz mocniejsze i mocniejsze.

— Zdaje mi się, że teraz rozumiem trochę lepiej — odrzekł Pluto. — Ale w dalszym ciągu nie mam gorączki.

— I widzi mi się, że nie dostaniesz, póki się nie odchudzisz, żebyś mógł krzynekę popracować.

— Moja tusza mi nie przeszkadza. Czasami nie jest z tym wygodnie, ale jakoś daję sobie radę.

Pluto splunął w lewo na chybił trafił. Jaszczurka nie wróciła, a nie mógł sobie znaleźć innego celu.

— Jedyne moje zmartwienie, to że nie wszystkie dzieci chcą przy mnie siedzieć i pomagać — powiedział z wolna Tay Tay. — Buck i Shaw owszem, pomagają, i żona Bucka także, i Miła Jill, ale druga dziewczyna wyjechała do Augusty, dostała pracę w tej przędzalni nad rzeką w Dolinie Horse Creek i wyszła za męża, no a o Jimie Leslie pewnie słyszałeś, więc nic nie potrzebuję ci mówić. Zrobił tam w mieście karierę i teraz jest bogaty jak mało kto.

— Tak, tak — potwierdził Pluto.

— Jimowi coś strzeliło do głowy już dawno. Nie chciał mieć z nami nic wspólnego i dalej nie chce. Teraz tak się zachowuje, jakby nie wiedział, co ja jestem za jeden. Kiedyś przed samą śmiercią matki zawiozłem ją do miasta, do niego. Mówiła, że zanim umrze, chce jeszcze choć raz zobaczyć syna. Więc ją tam zabrałem i zaprowadziłem do jego wielkiego białego domu na Wzgórzu, ale kiedy zobaczył, kto stoi pod drzwiami, zamknął się i nie chciał nas wpuścić. Pewnie przez to matka i prędkiej umarła, bo się rozchorowała i skołała, nim minął tydzień. To było tak, jakby się nas wstydził albo co. I dalej jest to samo. Ale moja druga córka nie taka. Ta jest podobna do nas wszystkich. Zawsze się cieszy, jak przyjedziemy do Doliny Horse Creek z wizytą. Wciąż powtarzam, że Rozamunda to bardzo fajna dziewczyna. A Jim Leslie — no, o nim nie mogę tego powiedzieć. Ile razy go spotkam w mieście na ulicy, odwraca głowę w inną stronę. Całkiem jakby się mnie wstydził. Nie mogę zrozumieć dlaczego, bo przecież jestem jego ojciec.

— Tak, tak — powiedział Pluto.

— Nie wiem, czemu mój starszy chłopak miałby się tak odwracać. Przez całe życie byłem religijny. Zawsze postępowałem najuczciwiej, jak mogłem, żeby tam nie wiem co, i próbowałem nauczyć tego samego

moich synów i moje córki. Widzisz ten kawałek ziemi, o tam, Pluto? No, więc to jest poletko Pana Boga. Dwadzieścia siedem lat temu, jakem kupił tę farmę, przeznaczyłem jeden akr gruntu dla Pana Boga i co roku oddaję na kościół wszystko, co z tego kawałka zbiorę. Jeżeli to jest bawełna, oddaję na kościół wszystkie pieniądze, jakie za nią dostanę na targu. To samo ze świniami, jak je hoduję, albo z kukurydzą, kiedy ją posadzę. To jest poletko Pana Boga, Pluto. Dumny jestem, że chociaż niewiele mam, przecież dzielię się tym z Panem Bogiem.

— A co tam rośnie w tym roku?

— Co rośnie? A nic. Najwyżej trochę mleczków i łopuchów. Bo po prostu nie miałem czasu zasadzić bawełny tego roku. Ja, moje chłopaki i te dwa czarnuchy tacyśmy byli zajęci czym innym, że na razie musiałem zostawić odłogiem.

Pluto uniósł się i spojrzął nad polem ku lasom sosnowym. Wszędzie piętrzyły się tak ogromne usypiska wykopanego piasku i gliny, że nie włącząc na drzewo, trudno było sięgnąć wzrokiem dalej niż na sto jardów.

— Powiadacie, że gdzie jest to poletko, Tay Tay?

— O tam, pod lasem. Stąd nie widać.

— A dlaczegoście je aż tam umieścili? Czy to nie trochę zanadto na uboczu, Tay Tay?

— Wiesz, ja ci coś powiem, Pluto. Ono nie zawsze było tam, gdzie teraz. Przez te dwadzieścia siedem lat musiałem je przesuwać wiele razy. Jak chłopaki zaczną uradzać, gdzie by tu kopać na nowo, zawsze jakoś wypada na poletko Pana Boga. Sam nie wiem dlaczego. A ja jestem przeciwny kopaniu na Jego gruncie, więc muszę ciągle je gdzieś przenosić po całej farmie, żeby go nie rozkopywać.

— A nie boicie się, że możecie akuratnie tam trafić na żyłę, Tay Tay?

— Nie, tego nie powiem, ale za nic bym nie chciał znaleźć tej żyły na panaboskim poletku, bo potem musiałbym wszystko oddać na kościół. Pastor i tak ma, co mu potrzeba. Okropnie bym nie chciał oddać mu całego złota. Na to nie mógłbym pójść, Pluto.

Tay Tay podniósł głowę i popatrzył na usiane dołami pole. W pewnym punkcie mógł sięgnąć wzrokiem między kopcami ziemi na odległość bez mała ćwierć mili w linii prostej. Tam, na nowiznie, Czarny Sam i Wuj Feliks orali pod bawełnę. Tay Tay zawsze starał się mieć na nich oko, gdyż zdawał sobie sprawę, że jeśli nie uprawią bawełny i kukurydzy, nie będzie wcale pieniędzy, a mało co do jedzenia na jesień i zimę. Murzynów trzeba było ciągle pilnować, bo inaczej wymykali się przy pierwszej sposobności i kopali doły za swymi chatkami.

— Chciałbym was o coś zapytać, Tay Tay.

— Po to przyjechałeś tu w taki upał?

— Aha. Chciałem was spytać.

— No, co ci tam leży na sercu, Pluto? Wal śmiało i pytaj.

— Chodzi o waszą córkę — powiedział niepewnie Pluto, połykając przypadkiem trochę soku tytoniowego.

— O Miłą Jill?

— Aha. Właśnie w tej sprawie przyjechałem.

— No więc czego chcesz, Pluto?

Pluto wyjął z ust prymkę i odrzucił ją na bok. Odkasznął, aby pozbyć się z gardła smaku żółtego tytoniu.

— Chciałbym się z nią ożenić.

— Chciałbyś, Pluto? Poważnie?

— Jak Boga kocham, Tay Tay. Dałbym sobie uciąć prawą rękę, żeby się z nią ożenić.

— Wpadła ci w oko dziewczyna?

— Jak Boga kocham, że tak — odparł. — To fakt.

Tay Tay zastanowił się chwilę, rad, że jego najmłodsza tak wczesnie spodobała się mężczyźnie, który miał poważne zamiary.

— Nie warto odcinać sobie ręki, Pluto. Po prostu weź i ożeń się z nią, jak będzie gotowa. Może zgodzisz się zostawić ją tu przez jakiś czas po ślubie, żeby nam pomogła przy kopaniu, a może i sam przyjedziesz trochę pomóc. Im więcej będziemy mieli pomocy, tym prędzej trafimy na tę żyłę. Na pewno nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby trochę pokopać, jakbyś już był w rodzinie.

— Nigdy nie miałem wielkiej smykałki do kopania — powiedział Pluto. — To fakt.

— No, nie będziemy teraz o tym gadali. Starczy czasu, jak już się pobierzecie.

Pluto czuł, że krew ciśnie mu się do twarzy. Wyjął chustkę i długo ocierał sobie policzki.

— Tylko że jest jedna rzecz...

— A co takiego, Pluto?

— Miła Jill mówi, że jej się nie podobam z takim tłustym brzuchem. A ja na to nie mam żadnej rady.

— Co, u diabła starego, ma tutaj do rzeczy twój brzuch? — powiedział Tay Tay. — Jill jest czasem trochę stuknięta, Pluto. Nie zwracaj uwagi na to, co mówi. Po prostu ożeń się i nie myśl o tym. Będzie zadowolona, jak ją gdzieś zabierzesz na jakiś czas. Często coś jej strzela do głowy bez żadnego powodu.

— I jeszcze jedno — rzekł Pluto, odwracając twarz.

— A mianowicie?

— Nieprzyjemnie mi o tym gadać.

— Mów śmiało, Pluto, bo jak powiesz, skończysz z tym i już cię nie będzie więcej trapiło.

— Słyszałem, że czasem za dużo sobie pozwala.

— Na ten przykład, co?

— No, mówili mi, że się przekomarza i figluje z całą kupą chłopców.

— Coś gadali na moją córkę, Pluto?

— No tak, na Miłą Jill.

— I co mówili?

— Nic takiego, tyle że za dużo figluje z mężczyznami.

— Ogromnie jestem kontent, jak słyszę coś podobnego. Miła Jill jest najmłodsza z rodziny i dopiero teraz dorasta. Bardzo się cieszę, że to mówisz.

— Ale powinna dać spokój, bo ja chcę się z nią ożenić.

— Nic nie szkodzi, Pluto — powiedział Tay Tay. — Nie zwracaj na to uwagi. Pewnie, nieopatrzna z niej dziewczyna, ale nie robi nic złego. Już taka jest. Jej to nic nie zaszkodzi, przynajmniej nie na tyle, żeby było o czym gadać. Widzi mi się, że wiele kobiet wyprawia mniej albo więcej to samo, zależnie od natury. Miła Jill lubi trochę się przekomarzać z chłopem, ale w gruncie rzeczy nie robi nic strasznego. Na taką ładną dziewczynę każdy leci i ona o tym wie. Twoja sprawa, żebyś ją zadowolił, bo jak jej będzie dobrze, puści kantem wszystkich prócz ciebie jednego. Dlatego tak się dzieje, że już teraz dorosła, a nie znalazł się chłop, który by ją przytrzymał.

Ale ty potrafisz ją zadowolić, widzę to po twoich oczach, Pluto. Nie zwracaj tym sobie głowy.

— Bo to szkoda, że Pan Bóg nie może stworzyć takiej kobiety jak Miła Jill i przestać, zanim posunie się za daleko. Tak właśnie zdarzyło Mu się z nią. Zrobił coś udanego i nie wiedział, kiedy już skończyć. Robił dalej i dalej, no i proszę, co z tego wyszło! Tyle w niej jest tych figłów, że pewnie nie prześpię spokojnie ani jednej nocy, jak już się pobierzemy.

— No, może to i wina Pana Boga, że nie wiedział, kiedy przerwać, ale przecież Jill nie jest jedyna stworzona w ten sposób. Za moich czasów trafiały się takie na pęczki. Nie trzeba by mi chodzić tysiąc mil od domu, żeby je znaleźć. Weź choćby żonę Bucka. Oświadczam ci, że nie wiem, co myśleć o takiej pięknej dziewczynie jak Gryzelda.

— Tak wam się zdaje, Tay Tay, ale ja tam nie wiem, jak to może być. Widziałem dużo kobiet trochę podobnych do Jill, ale ani jednej tak postrzelonej. Nie chciałbym, żeby ciągle ganiała samopas, kiedy już zostanie szeryfem. To nie wyszłoby na dobre mojej karierze politycznej. O tym muszę pamiętać.

— Jeszcze cię nie wybrali na szeryfa, Pluto.

— Nie, jeszcze nie, ale wszystko na to wskazuje. Mam sporo przyjaciół, którzy pracują dla mnie dzień i noc w całym okręgu. Jeżeli ktoś nie wejdzie mi w paradę, dostanę urząd bez żadnej trudności.

— Powiedz tym przyjaciołom, żeby tu do mnie nie przyjeżdżali. Masz zapewniony mój głos i głosy nas wszystkich. Niech aby żaden z tych twoich ludzi nie pcha się tutaj i nie próbuje ścisnąć rąk wszystkim na farmie. Powiadam ci, że tego lata było u nas ze stu kandydatów co najmniej. Z żadnym nie chciałem się wyściskować i powiedziałem chłopakom, Jill i Gryzeldzie, żeby też nie pozwalali. Chyba nie potrzebuję ci mówić, dlaczego nie chcę widzieć u siebie kandydatów. Niektórzy roznoszą parchy na wszystkie strony, i nie pozbędziemy się tego przez siedem długich lat. Nie mówię, że ty masz parchy, ale kupa kandydatów ma. Tej jesieni i zimy tyle przypadków zdarzy się w całym okręgu, że przez siedem lat strach będzie jeździć do miasta.

— Gdyby nie ciężkie czasy, nie byłoby tylu kandydatów na te kilka wolnych urzędów. Ciężkie czasy wyciągają na wierzch kandydatów niczym ług pchły z psiej sierści.

Na podwórku przed domem Buck i Shaw wytoczyli wóz z garażu i pompowali opony. Żona Bucka, Gryzelda, rozmawiała z nimi, stojąc w cieniu ganku. Miłej Jill nie było nigdzie widać.

— No, trzeba się już zbierać — powiedział Pluto. — Bardzo się dziś zapóźniłem. Przed zachodem słońca muszę jeszcze odwiedzić wszystkich wyborców stąd aż do samego skrzyżowania dróg. Trzeba jechać.

Siedział oparty o pień dębu i czekał, aż mu przyjdzie ochota wstać. Tu było wygodnie i chłodno; tam na polu, gdzie nie było cienia, słońce prażyło niemiłosiernie. Nawet chwasty zaczynały więdnąć w tym nieustannym upale.

— Gdzie my znajdziemy tego twojego albinosa, Pluto?

— Jedźcie prosto za młyn Clarka i przed strumieniem skróćcie w tę drogę, co idzie w prawo. Tamten gość widział go o jakąś milę od rozwidlenia. Mówił, że albinos stał w zaroślach nad brzegiem bagna i rąbał drzewo. Wsiądźcie i rozejrzyjcie się. Gdzieś tam jest, bo nie mógł się wynieść daleko przez taki krótki czas. Gdybym nie miał tyle roboty, pojechałbym razem z wami i pomógł w miarę możliwości. Ale teraz wyścig o stanowisko szeryfa robi się z każdym dniem coraz gorętszy i muszę przez cały czas obliczać głosy. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby mnie nie wybrali.

— Chyba go jakoś znajdziemy — powiedział Tay Tay. — Zabiorę chłopaków, to się pokręcą, a ja będę siedział i patrzył, co się święci. Warto by wziąć parę linek od pług i związać tego albinosa, jak go złapiemy.

Pewnie zacznie się ostro stawiać, kiedy mu każę tu jechać. Ale jeżeli jest gdzieś w okolicy, to go dostaniemy. Tego właśnie nam było potrzeba od niepamiętnych czasów. Murzyny powiadają, że taki bielas potrafi odgadnąć, gdzie jest żyła, a oni już wiedzą, co mówią. Kopią więcej niż ja i chłopcy, a my przecie na ogół nic innego nie robimy od rana do wieczora. Gdyby Shawowi nie zachciało się przed chwilą rzucić roboty i jechać do miasta, jeszcze byśmy teraz pracowali w tym dole.

Pluto zrobił ruch, jakby chciał powstać, ale zniechęcił go niezbędny po temu wysiłek. Dysząc ciężko, usiadł na powrót, aby jeszcze trochę odpocząć.

— Ja bym tam nie tarosił znanego albinosa — doradził. — Nie wiem, w jaki sposób chcecie go złapać, więc nie mogę wam mówić, jak się do tego brać, ale z pewnością nie radzę strzelać do niego ze strzelby. Zranienie go byłoby sprzeczne z prawem; na waszym miejscu, moi kochani, zabezpieczyłbym się na wszelki wypadek i nie robił mu większej krzywdy niż to konieczne. Znanego wam jest niezbędny, żeby bez potrzeby ryzykować łamanie prawa właśnie wtedy, gdy dostajecie coś, na czym wam najbardziej w tej chwili zależy. Ot, złapcie go możliwie najdelikatniej, żeby mu się nic nie stało i żeby nie miał żadnych blizn, które mógłby potem pokazać.

— Nic mu nie będzie — przyobiecał Tay Tay. — Obejdę się z nim łagodnie jak z nowo narodzonego niemowlakiem. Znanego mi potrzebny ten albinos, żeby go miał tarosić.

— Teraz już muszę się zbierać — oznajmił Pluto, lecz nie uczynił żadnego ruchu.

— Ale żar, co? — powiedział Tay Tay, przypatrując się fali rozgrzanego powietrza drgającej ponad spieczoną ziemią.

Plutowi zrobiło się gorąco na samą tę myśl. Przymknął oczy, ale to go nie ochłodziło.

— Dziś za wielki upał, żeby obliczać głosy — powiedział. — To fakt.

Siedzieli jeszcze chwilę, patrząc jak Buck i Shaw krzątają się koło wielkiego auta, stojącego na podwórku przed domem. Gryzelda przysiadła na schodkach ganku i także na nich patrzała. Miłej Jill wciąż nie było widać.

— Trzeba nam będzie jak najwięcej rąk do pracy, kiedy już zwiążemy tego albinosa i przytaskamy go do domu — powiedział Tay Tay. — Chyba zapędzę do kopania i Miłą Jill, i Gryzeldę. Szkoda, że nie ma Rozamundy. Mogłaby nam bardzo pomóc. Myślisz, że udałoby ci się wpaść tu za parę dni i pokopać trochę z nami, Pluto? Bardzo byś nam się przydał, gdybyś także wziął się do łopaty. Nie potrafię powiedzieć, jaki bym ci był za to wdzięczny.

— Kiedy ja muszę jechać do swoich wyborców — odparł Pluto, potrząsając głową. — Inni kandydaci na szeryfa dzień i noc się uwijają. W każdej wolnej chwili muszę ganiać za wyborcami. To dziwaczni ludzie, Tay Tay. Obieca ci taki, że będzie na ciebie głosował, a zanim się obejrzy, już obiecuje to samo następnemu. Nie mogę przepaść w tych wyborach. Nie miałbym wtedy z czego żyć. Nie wolno mi stracić takiej dobrej posady, jeżeli nie mam czego innego, żeby się jakoś utrzymać.

— Ilu jest wystawionych przeciwko tobie?

— Na szeryfa?

— Właśnie.

— Dziś rano słyszałem, że już jedenastu stanęło do wyścigu, a wieczorem pewnie jeszcze kilku przybędzie. Ale właściwych kandydatów jest niewielu; reszta to ci, co zbierają dla nich głosy i liczą, że sami zostaną zastępcami. Teraz jak tylko człowiek pojedzie do wyborcy i poprosi, żeby na niego głosował, tamten

zaraz dostaje kręćka i ani się połapiesz, jak już sam kandyduje na jakiś urząd. Jeżeli warunki nie poprawią się przed jesienią, będzie tylu kandydatów na okręgowe urzędy, że nie zostanie ani jeden zwyczajny wyborca.

Pluto zaczynał żałować, że opuścił ocienione ulice miasta i przyjechał na wieś piec się w tym gorącym słońcu. Miał nadzieję, że zobaczy się z Jill, ale ponieważ nie mógł jej nigdzie znaleźć, począł przemyśliwać, czyby nie wrócić do miasta, nie odwiedzając po drodze wyborców.

— Jakbyś miał trochę wolnego czasu, Pluto, wybierz się w te strony za parę dni i pomóż nam trochę przy kopaniu. Bo to by dużo dla nas znaczyło. A kopiąc, nie powinienes zapomnieć o tych kilku głosach z naszej farmy. Przecież teraz najbardziej potrzeba ci głosów.

— Postaram się wpaść niedługo i wtedy spróbuję trochę pokopać, jeżeli dół nie będzie za głęboki. Bo nie chcę złazić tam, skąd nie mógłbym się wydostać. A zresztą, jak już złapiecie tego albinosa, nie będziecie musieli tak harować. Wtedy wszystkie wasze kłopoty się skończą, Tay Tay, i trzeba będzie tylko dokopać się do tej żyły.

— Daj Boże — odparł Tay Tay. — Kopię już od piętnastu lat i potrzeba mi trochę zachęty.

— Albinos potrafi znaleźć żyłę. To fakt.

— Chłopcy już są gotowi do drogi — rzekł Tay Tay, wstając. — Trzeba jechać, zanim się ściemni. Muszę złapać tego bielasa przed świtem.

Tay Tay ruszył ścieżką ku domowi, gdzie czekali jego synowie. Nie oglądał się, by sprawdzić, czy Pluto wstał, bo bardzo mu się śpieszyło. Pluto pozbierał się z wolna i poszedł za nim ścieżką między głębokimi dołami i wysokimi kopcami ku miejscu, gdzie dwie godziny temu zostawił przed domem samochód. Miał nadzieję, że jeszcze zobaczy Miłą Jill przed odjazdem, ale nigdzie nie było jej widać.

Rozdział 3

Doszedłszy do domu, Tay Tay i Pluto zastali tam obu chłopaków odpoczywających po robocie. Dętki były twardo napompowane, a w chłodnicy aż przelewała się woda. Wszystko najwyraźniej gotowe już było do odjazdu. Shaw siedział na stopniu auta, czekając na ojca, i skręcał sobie papierosa, a Buck usadowił się obok żony na schodkach ganku i obejmował ją wpół. Gryzelda bawiła się jego włosami, rozburzając je dłonią.

— Już idzie — powiedziała — ale to jeszcze nie znaczy, że gotów zaraz jechać.

— Chłopcy — zaczął Tay Tay, przysiadając na pniu sykomoru, aby odsapnąć chwilę. — Musimy brać się do rzeczy. Przed ranem złapię tego bielasa. Jeżeli gdzieś jest w okolicy, będziemy go mieli o tej porze albo i grubo wcześniej.

— Trzeba będzie pilnować albinosa, jak go tu przywieziecie, prawda, tato? — spytała Gryzelda. — Murzyni mogą próbować go porwać, jak tylko się dowiedzą, że masz u siebie czarodzieja.

— Już ty się o to nie martw, Gryzeldo — powiedział gniewnie Tay Tay. — Wiesz doskonale, że nie wierzę w żadne zabobony, czarodziejstwa i takie tam rzeczy. Bieremy się do tego naukowo i nie będziemy się bawić w żadne czary. Na to, żeby odnaleźć żyłę, trzeba naukowca. Jeszcześ nie słyszała, żeby czarnuchy wykopały wiele bryłek złota mimo całej tej swojej przemądrzałej gadaniny o czarach. Bo to po prostu niemożliwe. Od samego początku prowadzę całą sprawę naukowo. Niech cię o to głowa nie boli, Gryzeldo.

— Czarni skąsiś wygrzebują te bryłki — powiedział Buck — bo ich widziałem do licha; jakoś tam wyłażą z ziemi. Murzyni złapaliby sobie albinosa, gdyby wiedzieli, że taki jest w okręgu albo gdzieś niedaleko, i gdyby nie bali się jechać po niego.

Tay Tay odwrócił głowę; miał już dość tych dyskusji. Wiedział, co trzeba robić, ale był nazbyt wyczerpany całodzienną harówką w wielkim dole, aby próbować ich przekonywać o słuszności swego punktu widzenia. Odwrócił więc głowę i popatrzał w innym kierunku.

Było już późne popołudnie, lecz słońce wciąż wisiało jakby na miłę wysoko, a upał nie zelżał ani odrobinę.

— Żałuję, że muszę zaraz uciekać, moi kochani — powiedział Pluto, siadając w cieniu na schodkach. — Ale między tym domem a skrzyżowaniem dróg czeka na mnie cała urna głosów i muszę je wszystkie policzyć, nim słońce zajdzie. Nigdy nie opłaca się odkładać roboty na później. Dlatego trzeba już pędzić, choć takie gorąco.

Shaw i Buck chwilę patrzyli na Pluta, potem zerknęli na Gryzeldę i wybuchnęli gromkim śmiechem. Pluto byłby nie zwrócił na to uwagi, gdyby nie to, że śmiali się dalej.

— Co tam takiego śmiesznego, Buck? — zapytał, rozglądając się po podwórku, a potem zatrzymując wzrok na swoim opasłym brzuchu.

Gryzelda ponownie wybuchnęła śmiechem, kiedy zauważyła, że Pluto tak sam siebie ogląda.

Buck szturchnął ją łokciem, aby mu odpowiedziała.

— Panie Swint — zaczęła. — Wygląda na to, że pan będzie musiał wstrzymać się do jutra z tym obliczaniem głosów. Miła Jill pojechała jakąś godzinę temu i jeszcze nie wróciła. Zabrała pana wóz.

Pluto otrząsnął się jak zmokły pies. Uczynił ruch, jakby chciał wstać, ale nie mógł podnieść się ze schodków. Popatrzał na drugą stronę podwórka, ku miejscu, gdzie wczesnym popołudniem zostawił samochód.

Nie było go tam: nie mógł go nigdzie dojrzeć.

Tay Tay pochylił się, by dosłyszeć, o czym mówią.

Pluto miał dość czasu, aby coś odpowiedzieć, ale nie wydał żadnego zrozumiałego dźwięku. Znalazł się w takim położeniu, że nie wiedział, co mówić czy robić. Nie ruszał się więc z miejsca i milczał.

— Panie Swint — powtórzyła Gryzelda. — Miła Jill pojechała pańskim autem.

— Nie ma go — bąknął. — To fakt.

— Nie przejmuj się tym, co robi Jill — pocieszył go Tay Tay. — Ona czasem całkiem wariuje bez żadnego powodu.

Pluto opadł na schodki, a jego ciało rozlało się na deskach. Wsadził do ust świeżą prymkę żółtego tytoniu. Nie było nic innego do roboty.

— Trzeba jechać, ojciec — powiedział Shaw. — Późno się robi.

— No, synu, zdawało mi się, że godzinę temu rzuciłeś robotę, żeby pojechać do miasta — odparł stary. — Co będzie z tym twoim bilardem?

— Nie wybierałem się do miasta na bilard. Wolę dziś jechać na moczary.

— W takim razie, jeżeli nie miałeś grać w bilard, to co będzie z tą babą, za którą chciałeś latać?

Shaw odszedł bez odpowiedzi. Kiedy Tay Tay podkpiwał z niego, mógł tylko odejść. Nie umiał wytłumaczyć ojcu pewnych rzeczy i już od dawna doszedł do wniosku, że najlepiej jest dać mu się wygadać.

— Czas jechać — rzekł Buck.

— Co prawda, to prawda — odparł Tay Tay i poszedł w kierunku stajni.

Po chwili wrócił, niosąc przewieszzone przez rękę linki. Wrzucił je na tylne siedzenie samochodu i znowu przysiadł na pniu.

— Chłopcze — powiedział. — Coś mi przyszło do głowy. Poślę po Rozamundę i Willa, żeby tu przyjechali. Teraz, jak będziemy mieli tego albinosa, i on pokaże, gdzie jest żyła, muszą nam trochę pomóc przy kopaniu, a przecież nie mają w tej chwili wiele do roboty. Przędzalnia w Scottsville znowu stoi i Will nie robi nic a nic. Więc może tu przyjechać, żeby pokopać z nami. Rozamunda i Gryzelda też mogą dużo pomóc, a pewnie i Miła Jill także. Tylko weźcie pod uwagę, że ja wcale nie chcę, aby dziewczyny pracowały tyle samo co my. Ale i tak mogą dużo pomóc. Mogą nam gotować jedzenie, nosić wodę i robić różne inne rzeczy. Gryzelda i Rozamunda pomogą, ile tylko się da, tylko nie jestem taki pewny co do Miłej Jill. Spróbuję ją namówić, żeby dla nas popracowała. Nie pozwoliłbym, żeby dziewczyna tyrała u mnie jak chłop, ale zrobię, co potrafię, żeby Jill także wzięła się trochę do pomocy.

— Chciałbym zobaczyć, jak ojciec zmusi Willa Thompsona do kopania — powiedział Shaw, wskazując Tay Taya ruchem głowy. — Ten Will to najgorszy leń stąd do Atlanty. Nie widziałem go nigdy przy robocie, a już w każdym razie nie tutaj. Nie wiem, co on tam robi w fabryce, kiedy przędzalnia idzie, ale założyłbym się, że niewiele. Will Thompson dużo nie wykopie, choćby nawet zlazł do dołu i udawał, że macha łopata.

— Wy, chłopaki, nie macie takiego serca do Willa jak ja. Przecież on potrafi harować jak mało kto. Dlatego nie lubi kopać u nas w dołach, że nie czuje się tutaj jak w domu. Will to robotnik fabryczny i na wsi, na gospodarstwie jest mu nijako. Ale może teraz trochę pokopie. Jeżeli chce, potrafi nie gorzej od innych. Możliwe, że tym razem dostanie gorączki złota, zejdzie do dołu i weźmie się za łopata jak szatan. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, kiedy gorączka chwyci człowieka. Może któregoś ranka obudzicie się, wyjdziecie na dwór i zobaczycie, że Will kopie, aż furczy. Jeszcze nie widziałem mężczyzny ani kobiety, którzy by nie ryli się w

ziemi, kiedy ich złapie gorączka złota. Człowiek zaczyna myśleć, że może następnym uderzeniem kilofa wyrzuci na wierzch garść tych żółtych bryłek, a wtedy, rany boskie, kopie i kopie, i kopie! Dlatego zaraz poślę po Rozamundę i Willa. Trzeba nam będzie jak najwięcej rąk, synu. Ta żyła może tkwić na trzydzieści stóp pod ziemią, i to w miejscu, gdzie jeszcze nie zaczęliśmy kopać.

— A może ona jest na poletku Pana Boga? — powiedział Buck. — Co byś ojciec wtedy zrobił? Chyba byś nie wykopywał bryłek, jeżeliby miały wszystkie pójść dla pastora, na kościół, co? Bo ja na pewno nie. Całe złoto, które wykopię, pójdzie do mojej kieszeni, przynajmniej tyle, ile mi się należy. Nie oddam go pastorowi w kościele.

— Powinniśmy przenieść gdzie indziej poletko, póki nie zaczniemy kopać na tym gruncie i nie upewnimy się, co tam jest — rzekł Shaw. — Bogu ono niepotrzebne, a zanim się człowiek obejrzy, może tam trafić na żyłę. Niech mnie cholera weźmie, jeżeli będę wykopywał złoto i patrzył, jak je pastor zabiera. Ja byłbym za tym, żeby przesunąć gdzie indziej poletko Pana Boga, póki się nie przekonamy, co na nim jest.

— W porządku, chłopcy — zgodził się Tay Tay. — Jeszcze raz przesunę poletko, ale wcale nie mam zamiaru w ogóle go znieść. Bo ono jest Pana Boga i po dwudziestu siedmiu latach nie mogę Mu go odbierać. To nie byłoby przyzwoicie. Natomiast nie może być nic złego w przesunięciu go odrobinę, jeżeli zajdzie potrzeba. Szkoda gadać, byłaby piekielna szkoda, gdybyśmy znaleźli na nim żyłę, więc widzi mi się, że lepiej je od razu przenieść, bo wtedy nie będziemy mieli zmartwienia.

— A dlaczego tata go nie przeniesie tu, gdzie jest dom i stajnia? — podsunęła Gryzelda. — Pod domem nic nie ma, a resztą i tak nie można by pod nim kopać.

— Nigdy mi to do głowy nie przyszło — odrzekł Tay Tay — ale muszę powiedzieć, że pomysł wydaje mi się dobry. Chyba je tu przerzucę. No, bardzo się cieszę, że mam to już z głowy.

Pluto obrócił się i spojrzał na niego.

— Przecieżeście go jeszcze nie przenieśli, Tay Tay? — powiedział.

— Jeszczem nie przeniósł? A jakże. Tu, gdzie siedzimy, jest teraz poletko Pana Boga. Przesunąłem je stamtąd tutaj.

— No, to z was najszybszy człowiek, o jakim słyszałem — rzekł Pluto, kiwając głową. — To fakt.

Buck i Gryzelda poszli za róg domu. Shaw ruszył za nimi, ale rozmyślił się i zamiast tego skrzył sobie papierosa. Był gotów do drogi i nie chciał dłużej zwlekać. Wiedział jednak, iż Tay Tay nie odjedzie, póki nie znudzi mu się bezczynność.

Pluto siedział na schodkach, rozmyślał o Jill i zastanawiał się, gdzie też może być. Chciał, żeby już wróciła, chciał usadowić się przy niej i objąć ją w pól. Czasem pozwalała mu siadać przy sobie, kiedy indziej znów nie. Była w tym tak samo nieobliczalna jak we wszystkim, co robiła. Pluto nie miał pojęcia, co na to poradzić; taka już była, nie widział sposobu, żeby ją zmienić. Jednakże póki siedziała spokojnie i pozwalała się obejmować, był zupełnie zadowolony; dopiero kiedy trzepnęła go w twarz albo wykuksała pięściami po brzuchu, robiło mu się całkiem nieprzyjemnie.

Jakiś samochód przejechał przed domem w tumanie czerwonego kurzu, opylając wszystko dokoła tak, że chwasty i drzewa wydały się jeszcze bardziej martwe. Pluto zerknął na wóz, ale zaraz spostrzegł, że nie prowadzi go Jill, więc przestał się nim interesować. Auto zniknęło za zakrętem, ale pył jeszcze długo unosił się w powietrzu.

Kiedy Pluto widział ostatnim razem Jill, kazała mu się zabierać w pięć minut po przyjeździe. Zabolalo

go to, więc wrócił do domu i położył się do łóżka. Przyjechał wtedy na cały wieczór i był przekonany, że spędzi z nią co najmniej kilka godzin, a oto już w pięć minut po przybyciu wracał do domu. Jill powiedziała mu, żeby się zabierał do diabła. Mało tego; jeszcze go wytraskała po twarzy i wyszturchała pięściami w żołądek. Tym razem miał nadzieję, że jeśli słuszna jest teoria prawdopodobieństwa czy choćby zasada wyrównania, ich dzisiejsze spotkanie będzie miało zupełnie inny przebieg. Jeżeli w ogóle jest sprawiedliwość, Jill powinna by tym razem ucieszyć się na jego widok, pozwolić się pieścić, a nawet, dla wynagrodzenia poprzednich odwiedzin, dać się pocałować kilka razy. Powinna by uczynić to wszystko, natomiast czy istotnie postąpi tak, czy nie — tego nie wiedział. Reakcje Jill były równie trudne do przewidzenia jak to, czy go wybiorą tej jesieni na szeryfa.

Myśl o zbliżających się wyborach poruszyła Pluta. Zebrał się, żeby wstać, ale nawet nie drgnął z miejsca. W taki upał nie był w stanie maszerować pieszo zakurzoną drogą i odwiedzać wyborców.

Buck i Gryzelda wrócili, niosąc dwa wielkie arbuzy oraz solniczkę. Buck trzymał w ręku nóż rzeźnicki. Pluto, ujrawszy ogromne arbuzy, zapomniał o swoich zmartwieniach i wyprostował się nieco. Tay Tay, który siedział w kucki, podniósł się także. Kiedy Buck i Gryzelda złożyli arbuzy na ganku, Tay Tay podszedł i pokrajał je na ćwiartki. Gryzelda przyniosła Plutowi przeznaczoną dlań porcję, on zaś począł jej dziękować za tę uprzejmość. Nie musiał podnosić się i chodzić po swój kawałek arbuza, skoro Gryzelda już wstała, a nie wiedział, czy byłby się ruszył, gdyby mu go nie przyniosła. Usiadła obok i patrzyła, jak pograżył całą twarz w chłodny miąższ. Arbuzy od dwóch dni chłodziły się na dnie studni i były zimne jak lód.

— Panie Swint — powiedziała Gryzelda, przyglądając się Plutowi — pan ma oczy podobne do pestek arbuza.

Wszyscy się roześmieli. Pluto czuł, że Gryzelda ma rację. Nieomal zobaczył siebie w tej chwili.

— E, Gryzeldo! — odparł. — Znowu się ze mnie nabijasz.

— Musiałam to powiedzieć. Bo pan ma takie małe oczki i taką czerwoną twarz, że wygląda zupełnie jak arbuzy z dwiema pestkami.

Tay Tay zaśmiał się jeszcze głośniej.

— Jest pora na zabawę i pora na robotę — powiedział, wypluwając garść pestek. — A teraz przyszła pora na robotę. Musimy brać się do rzeczy, chłopaki. Dosyć na dziś nasiedzieliśmy się przy domu i teraz trzeba jechać w drogę. Muszę złapać tego albinosa przed ranem. No, zbierajmy się.

Pluto otarł ręce i twarz i odrzucił skórkę arbuza. Miał ochotę mrugnąć do Gryzeldy i położyć jej dłoń na kolanie. Po paru minutach zdobył się na odwagę, by mrugnąć do niej swymi pestkami arbuza, ale ani rusz nie mógł się zdecydować, żeby jej dotknąć. Myśl, że mógłby położyć dłoń na kolanach Gryzeldy, a może i popróbować wsunąć palce między jej uda, sprawiła, że twarz i kark oblały mu się rumieńcem. Począł bębnić palcami po schodkach w takt siedem ósmym, pogwizdując pod nosem, śmiertelnie wystraszony, żeby ktoś nie odczytał jego myśli.

— Buck ma przystojną żonę, co, Pluto? — odezwał się Tay Tay, wypluwając nową garść pestek arbuza. — Widziałeś gdzie ładniejszą dziewczynę? Tylko popatrz na tę śmietankową skórę i złoto we włosach, nie mówiąc o tej bladej niebieskości w oczach. A jak już ją wychwalam, to nie mogę pominąć i reszty. Widzi mi się, że Gryzelda jest najładniejsza ze wszystkich dziewczyn. Ma dwa najśliczniejsze sterczące cudeńka, jakie człowiek w ogóle może zobaczyć. Aż dziw, że Pan Bóg umieścił tyle śliczności pod jednym dachem z takim starym mantyką jak ja. Może i wcale nie zasługuję, żeby to oglądać, ale oświadczam ci, że póki można, napatrzę się, ile wlezie.

Gryzelda spuściła głowę zarumieniona.

— Dajże spokój, tato — poprosiła.

— Nie mam racji, Pluto?

— Bardzo z niej ładna kobitka — odrzekł. — To fakt.

Gryzelda zerknęła na Bucka i zaczerwieniła się znowu. Buck roześmiał się do niej.

— Synu — powiedział Tay Tay do Bucka. — Skądś ty ją u diaska wytrzasnął, szczęściarzu jeden?

— Tam, skąd ona pochodzi, nie ma już więcej takich — odparł. — Wybrana jest z całego przychówka.

— I założę się, że dali spokój z chowaniem innych, kiedy przyszedłeś i zabrałeś tę najpiękniejszą.

— No, przestańcie już jeden z drugim! — zawołała Gryzelda, zasłaniając sobie rękami twarz przed ich wzrokiem.

— Bardzo nie lubię sprzeciwiać ci się, Gryzeldo — ciągnął z uporem Tay Tay — ale jak już raz zacznę o tobie mówić, nie mogę przerwać. Po prostu muszę cię wychwalać. I chyba to samo robiłby każdy, kto by cię tak obejrzał jak ja. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, jak Buck cię stamtąd przywiózł, zachciało mi się z punktu klęknąć i coś polizać. To rzadkie uczucie u człowieka, i jeżeli już na mnie przychodzi, to z dumą mówię o tym przy tobie.

— Proszę cię, tato... — szepnęła.

Tay Tay mówił dalej, ale nikt nie mógł dosłyszeć jego słów. Siedział na pniu, gadał sam do siebie i wpatrywał się w ubity, biały piasek u swoich stóp.

Pluto lekko poruszył rękami. Miał chęć przysunąć się bliżej do Gryzeldy, ale zabrakło mu odwagi. Obejrzał się, czy ktoś nie patrzy. Wszyscy mieli wzrok skierowany w inną stronę, więc szybko położył dłoń na nogach Gryzeldy. Gryzelda obróciła się i trzepnęła go w twarz tak błyskawicznie, że nawet nie zdążył zauważyć, skąd cios pochodzi. Uczuł falę krwi napływającą do piekącego policzka, a w uszach zadźwięczały mu dzwonki. Kiedy zdołał otworzyć oczy, Gryzelda stała już przed nim, a Buck i Shaw skręcali się ze śmiechu.

— Ja cię nauczę pozwalać sobie ze mną, ty kupo siana! — krzyknęła ze złością. — Niech pan nie myśli, że jestem Jill. Może ona nie zawsze daje panu po gębie, ale ja na pewno będę tak robiła. Za następnym razem już pan nie popróbuje czegoś podobnego!

Tay Tay wstał i przeszedł przez podwórko, by sprawdzić, czy Pluto mocno oberwał.

— Pluto nie chciał zrobić nic złego, Gryzeldo — usiłował ją uspokoić. — Nie skrzywdziłby cię, szczególnie przy Bucku.

— Niech pan lepiej idzie sobie obliczać te głosy — powiedziała.

— Słuchajże, Gryzeldo, przecież wiesz doskonale, że Pluto nie może odjechać, póki Jill nie wróci z jego wozem.

— A na piechotę nie łaska? — spytała, śmiejąc się z Pluta. — Nie wiedziałam, że już nawet nie może chodzić.

Pluto popatrzał rozpaczliwie dokoła, jakby szukając, czego by się przytrzymać. Przeraziła go myśl, że miałby wyjść na żar słoneczny i maszerować w czerwonym pyłe. Oburącz uchwycił się krawędzi schodków.

Shaw zauważył, że ktoś idzie od stodoły ku domowi. Potem spojrzął raz jeszcze i poznał Czarnego Sama. Kiedy Murzyn zbliżył się, Shaw wyszedł z podwórka na jego spotkanie.

— Panie Shaw — powiedział Czarny Sam, zdejmując kapelusz — ja bym okropnie chciał zamienić słówko z pana ojczulkiem. Muszę się z nim zobaczyć.

— A o co idzie? Przecież ci mówiłem, co powiedział o jedzeniu.

— Ja nie wiem, panie Shaw, ale wciąż jestem głodny. Chciałbym zobaczyć się z pana ojczulkiem, bardzo proszę pana szanownego.

Shaw odwołał ojca za dom.

— Panie Tay Tay, u mnie w domu skończyło się jedzenie i przez cały dzień nie mieliśmy co do ust włożyć. Moja stara jest okropnie głodna.

— Co to ma znaczyć, u diabła starego, że przychodzisz tu i zawracasz mi głowę, Sam? — wrzasnął Tay Tay. — Kazałem powiedzieć, że dam ci trochę żarcia, jak tylko będę miał czas. Nie wolno ci tu przyłazić i naprzykrzać mi się w ten sposób. Wracaj do domu i przestań mnie męczyć. Dziś wieczorem jadę złapać człowieka, który jest cały biały, i nie mam głowy do czego innego. Ten bielas pomoże mi znaleźć żyłę.

— Chyba pan nie mówi o czarodzieju, prawda, panie Tay Tay? — zapytał z lękiem Czarny Sam. — Panie Tay Tay szanowny, ja bardzo proszę, niech pan tu nie sprowadza czarodzieja. Proszę pana Tay Tay, ja bym nie wytrzymał, jakby tu był czarodziej.

— Zamknij się, psiakrew — powiedział Tay Tay. — Nie twoja rzecz, co robię. Wynoś mi się do domu i nie przychodź tu, jak jestem zajęty.

Murzyn cofnął się. Chwilowo zapomniał o głodzie.

Myśl, że zobaczy na farmie albinosa, zapierała mu dech w piersiach.

— Zaczekaj — powiedział Tay Tay. — Jeżeli zarzniesz tego muła i zjesz go, kiedy mnie tu nie będzie, to jak wrócę, zapłacisz mi za niego, i to nie pieniędzmi, bo przecież wiem, że nie masz grosza przy duszy.

— Nie, proszę pana Tay Tay, ja bym czegoś podobnego nie zrobił. Nie zjadłbym muła mojego pana. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ale proszę pana szanownego, niech pan nie sprowadza tu żadnego czarodzieja.

Czarny Sam cofał się przed Tay Tayem. Oczy rozszerzyły mu się nienaturalnie i łyskały niesamowicie białkami.

Kiedy Tay Tay zawrócił na podwórko, Shaw podszedł do Murzyna.

— Jak wyjedziemy — powiedział — przyjdź pod kuchenne drzwi, to pani Gryzelda da ci coś do jedzenia. Powiedz Wujowi Feliksowi, żeby też przyszedł.

Czarny Sam podziękował, ale nie zapamiętał ani słowa z tego, co mówił Shaw. Obrócił się na pięcie i pobiegł ku stodołę, stękając z cicha.

Rozdział 4

Buck przechadzał się niecierpliwie między bagnem a samochodem.

— Jedźmy już, ojciec — powiedział. — Jeżeli wcześniej nie wyjedziemy, będziemy się pętać po tych błotach przez całą noc. Nie bardzo lubię bagna po ciemku.

— Myślałam, że tata pośle po Rozamundę i Willa — wtrąciła Gryzelda, spoglądając na teścia. — Najlepiej niech tata zaraz napisze list i wrzuci, przejeżdżając przez miasto.

— Nie miałem zamiaru pisać listu — odparł Tay Tay. — List za długo by szedł. Chciałem kogoś po nich posłać. Myślę, że Miła Jill mogłaby pojechać do Scottsville i przywieźć ich tutaj. Wyślę ją autobusem do Augusty, to będzie na miejscu przed nocą. Mogą wrócić też autobusem jutro z samego rana i jeszcze zdążyć tu na czas, żeby zacząć kopać zaraz po obiedzie.

— Ale Miłej Jill nie ma — rzekł Buck — i nie wiadomo, kiedy wróci. Jeżeli będziemy na nią czekali, to nigdy nie wybierzemy się na te moczary.

Pluto siedział wyprostowany i spoglądał na drogę. Jeśli tak dalej pójdzie, na pewno nie zdąży odwiedzić osobiście swoich wyborców.

— Teraz już jej tylko patrzeć — powiedział stanowczo Tay Tay. — Zaczekamy i podwieziemy Jill do Marion. W mieście wysadzimy ją na przystanku autobusowym i pojedziemy na moczary po tego albinosa. Tak trzeba zrobić. Jill będzie w domu lada chwila. Nie ma żadnego sensu jechać, jeżeli się tu zjawi niedługo.

Buck wzruszył ramionami i znowu zaczął z niesmakiem przechadzać się po podwórku. Zmarnowali już dwie godziny i nic nie osiągnęli przez tę zwłokę.

— Ja bym... — zaczął Pluto i zawahał się.

— Co ty byś? — zapytał Tay Tay.

— No, chciałem powiedzieć...

— Że co? Gadaj, Pluto. Mów, co masz na myśli. Jesteśmy tu w rodzinie.

— Myślałem sobie, że gdyby nie miała nic przeciwko temu...

— Co ci się stało, u diabła starego? — zapytał ze złością Tay Tay. — Zaczynasz coś bąkać, a potem robisz się cały czerwony na gębie i karku, jakbyś się bał i mówić, i nie mówić. No, dalej, gadaj, o co chodzi.

Pluto poczerwieniał znowu. Patrzył to na jedno z nich, to na drugie, a w końcu wyciągnął chustkę i zasłonił sobie twarz, udając, że ją ociera. Kiedy nieco ochłonął, wetknął chustkę na powrót do kieszeni.

— Chciałem powiedzieć, że jeżeli Miła Jill wróci z moim autem, chętnie podwiozę ją dziś wieczorem do Doliny Horse Creek. To znaczy z przyjemnością ją tam zabiorę, jeżeli tylko się zgodzi.

— No, to prawdziwie po sąsiedzku, Pluto! — zawołał z entuzjazmem Tay Tay. — Teraz już wiem, że możesz liczyć na nasze głosy. Jeżeli ją tam podwieziesz, zaoszczędzisz mi wydatku. Powiem jej, żeby z tobą pojechała. Nie będzie miała nic a nic przeciwko temu. Co to znaczy: "jeżeli się zgodzi"? Przecież jej każę, Pluto. Bardzo ci jestem wdzięczny za tę propozycję. Koniec końców zaoszczędzę dzięki temu trochę pieniędzy.

— Myślicie, że pojedzie ze mną... znaczy się, uważacie, że zgodzi się, abym ją tam zawiózł moim wozem, jeżeli go tu przyprowadzi z powrotem?

— No chyba, że się zgodzi, jak jej każę. Jeszcze powinna bardzo się ucieszyć, że będzie mogła przejechać się z tobą — powiedział z przekonaniem Tay Tay, spluwając na łądkę dzikiej cebuli rosnącą pod

jego stopami. — Niech ci się nie zdaje, że nie potrafię trzymać własnych dzieci w ryzach. Pojedzie, jeszcze jak, kiedy jej każe. Nie będzie miała nic a nic przeciwko temu.

— Jeżeli Pluto ma ją zabrać, to już jedźmy na te moczary, ojciec — rzekł Buck. — Robi się późno. Chciałbym wrócić przed północą, jeśli się da.

— Chłopcy — powiedział Tay Tay. — Ogromnie jestem dumny, że tak się rwiecie do roboty. Zaraz jedziemy. Pluto, podwieź Miłą Jill do Scottsville i zostaw ją u Rozamundy i Willa. Bardzo to ładnie z twojej strony. Ogromnie ci jestem zobowiązany.

Wbiegł na ganek, potem znowu zawrócił na podwórko. Na chwilę zapomniał, jak bardzo jest podniecony perspektywą znalezienia albinosa.

— Gryzeldo, jak Miła Jill wróci, powiedz jej, że ma jechać do Doliny Horse Creek i jutro rano sprowadzić tu Rozamundę i Willa. Będzie musiała wytłumaczyć, czego od nich chcemy, więc ją naucz, co ma mówić. Potrzebni nam są do kopania. Powiedz Miłej Jill, żeśmy z chłopcami pojechali na moczary po tego bielasa i że teraz migiem natrafimy na żyłę. Nie mówię, kiedy to będzie, ale mogę powiedzieć, że migiem. Tobie i jej kupię najładniejsze sukienki, jakie tylko mają na składzie w mieście. Tak samo Rozamundzie, kiedy już znajdę żyłę. Rozamunda i Will muszą wiedzieć, że bardzo nam potrzeba ich pomocy, bo wtedy przyjadą jutro. Weźmiemy się wszyscy do roboty zaraz po obiedzie i będziemy kopali, kopali i kopali.

Chwilę szperał w kieszeni, wreszcie wy dobył ćwierć dolara i wręczył Gryzeldzie.

— Weź to i kup sobie coś ładnego, jak będziesz w mieście — rozkazał. — Chciałbym ci dać więcej, bo taka jesteś ślicznotka, że kiedy na ciebie patrzę, nie mogę się po prostu oprzeć — ale jeszcześmy nie natrafili na żyłę.

— No, jedźmy, ojciec — powiedział Shaw.

Buck zapuścił ręczną korbą silnik potężnego siedmioosobowego auta i trzymał go na małych obrotach, podczas gdy ojciec udzielał Gryzeldzie ostatnich wskazówek dla Jill. Właśnie kiedy Buck już myślał, że Tay Tay wsiądzie do samochodu, stary zakręcił się na pięcie i pobiegł do stajni. Po chwili wrócił biegiem, niosąc jeszcze kilka linek. Rzucił je na tylne siedzenie, gdzie już leżały te, które przyniósł poprzednio.

Przez kilka minut stał i ze ściągniętymi brwiami przypatrywał się bacznie siedzącemu na schodach Plutowi, jak gdyby chciał sobie przypomnieć, co jeszcze ma powiedzieć przed odjazdem. Nie przychodziło mu jednak nic do głowy, więc wsiadł do samochodu razem z Buckiem i Shawem. Buck zwiększył obroty motoru i z rury wydechowej dobiegła się chmura czarnego dymu. Tay Tay obrócił się i pomachał ręką na pożegnanie Gryzeldzie i Plutowi.

— Tylko pamiętaj, żebyś powtórzyła Miłej Jill, co ci mówiłem — powiedział. — I każ jej bezwarunkowo wracać do domu jutro z samego rana!

Shaw przechylił się nad kolanami ojca i zatrzasnął drzwiczki, których ten w podnieceniu nie domknął. Pośród łoskotu i smrodliwych wyziewów z rury wydechowej wielki samochód wypadł z podwórka i wjechał na szosę. W chwilę później zniknął w oddaleniu.

— Mam nadzieję, że znajdą tego albinosa — powiedział Pluto, nie zwracając się specjalnie do Gryzeldy. — Bo jeżeli nie, Tay Tay wróci i będzie kłął, że mu nałgałem. A przysięgam na Boga, iż ten gość mówił mi, że go tam widział. Nic a nic nie skłamałem. Mówił, że go widział w zaroślach na skraju moczarów i że tam stał jak wół i rąbał drzewo. Jeżeli Tay Tay go nie znajdzie i nie przywiezie tutaj, odbierze mi swój głos, co byłoby naprawdę fatalne. To fakt.

Kiedy to mówił, Gryzelda weszła na ganek. Po pierwsze nie mogła dosłyszeć, co Pluto mamrocze pod nosem, a po drugie nie chciało jej się tkwić z nim na podwórku. Usiadła na bujanym fotelu i spojrzała na kark Pluta. Z tego miejsca było lepiej widać drogę, więc wypatrywała, czy nie nadjeżdża Jill.

Pluto siedział na schodkach i dalej mamrotał do siebie. Mówił teraz tak cicho, że nic nie mogła dosłyszeć. Zastanawiał się, co też powie i zrobi Tay Tay, jeżeli nie zdoła odnaleźć albinosa. Zaczynał żałować, że w ogóle o nim wspominał. Wiedział już, że nie powinien był mówić o rzeczach, co do których nie miał zupełnej pewności.

Gryzelda wstała i popatrzyła na drogę.

— Czy to nie pana wóz? — spytała, wskazując nad jego głową tuman czerwonego pyłu wzbijający się z drogi. — Tak wygląda, jakby go prowadziła Miła Jill.

Pluto dźwignął się z wysiłkiem. Wstał i postąpił kilka kroków we wskazanym kierunku. Przystanął koło pnia sykomoru, czekając, by auto podjechało bliżej. Robiło straszny harmider, ale rzeczywiście przypominało jego wóz. Zastanowił się, dlaczego tak hałasuje. Prowadząc samemu, nigdy tego nie zauważył.

— Tak — powiedziała Gryzelda. — To Miła Jill. Nie może pan poznać własnego samochodu?

Jill skręciła w podwórko, nie zmniejszając szybkości. Ciężkie auto zarzuciło i dziesięć czy dwanaście stóp dalej stanęło raptem, obrócone prostopadle do kierunku biegu. Jedna z tylnych opon była spłaszczona jak deska, a wyłaząca nad jej krawędzią dętka — poszarpana na strzępy. Pluto popatrzał na koło, czując, że go ogarnia niezmiernie znużenie.

Usłyszał, iż za nim Gryzelda schodzi ze stopni, więc odsunął się trochę, by ją przepuścić.

— Kicha ci nawaliła, Pluto — powiedziała Jill. — Widzisz?

Pluto usiłował coś odrzec, ale stwierdził, że trudno mu oderwać język od podniebienia. Kiedy wreszcie zdołał to uczynić, język opadł mu między wargi i zwisał na zewnątrz.

— Co ci się stało? — spytała, wyskakując z wozu. — Nie widzisz? Ślepy jesteś czy co?

— Komu kicha nawaliła? — wykrztusił Pluto. Dopiero kiedy się odezwał, uświadomił sobie, jak słabym głosem mówi. — Komu?

— A tobie, koński zadku — odparła Jill. — Co się z tobą wyrabia? Nic nie widzisz?

Nadbiegła Gryzelda.

— Cicho, Jill — powiedziała. — Nie wyrażaj się w ten sposób.

Gdy Pluto przyszedł do siebie, zaczął podnosić koło na lewarku, ażeby założyć zapasową dętkę. Sapiąc i dysząc, zmieniał przedziurawioną oponę, ale nie powiedział Jill złego słowa za to, że zniszczyła mu nowiuteńką oponę i poszarpała ową dętkę za dwa dolary.

Jill przypatrywała mu się chwilę, po czym roześmiała się i weszła na ganek z Gryzeldą.

— Jedliście tu arbuzy, a mnie nic nie zostawiliście?

— Jest tego do licha — odpowiedziała Gryzelda. — Mam dla ciebie w kuchni dwa duże kawałki.

— A co Pluto Swint tu robi?

— Ojciec chce, żebyś pojechała po Rozamundę i Willa i przywiozła ich tutaj — odparła Gryzelda, przypominając sobie zaraz polecenie teścia. — On, Buck i Shaw wybrali się razem na moczary, żeby złapać jakiegoś albinosa, który ma odgadnąć, gdzie jest żyła. Kazał ci powiedzieć, że chce tu sprowadzić Rozamundę i Willa, żeby pomogli mu kopać. Pluto zaraz cię tam zawiezie, a ojciec mówił, że masz z nimi wrócić jutro rano pierwszym autobusem. Ja bym też chętnie pojechała.

— No, to jedź! Dlaczego nie?

— Buck mówił, że pewnie tu będzie koło północy, a ja chcę być w domu, jak wróci. Pojadę kiedy indziej. Lepiej się pospiesz i przebierz.

— Za minutę będę gotowa — powiedziała Jill. — Tylko najpierw muszę się trochę wykapać. Nie puszczaj Pluta beze mnie. Zaraz się przyszykuję. To nie potrwa długo.

— Och, on zaczeka na ciebie — rzekła Gryzelda, wchodząc za nią do domu. — Zostanie tu, zostanie! Nie pozbędziesz się go inaczej; musisz z nim pojechać.

Weszły do domu, a Pluto został na podwórku, zmieniając oponę. Dziurawą zdjął już z koła i gotował się do założenia zapasowej i dokręcenia sworzni. Pracował w upale, nie zauważywszy nawet, że Gryzelda i Jill zostawiły go samego na podwórku.

Kiedy skończył i schował pod siedzenie lewarek oraz klucz francuski, wyprostował się i zaczął otrzepywać ubranie z kurzu. Twarz i ręce miał oblepione brudem i potem, a dłonie usmarowane oliwą. Przez chwilę usiłował wytrzeć je chustką do nosa, ale dał za wygraną, widząc, że to beznadziejne. Ruszył za dom, do studni na tylnym podwórku, aby tam umyć twarz i ręce.

Doszedł do węgła domu, nie odrywając oczu od ziemi. Kiedy minął róg, podniósł wzrok i ujrzał na podwórku Miłą Jill.

Zrazu cofnął się, ale potem znowu postąpił naprzód i spojrzał na nią po raz drugi. A potem już nie wiedział, co robić.

Gryzelda siedziała na górnym schodku ganku i rozmawiała z Jill. Nie patrzyła w stronę Pluta. Jill stała nad dużą, białą emaliowaną miednicą, którą wyniosły z domu na podwórko i ustawiły między gankiem a studnią. Kiedy Pluto zobaczył Jill, ta zajęta była rozmową z Gryzeldą i namydlą sobie ramiona.

Dopiero wtedy Pluto uświadomił sobie w pełni, co się dzieje. Nie chciał zawrócić i odejść, ale bał się podsunąć bliżej.

— No, niech mnie nagły szlag trafi! — powiedział i rozdziawił usta.

Jill usłyszała to i spojrzała w jego stronę. Znieruchomiła z namydloną rękawicą na ramieniu i przypatrzyła mu się uważnie. Gryzelda obróciła głowę, aby zobaczyć, czemu Jill przygląda się tak długo.

Pluto myślał przez chwilę, że Jill swoim spojrzeniem chce zbić go z tropu i zmusić do odwrotu za dom, ale tkwił tu już od paru minut i nie miał pojęcia, co dziewczyna zamierza zrobić. Ponieważ stał tak długo, uznał, że Jill winna uczynić pierwszy krok. Nie próbowała wcale ukryć się przed nim ani nawet zasłonić ręcznikiem bądź czymkolwiek innym. Stała nad białą emaliowaną miednicą i wpatrywała się w niego.

— Niech mnie nagły szlag trafi! — powtórzył. — To fakt.

Jill pochyliła się nad miednicą, wygarnęła z niej oburącz tyle mydlin, ile zdołała nabrać, i cisnęła w Pluta pecyną piany. Pluto, który stał ledwie o kilka stóp, ujrzał lecące ku niemu mydliny, ale nie zdążył uchylić się w porę. Kiedy wreszcie postąpił parę kroków, mydło już piekło go w oczy i ściekało za kołnier koszuli. Oślepl zupełnie. Gdzieś przed sobą słyszał Jill i Gryzeldę zanoszące się od śmiechu, ale nie mógł nawet zaprotestować. Kiedy otworzył usta, by coś powiedzieć, poczuł na języku smak mydła, a w ustach nieprzyjemną gorycz. Pochylił się w przód najniżej, jak mógł, i zaczął wypluwać mydliny.

— Teraz cię trafi ten nagły szlag — usłyszał głos Jill. — Może następnym razem dobrze się zastanowisz, zanim spróbujesz mnie podglądać, kiedy stoję nago. No, i co teraz widzisz, Pluto? Widzisz coś? Dlaczego na mnie nie patrzysz? Mógłbyś coś niecoś zobaczyć!

Gryzelda, stojąc na schodkach, roześmiała się znowu.

— Szkoda, że go nie mogę sfotografować.— powiedziała do Jill. — Byłoby ładne zdjęcie do pokazania głosującym w dniu wyborów, co? Dałabym pod tym napis: "Mydlany szeryf z okręgu Wayne obliczający głosy".

— Jeżeli jeszcze raz spróbuje podglądać mnie, kiedy jestem nago, wetknę mu łeb do miednicy z mydlinami, aż się nauczy krzyczeć "wujciu" w trzech językach. W życiu nie widziałam takiego chłopca. Ciągłe próbuje mnie dotykać albo gdzieś ścisnąć, a teraz jeszcze chciał przyłapać mnie na golasa. Nigdy nie widziałam takiego człowieka.

— Może nie wiedział, że bierzesz kąpiel na podwórku? Przecież nie mógł wiedzieć, póki tu nie zaszedł i nie zobaczył.

— Już ty w to nie wierz. Jeżeli tak, to może mi powiesz, dlaczego zawsze łązi za dom, ile razy się kąpie? Pluto nie jest taki tępy, jak się zdaje. Wyprowadza cię w pole tą swoją miną.

Po tym zaległa cisza i Pluto domyślił się, że weszły do domu. Raz jeszcze wyjął chustkę i popróbował zetrzeć mydło z oczu. Po omacku poszedł na front, dotarł do schodków i usiadł. Czekał, aż Jill ubierze się i wyjdzie. Nie był na nią zły o to, że mu cisnęła mydliny w twarz; nie potrafił być na nią zły o nic. Nieraz już robiła rzeczy o wiele gorsze. A wymyślała mu najgrubszymi słowami, jakie jej ślina na język przyniosła.

Gdy wreszcie udało mu się usunąć mydliny i zetrzeć ich resztki z twarzy i włosów, otworzył oczy i ze zdziwieniem stwierdził, że słońce już prawie zaszło. Zdał sobie sprawę, że tego dnia nie zdoła odwiedzić wyborców. Skoro jednak miał zabrać Miłą Jill do Scottsville, nie żałował tego wcale. Wolał być z nią, niż wygrać wybory.

Drzwi za nim skrzypnęły i Jill z Gryzelda wyszły na ganek.

Przystanął za Plutem i spoglądając na jego ciemność, zaczęły chichotać. Nie mógł obejrzeć się nie wstając, więc postanowił czekać, aż zejda ze schodków, i popatrzeć na nie dopiero wtedy.

— No, trafił cię szlag, Pluto? — spytała Jill. — Szkoda, że to się nie stało, zanim przyszedłeś na podwórko.

Rozdział 5

Było już po dziesiątej wieczorem, kiedy dojechali do Scottsville. Pluto gubił się w labiryncie ulic przyfabrycznego miasteczka, lecz Jill była tu już wiele razy i z daleka poznała domek Rozamundy i Willa. Zewnętrznie nie różnił się od wszystkich innych, ale Rozamunda lubiła niebieskie zasłony w oknach i Jill za nimi właśnie się rozglądała.

Pluto zatrzymał wóz, ale nie wyłączył silnika. Jill przekręciła i wyjęła kluczyk.

— Czekajże chwileczkę — powiedział nerwowo Pluto. — Nie rób tego, Jill.

Wpuściła kluczyk do woreczka, śmiejąc się z jego protestów. Zanim ją zdążył zatrzymać, otworzyła drzwiczki i wysiadła. Pluto wysiadł także i poszedł za nią do frontowych drzwi.

— Jakoś nie słyhać Willa — powiedziała, próbując zajrzeć przez okno.

Otworzyli drzwi i weszli do sieni. Palilo się tu światło, a wszystkie dalsze drzwi były pootwierane. Z pokoju dolatywał czyjś płacz. Jill weszła do ciemnej izby i przekręciła kontakt. Na łóżku leżała Rozamunda; twarz zasłoniła sobie rogiem kołdry i szlochała głośno.

— Rozamundo! — krzyknęła Jill. — Co się stało?

Podbiegła do łóżka i przypadła obok siostry.

Rozamunda uniosła się na łokciach i rozejrzała po pokoju. Otarła łzy z twarzy i próbowała się uśmiechnąć.

— Nie spodziewałam się ciebie — rzekła, zarzucając Jill ręce na szyję i znowu wybuchając płaczem. — Ale cieszę się, że przyjechałaś. Już myślałam, że chyba skonam. W głowie mi się pomieszało, czy jak.

— Co Will ci zrobił? Gdzie on jest?

Pluto stał w rogu, nie wiedząc, co z sobą począć. Starał się nie patrzeć na Rozamundę, póki go nie zauważy.

— Dobry wieczór, Pluto — uśmiechnęła się. — Cieszę się, że cię widzę. Zdejmij tamto ubranie z krzesła, siadaj i rozgość się.

— Gdzie Will? — powtórzyła Jill. — Powiedz mi, co się stało?

— Pewnie gdzieś się wałęsa po ulicy — odrzekła Rozamunda. — Nie wiem dokładnie.

— Ale co on zrobił?

— Przez cały tydzień chodzi pijany — odpowiedziała Rozamunda. — Nie chce siedzieć ze mną w domu. Kiedy się upije, gada, że musi włączyć prąd w fabryce, a na trzeźwo nie mówi nic. Jak ostatnim razem wrócił do domu, uderzył mnie.

Twarz miała mocno spuchniętą, jedno oko podbite, a z nosa musiała widać niedawno iść krew.

— Nie ma pracy?

— Ale skąd! Fabryka stoi i nie wiadomo, kiedy znów ruszy. Niektórzy mówią, że wcale. Sama już nie wiem.

Pluto wstał, mnąc w rękach kapelusz.

— Muszę już wracać do domu — powiedział. — To fakt.

— Siadaj, Pluto, i bądź cicho — rozkazała Jill.

Usiadł na powrót, wsunął kapelusz pod krzesło i złożył ręce na kolanach.

— Przyjechałam, żeby zabrać ciebie i Willa do domu — powiedziała Jill. — Tata chce, żebyście mu trochę pomogli. Will jest mu potrzebny do kopania, a ty możesz robić, co ci się podoba. Ojciec ubrał sobie, że tym razem na pewno znajdzie złoto. Sama nie wiem, co go napadło.

— Ach, on wciąż ma nowe pomysły — rzekła Rozamunda. — Przecież tam w ogóle nie ma złota, prawda? Gdyby było, już by je dawno znaleźli. Dlaczego nie da spokoju z tym ryciem dziur po całej farmie i nie weźmie się trochę do gospodarowania?

— Czy ja wiem? — odparła Miła Jill. — I on, i chłopcy myślą, że już niedługo coś znajdą. Dlatego cały czas kopią. Chciałabym, żeby im się udało.

— Waldenowie są jeszcze gorsi od Murzynów, bo ciągle uważają, że gdzieś znajdują to złoto.

— Tata w każdym razie chce, żebyście przyjechali.

— Will nie będzie kopał. Ojciec powinien to już wiedzieć. Will nie może sobie miejsca znaleźć, jak stąd wyjedzie.

— Tata uparł się, że musicie przyjechać. Wiesz, jaki on jest.

— Dzisiaj nie możemy. Willa nie ma i nie wiem, kiedy wróci.

— Wystarczy jutro. Przenocujemy u was. Pluto może przespać się z Willem, a ja z tobą.

Pluto obruszył się, mówiąc, że musi jeszcze tego wieczora wracać do Marion, ale nie zwróciły na niego uwagi.

— Proszę was bardzo — powiedziała Rozamunda. — Tylko że Will i Pluto nie zmieszczą się razem w łóżku. Jeden będzie musiał spać na podłodze.

— Pluto może spać na podłodze — oświadczyła Jill.

— Daj mu poduszkę i koc, i niech sobie zrobi legowisko w sieni. Nie będzie miał nic przeciwko temu.

Rozamunda wstała, poprawiła włosy i upudrowała twarz. Teraz wyglądała znacznie lepiej.

— Nie wiem, kiedy Will wróci. Może dziś wcale nie przyjdzie. To mu się czasem zdarza.

— Wytrzeźwieje, jak do nas przyjedzie i pokopie parę dni. Zresztą ojciec będzie pilnował, żeby nie pił.

Nagle wszyscy troje obrócili się, nadstawiając ucha. Na frontowym ganku rozległ się jakiś szmer, a potem łomotanie do drzwi.

— To on — powiedziała Rozamunda — jeszcze pijany. Od razu mogę poznać.

Siedzieli w oczekiwaniu, a tymczasem Will przeszedł przez sieni i stanął w progu.

— No, jak pragnę Boga! — powiedział. — Znowu przyjechałaś?

Wpatrywał się chwilę w Miłą Jill, po czym ruszył ku niej, pomagając sobie wyciągniętymi rękami. Potknął się i zatoczył na ścianę.

— Will! — zawołała Rozamunda.

— I stary Pluto też jest! Co tam słyhać w Marion?

Pluto wstał, chcąc uścisnąć mu rękę, ale Will zatoczył się na drugą stronę pokoju.

Siadł w kącie pod ścianą i oparł głowę na rękach. Nie poruszał się tak długo, iż myśleli, że zasnął. Już mieli wyjść na palcach i dotarli do drzwi, kiedy Will podniósł głowę i odwołał ich z powrotem.

— Znowu chcieliście mi się wymknąć, co? Chodźcie no tu wszyscy i siadajcie przy mnie.

Rozamunda uczyniła bezradny gest i ze znużeniem opadła na łóżko. Pluto i Jill roześmieli się do Willa i usiedli.

— Jak tam Gryzelda? — zapytał. — Zawsze taka ładna? Z których stron ona pochodzi? Chętnie bym

tam kiedy pojechał i coś sobie wybrał.

— Will, proszę cię! — powiedziała Rozamunda.

— Ja jeszcze dostanę tę dziewczynę — oświadczył stanowczo Will, potrząsając głową. — Od dawna mam na nią ochotę i nie mogę już długo czekać. Muszę ją mieć.

— Proszę cię, siedź cicho, Will — rzekła Rozamunda, ale on jakby jej nie dosłyszał.

— Powiedz mi, jak Gryzelda teraz wygląda, Jill. Dojrzała już do zerwania? Dostanę ją, jak Boga jedyne kocham. Mam na nią oko, odkąd sprowadziła się do was. Gryzelda ma dwa najśliczniejsze...

— Will! — krzyknęła Rozamunda.

— Ach, co z tobą jest, u cholery? — powiedział z rozdrażnieniem. — Przecie wszystko zostaje w rodzinie, no nie? Dlaczego, u diabła, drzesz się na mnie, kiedy o niej mówię? Buck wcale by się nie martwił, gdybym ją wziął. Przecież nie może przez cały czas z niej korzystać. Nie powinno się robić tyle krzyku o takie głupstwo, jeżeli to nikomu nie szkodzi. Tak gadasz, jakbym się zabierał do córki króla angielskiego.

— Proszę cię, nie mów o tym teraz — powiedziała Rozamunda.

— Posłuchaj mnie — ciągnął Will. — To nie wina Gryzeldy, że jest najładniejsza w całej okolicy, ani też moja, że jej chcę. Więc co ci to szkodzi, do cholery? Jakem ją pierwszy raz zobaczył tam, w Georgii, obiecałem sobie, że jej poprobuję, i niech mnie szlag trafi, jeżeli nie dotrzymam własnej obietnicy. Ty dostajesz, co ci się należy, więc o co tyle krzyku?

— Porozmawiamy o tym innym razem, Willu, jeżeli mi obiecasz, że teraz przestaniesz. Pamiętaj, kto tu jest.

— Przecież wszystko zostaje w rodzinie, nie? Więc o co ci idzie, psiakrew?

Miła Jill spojrzała na Pluta i roześmiała się. Ten uczył, że fala krwi oblewa mu policzki, i obrócił się do ściany, ażeby ukryć twarz w cieniu, a Jill znowu wybuchnęła śmiechem.

Póki Will siedział w pokoju, nie było celu się odzywać. Rozamunda rozplakała się nagle.

— Nie ma w tym za grosz sensu — upierał się Will. — Przecież wszystko zostaje w rodzinie, no więc co? Ot, nasz stary Pluto zabawia się z Miłą Jill albo zabawiałby się, gdyby mógł. A ja chyba śpiam z tobą dosyć często, jeżeli tylko nie zadzierasz nosa i nie zaczynasz pleść o jakiejś cholernej świętości zbliżenia z kobietą i takich tam bzdurach. Więc dlaczego, do diabła, nie wolno mi powiedzieć, że chcę Gryzeldy? Chyba nie możesz żądać, żeby taka dziewczyna się zaszpurowała? To by dopiero była piekielna szkoda i grzech, jak pragnę zdrowia!

Rozplakał się na samą myśl o tym. Wstał; łzy ciekły mu po policzkach, szlochał tak, iż zdawało się, że serce mu pęknie. Usiłował powstrzymać strumień łez, wciskając pięści w oczy, ale to nic nie pomogło i łzy leciały dalej jak groch.

Rozamunda podniosła się z łóżka.

— No, już mu na szczęście przechodzi — powiedziała, oddychając z ulgą. — Za chwilę będzie w porządku. Zostawcie go, to zaraz przyjdzie do siebie. Chodźmy do drugiego pokoju. Zgaszę światło, żeby go nie raziło.

Pluto i Jill wyszli za nią, a Will pozostał zapłakany w rogu.

Kiedy zasiedli w sąsiedniej izbie, Rozamunda powiedziała do Pluta:

— Strasznie mi wstyd tego, co się stało, Pluto. Proszę cię, postaraj się zapomnieć i więcej o tym nie myśleć. Will nie wie, co mówi, kiedy się upije. Nie ma w tym ani słowa prawdy. Tego jestem pewna. Nie

byłabym mu za nic pozwoliła tak przy was gadać, ale co mogłam poradzić? Proszę cię, zapomnij o tym.

— Ależ dobrze, Rozamundo — odparł, rumieniąc się lekko. — Nie mam żadnej pretensji ani do ciebie, ani do Willa.

— No chyba, że nie masz — wtrąciła Jill. — Przecież to nie twoja sprawa. Siedź spokojnie i nic nie gadaj, Pluto.

Zaczęła rozmawiać z Rozamundą na inny temat, ale Pluto nie mógł dosłyszeć, o czym mowa. Siedział prawie na drugim końcu pokoju, a one coś szeptały do siebie. Było mu niewygodnie na małym krzeselku; z chęcią rozsiadłby się na podłodze, gdzie miałby więcej miejsca.

Po pewnym czasie w drzwiach stanął Will. Twarz miał zapadniętą, lecz trudno było poznać, że pił. Wydawał się zupełnie trzeźwy.

— Jak się masz, Pluto — powiedział, ściskając mu rękę. — Dawnośmy się nie widzieli. Już pewnie z rok, co?

— Ano chyba, Will.

Will przysunął sobie krzesło, siadł, odchylił się w tył i popatrzał na Pluta.

— No, i co teraz porabiasz? To samo, co zwykle?

— Tego roku kandyduję na szeryfa — odparł Pluto. — Ubiegam się o urząd.

— Będziesz pierwszorzędny — rzekł Will. — Na szeryfa trzeba kawał chłopca. Dlaczego tak jest, nie wiem, ale fakt faktem. Nie pamiętam, żebym kiedy widział chudego szeryfa.

Pluto roześmiał się dobrodusznie. Podeszedł do okna i wypluł sok tytoniowy.

— Powinienem teraz być w domu — powiedział — ale cieszę się, że miałem okazję wpaść do was. Tylko muszę wracać zaraz z samego rana i trochę pochodzić za głosami. Przez cały dzień nic nie załatwiłem. Wybrałem się nawet wcześniej, ale dojechałem tylko do Waldenów, a teraz tu siedzę w stanie Karolina.

— A stary i chłopaki ciągle tam kopią te dziury w ziemi?

— Prawie bez przerwy, dzień i noc. Ale teraz sprowadzają sobie z moczarów albinosa, który ma im odgadnąć, gdzie jest złoto. Dziś wieczorem wybrali się po niego przed naszym wyjazdem.

Will wybuchnął śmiechem i klepnął się po udach szerokimi dłońmi.

— Czary, co? A niech mnie szlag trafi! Nie wiedziałem, że Tay Tay zacznie na starość bawić się w czary. Zawsze mi opowiadał, jak to on naukowo podchodzi do kopania złota, a teraz bierze się do sztuk magicznych! Niech mnie lichy!

Pluto chciał jakoś wystąpić w obronie Tay Taya, ale Will tak ryczał ze śmiechu, że Pluto bał się tego uczynić.

— Może to coś i da — ciągnął Will — a może nie. Stary powinien się na tym znać, bo przecież blisko od piętnastu lat bawi się w to kopanie na farmie i chyba teraz już z niego fachowiec. To złoto tam jest, co, Pluto?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Pluto — ale myślę, że musi być, bo odkąd pamiętam, ludzie wykopywali bryłki w całej okolicy. Złoto gdzieś jest, bo sam te bryłki widziałem.

— Ile razy słyszę, że Tay Tay kopie doły, sam jakby dostaję gorączki — powiedział Will. — Ale jak tylko tam pojedę i posiedzę w tym słońcu, zaraz mnie całkiem odchodzi ochota. Co prawda, wcale bym się nie obraził, gdybym gdzie znalazł złoto. Bo tutaj tak coś wygląda, że nie ma wielkich widoków na utrzymanie się z pracy w fabryce. Chyba że coś z tym zrobimy.

Will obrócił się i wskazał przez okno ciemną bryłę przędzalni bawełny. W olbrzymim budynku nie

płonego ani jedno światło, ale stojące przed wejściem uliczne latarnie łukowe powlekały cienkim pokostem żółtawego blasku obrośnięte bluszczem mury.

— A kiedy fabryka znowu ruszy? — zapytał Pluto.

— Nigdy — odparł z niechęcią Will. — Nigdy, jeżeli jej sami nie uruchomimy.

— Ale co to się stało? Dlaczego stoi?

Will pochylił się w krześle.

— Którego dnia sami tam wejdziemy i włączymy prąd — powiedział z wolna. — Tak zrobimy, jeżeli kompania nie uruchomi niedługo fabryki. Półtora roku temu obcięli płace do dolara dziesięć, a kiedyśmy zrobili o to piekło, zamknęli prąd i wyrzucili nas. Ale mimo to dalej ściągają czynsz za te cholerne przewety, w których musimy mieszkać. Teraz już wiesz, dlaczego sami uruchomimy fabrykę, co?

— Przecież inne przędzalnie w Dolinie pracują — powiedział Pluto. — Jakaś dzisiaj jechali z Augusty, minęliśmy ze sześć oświetlonych fabryk. Może i tę niedługo puszcza w ruch.

— Jak cholera, ale za dolara dziesięć. Inne przędzalnie pracują, bo tak zagłodzili tkaczy, że musieli wrócić do roboty. To było jeszcze zanim Czerwony Krzyż zaczął wydawać worki mąki. Musieli wrócić do pracy i brać dolara dziesięć albo zdychać. Ale, psiakrew, my w Scottsville nie musimy. Wytrzymamy, póki będziemy od czasu do czasu dostawać worek mąki. A teraz władze stanowe rozdają drożdże. Jak się rozpuści kostkę w szklance wody i wypije, to człowiekowi robi się lepiej na jakiś czas. Zaczęli wydawać drożdże, bo wszyscy w Dolinie dostali ostatnio pelagry z wygłodzenia. Dyrekcja nie ściągnie nas z powrotem, póki nie skróci dnia pracy, nie zmniejszy godzin nadliczbowych albo nie wróci do dawnych płac. Prędzej mnie nagła krew zaleje, niż będę tyrał dziewięć godzin dziennie za dolara dziesięć, kiedy te bogate sukinsyny, właściciele zakładów, rozjeżdżają się po całej Dolinie autami po pięć tysięcy dolarów.

Willa rozgrzał ten temat; skoro raz zaczął mówić, nie mógł już przerwać. Opowiedział Plutowi coś niecoś o planie odebrania fabryki właścicielom i poprowadzenia jej na własną rękę. Mówił, że robotnicy w Scottsville już od półtora roku są bez pracy i zaczyna im rozpaczliwie brakować odzieży i żywności. W ciągu owego czasu zawarli między sobą porozumienie zobowiązujące do nieustępliwości każdego mężczyznę, kobietę i dziecko z miasteczka fabrycznego. Kompania próbowała wyeksmitować ich z mieszkań za niepłacenie czynszu, ale miejscowa organizacja związkowa uzyskała orzeczenie sędziego z Aiken zakazujące kompanii usuwanie robotników z domków fabrycznych. Will twierdził, że wobec tego gotowi są upierać się przy swoich żądaniach póty, póki w Scottsville będzie fabryka.

Rozamunda podeszła do Willa i położyła mu dłoń na ramieniu. Stała przy nim milcząco, aż skończył mówić. Pluto rad był, że przyszła: poczuł się nieswojo w Scottsville, gdyż Will mówił tak, jakby lada chwila miało tu dojść do jakichś rozruchów.

— Czas się położyć, Willu — powiedziała łagodnie. — Jeżeli mamy jechać jutro rano z Miłą Jill i Plutem, to powinniśmy trochę się przespać. Już po północy.

Will objął ją i pocałował w usta. Pochyliła się w jego ramiona, przymknęła oczy, a palce jej splotły się z jego palcami.

— Dobrze — powiedział, podnosząc ją ze swych kolan. — Chyba już rzeczywiście czas.

Pocałowała go raz jeszcze i odeszła do drzwi. Przystanęła tam na chwilę, w pół obrócona, patrząc na męża.

— Chodź do łóżka, Jill — powiedziała.

Weszły do sypialni znajdującej się po przeciwnej stronie sieni i zamknęły drzwi. Pluto zaczął zdejmować krawat i koszulę. Ściągnąwszy je, rozwiązał sznurowadła trzewików. Teraz był już gotów położyć się na podłodze i spać. Will przyniósł poduszkę i koc i rzucił mu je pod nogi. Potem poszedł do sypialni i także zamknął drzwi za sobą.

— A gdzie ja mam spać? — zapytał i przystanąwszy na środku pokoju, patrzył, jak Jill się rozbiera.

— W drugim łóżku — powiedziała Rozamunda. — No, a teraz już idź i nie przeszkadzaj Miłej Jill. Będzie tu spała ze mną. Tylko proszę cię, nie zaczynaj awantur, bo jest strasznie późno. Już po północy.

Bez słowa otworzył drzwi i wszedł do przyległego pokoju. Rozebrał się i położył do łóżka. Za gorąco było, żeby spać pod przykryciem czy choćby w białiznie. Wyciągnął się na łóżku i przymknął oczy. Był jeszcze trochę pijany i głowa zaczynała boleć go w skroniach. Wiedział, że gdyby nie czuł się tak marnie, wstałby i zaczął wyklócać się z Rozamundą o to spanie w innym pokoju.

Kiedy obie siostry rozebrały się, Rozamunda zgasła światło i dla lepszego przewiewu pootwierała wszystkie pokoje. Will słyszał, że odmyka drzwi tego pokoju, w którym leżał, ale był nazbyt zmęczony i śpiący, aby otworzyć oczy i zawołać ją. Zbliżała się już pierwsza w nocy, kiedy wreszcie wszyscy posnęli; jedynym odgłosem w całym domu było chrapanie Pluta, śpiącego na legowisku po drugiej stronie sieni.

Nad ranem Will obudził się i poszedł do kuchni napić się wody. Było teraz trochę chłodniej, ale jeszcze za gorąco, by nakryć się kołdrą. Wracając, przyjrzał się Plutowi śpiącemu na podłodze, we wnękającym przez okna, migotliwym świetle latarni ulicznych. Poszedł do sypialni i stanął nad łóżkiem, przypatrując się śpiącej Rozamundzie i Miłej Jill. Stał tak kilka minut, zupełnie rozbudzony, i spoglądał na ich białe ciała widoczne w mdłym blasku latarni z rogu ulicy. Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie zbudzić Jill, ale zrobiło mu się trochę niedobrze, znowu wróciło pulsowanie w skroniach, więc poszedł do swego pokoju i przymknął oczy.

Nie pamiętał nic aż do chwili, kiedy zbudziło go słońce, które padło na jego twarz. Była już prawie dziewiąta, a w domu panowała zupełna cisza.

Rozdział 6

Will, leżąc na boku, patrzył przez okno na sąsiedni żółty domek fabryczny, gdy wtem poczuł na plecach dotyk czegoś ciepłego, jak gdyby jakiś mruczący kot ocierał się o jego nagie ciało. Zupełnie wytrzeźwiony ze snu, przewrócił się na drugi bok i podniósł na łokciu.

— O rany boskie! — wykrzyknął.

Miła Jill usiadła na łóżku i zaczęła się z nim przekomarzać. Pociągnęła go za włosy i przesunęła ręką po twarzy, nieco za mocno, aż go zabolął nos.

— Nie złość się na mnie, dobrze, Will?

— Złościć się? — odparł. — Wesoło mi, jakby mnie kto połechtał.

— To i mnie trochę połechtaj, Will.

Spróbował ją pochwycić, ale się wysliznęła. Zdawało mu się, iż przytrzymał ją tak mocno, że nie zdoła mu uciec. Gwałtownym ruchem złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Jill wtuliła się w jego ramiona i zaczęła całować go po piersiach, a Will roześmiał się.

— Gdzie Rozamunda? — przypomniał sobie nagle.

— Wyszła na miasto po szpilki do włosów.

— Dawno?

— Z minutkę temu.

Will podniósł głowę i wyjrzał przez poręcz łóżka.

— A Pluto?

— Siedzi sobie na ganku.

— Cholera — powiedział Will, opuszczając głowę na poduszkę. — Ten jest za leniwy, żeby wstać.

Przytuliła się mocniej i opasała go ramionami. Will silnie ścisnął jej pierś.

— Nie tak mocno, Will, to boli.

— Jeszcze cię mocniej zabolę, nim z tobą skończę.

— Najpierw mnie trochę pocałuj, Will. Bardzo to lubię.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Jill objęła go i przywarła doń całym ciałem. Wtedy pocałunki Willa stały się jeszcze zacieklejsze.

— Weź mnie, Will — szepnęła błagalnie. — Proszę cię, zaraz.

Przez okno sąsiedniego żółtego domku fabrycznego wychyliła się jakaś kobieta i kilkakrotnie strzepnęła o mur ścierką od kurzu, aby wytrząsnąć z niej pył i paprochy.

— Weź mnie, Will... Nie mogę czekać.

— Ani ty, ani ja — odparł.

Ukląkł na łóżku i podniósł głowę Jill, aby wyciągnąć jej włosy spod pleców. Przesunął niżej poduszkę, a długie, kasztanowate włosy dziewczyny zwisły przez krawędź łóżka niemal aż do podłogi. Spojrzał na Jill i zauważył, że uniosła ciało tak, że prawie go dotykała.

Oprzytomniał dopiero, gdy usłyszał, że Jill krzyczy mu w ucho. Nie wiedział, od jak dawna tak krzyczała. Zapamiętał się całkowicie w tym momencie pełnym rozkoszy.

Po chwili podniósł głowę i spojrzał jej w twarz. Otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się do niego.

— Cudownie było, Will — szepnęła. — Zrób mi to jeszcze raz.

Popróbował uwolnić się z jej objęć i wstać, ale go nie puszczała. Wiedział, że czeka na spełnienie swej prośby.

— Will, zrób mi to jeszcze raz.

— Do diabła, Jill, nie mogę tak zaraz.

Znowu próbował oswobodzić się i podnieść. Jill trzymała go nieustępliwie.

— A jak wrócimy do Georgii?

— Jeżeli w Georgii jest równie dobrze jak w Karolinie, to na pewno tak, Jill.

— W Georgii jest lepiej — uśmiechnęła się.

— Niech mnie licho! — powiedział.

— Mówię ci, że w Georgii jest jeszcze lepiej.

— Niech będzie. A jakby nie, to cię zaraz przywiozę z powrotem do Karoliny.

— Ja i tak będę dziewczyną z Georgii, nawet gdybyś mnie tu przywiózł.

— Dobra, wygrałaś — rzekł. — Ale jeżeli wszystkie dziewczyny z Georgii są takie fajne jak ty, to już tam zostanę.

Jill podniosła rękę i potarła ślady zębów w miejscu, gdzie ją ugryzł. Will chętnie by podniósł się i położył na brzuchu, ale wciąż nie chciała go puścić. Leżał więc bez ruchu, z przymkniętymi oczami, czując błogość w całym ciele.

Wtem jak grom z jasnego nieba coś trzasnęło go straszliwie w pośladki. Will ryknął i nieomal wyskoczywszy w powietrze, przewrócił się na wznak. Oczy wylaziły mu z orbit; nawet uderzenie pioruna nie przestraszyłoby go tak okropnie.

Zanim zdołał cokolwiek wykrztusić, wzrok jego padł na stojącą przy łóżku Rozamundę. Potrząsała groźnie szczotką do włosów trzymaną w jednej ręce, drugą zaś z całej mocy usiłowała odwrócić na brzuch Miłą Jill. To jej się w końcu udało, a wtedy, nim Jill zdążyła się wysliznąć, trzasnęła ją szybko pięć czy sześć razy z rzędu.

Will pojął, że nie ma celu próbować się podnieść, więc leżał nieruchomo, wpatrzony w szczotkę, którą nieruchomo trzymała Rozamunda, i modlił się w duchu, by żona nie obróciła go na brzuch i znowu nie zaczęła okładać.

Jill zrazu się roześmiała, ale była paskudnie obita, a bąble bolały tak mocno, że zaczęła płakać. Will wsunął rękę pod siebie i pomacał grubą pręgę, która mu wystąpiła na ciele. Roztarł ją lekko, usiłując pozbyć się uczucia pieczenia. Pośladki Jill były czerwone jak ogień, a na jej delikatnej skórze widniały szkarłatne plamy. Spojrzał raz jeszcze i zauważył, że nowe bąble pokazują się na poprzednich, nabrzmiewając niby owalne placki wielkości i kształtu szczotki Rozamundy.

Za Rozamundą stał Pluto i patrzył ze współczuciem na drżące, nagie ciało Miłej Jill i jej rozedrgane, okaleczone pośladki.

— O Jezu — stęknął Will, dotykając pręgi na siedzeniu.

— Tylko tyle masz do powiedzenia na swoją obronę? — spytała Rozamunda. — Wychodzę do sklepu, nie ma mnie najwyżej kwadrans albo dwadzieścia minut, a ty takie rzeczy wyprawiasz, jak tylko na chwilę odejdę? Jak ci się zdaje, co by powiedział Pluto, gdyby potrafił gadać? To nie wiesz, że on chce się z nią żenić? Mało mu serce nie pęknie, jak to widzi. A gdybyś tak wyszedł na miasto, wrócił i zastał mnie w łóżku z Plutem?

Co byś wtedy zrobił? Nie umiesz powiedzieć nic więcej, tylko: "O Jezu"?

Jill nagle wybuchnęła śmiechem. Przez chwilę patrzyła na Rozamundę, potem na Pluta. Zaczęła śmiać się jeszcze głośniejsze.

— Chyba nie z tym brzuchem, Rozamundo? — powiedziała. — A bo to on by mógł z takim brzuszyskiem?

Rozamunda powściągnęła uśmiech, natomiast twarz Pluta oblała się purpurą. Odwrócił głowę i cofnął się ku ścianie, jakby chciał wcisnąć się w nią, ażeby zejść im z oczu. Jill przyłożyła rękę do bąbli i znowu zaczęła płakać.

— Chwileczkę, Rozamundo — odezwał się Will.

Spojrzała na niego, opierając trzymaną w ręku szczotkę o poręcz łóżka.

— To ja muszę cię prosić, żebyś się ze mną czasem przespał, a Miła Jill przyjeżdża na jedną noc i zaraz ją bierzesz! Przecież nie jest ładniejsza ode mnie.

Nie przychodziło mu nic do głowy. Nie mógł wynaleźć ani słowa odpowiedzi. Ona jednak patrzyła na niego uporczywie i wiedział, że musi coś powiedzieć, zanim Rozamunda uczyni następny ruch.

— Przecież jeden raz nie szkodzi, no prawda, Rozamundo?

— Jeden raz! Zawsze to samo. Jak cię zapytam, dlaczego coś zrobiłeś, mówisz, że to tylko raz. Miałeś po razie każdą dziewczynę w mieście. To jest to samo co sto razy. Nigdy nie pomyślisz, co ja czuję, kiedy się szwendasz z jakąś dziewczuchą, z którą w ogóle nie powinieneś się zadawać, a ja tu siedzę w domu i głowę sobie łamię, gdzie jesteś i co robisz?

Odwrócił głowę na tyle, by kątem oka zerknąć na Jill.

— Może to dlatego, że ona jest z Georgii, Rozamundo. Tak, chyba dlatego.

— To żadne wytłumaczenie. Nawet nie potrafisz czegoś wymyślić. Ja też jestem z Georgii, a przynajmniej byłam, póki nie wyszłam za ciebie i nie przeniosłam się tu, do Karoliny.

Will zerknął na Pluta, ale ten najwyraźniej nie miał żadnego godnego uwagi pomysłu. Wpatrywał się tępo w Willa.

— Kochanie — rzekł potulnie Will. — Takem ją tylko pomacał i trochę pocałował, a potem anim się połapał, jak już musiałem... Ale nie chciałem zrobić nic złego... No, i tak to się stało.

— Gdybym tu miała kij od baseballu, tobym ci pokazała — odrzekła Rozamunda.

Will zaczynał odzyskiwać nieco ufności w swoją zdolność przekonywania Rozamundy. Już się nie bał i wiedział, że potrafi odebrać jej szczotkę, gdyby znów chciała go zbić.

— Słuchaj, Rozamundo — powiedział. — Taka dziewczyna jak Miła Jill nie może się gdzieś pokazać, żeby ktoś zaraz nie dobierał się do niej. Już taka jest od samego początku.

Rozamunda uczyniła ruch, jak gdyby chciała znowu obić ich szczotką, ale zamiast tego obróciła się i podbiegła do komody stojącej nieopodal kąta, w który wcisnął się Pluto. Szarpnęła szufladę i wyciągnęła z niej mały rewolwer z kolbą okładaną masą perłową. Pryskoczyła do łóżka, trzymając broń w wyciągniętej ręce.

— Rany boskie, Rozamundo! — ryknął Will. — Rozamundo, kochanie moje, nie rób tego!

Jill podniosła głowę znad poduszki akurat w porę, by spostrzec odwodzony kurek i usłyszeć jego szczęknięcie. Will siadł na łóżku, przyciskając do piersi poduszkę.

— Jeżeli cię pokiereszuję, to ci to zejdzie, ale jak cię zastrzele, to już zostanie!

— Kochaneczko — zaczął ją błagać. — Połóż to, a już więcej nie zrobię nic złego. Jak Boga jedyne

kocham, nie zrobię. Jakby mnie która dziewczyna namawiała, wrzucę ją do potoku. Przysięgam ci na Pana Boga, że póki życia, więcej tego nie będzie, Rozamundo, moje kochanie.

Rozamunda pociągnęła za cyngiel i pokój wypełnił się białym dymem. Mierzyła w nogi Willa, ale chybiła. Will rzucił się do niej, usiłując wyrwać jej mały rewolwerek. Rozamunda strzeliła po raz drugi. Kula przeleciała między nogami Willa, który zląkł się śmiertelnie. Zerknął w dół, czy nie jest trafiony, ale bał się przyglądać dłużej. Pognął do okna i wyskoczył na dwór, lądując na ręce i piersi. W sekundę po dotknięciu ziemi był już na nogach i zniknął za węglem.

Kobieta z sąsiedniego żółtego domku fabrycznego podbiegła do okna i wytknęła przez nie głowę. Ujrzała Willa, który co sił w nogach pędził nago przez podwórko, a potem ulicą. Kiedy zniknął jej z oczu, obejrzała się na Rozamundę, która stała w oknie, trzymając w drżącej dłoni okładany masą perłową rewolwerek.

— Czy to Will Thompson? — zapytała kobieta.

Rozamunda wychyliła się z okna i wyjrzała na ulicę.

— Gdzie on poleciał? — spytała.

— A o, tamtędy — odparła kobieta, nie mogąc dłużej powstrzymać się od śmiechu. — To coś nowego, żeby Willa Thompsona ktoś wypłoszył z własnego domu, no nie? Muszę opowiedzieć Charliemu, jak wróci. Skona ze śmiechu, kiedy to usłyszy. No i że Will Thompson był goły jak święty turecki. To ci dopiero heca!

Rozamunda cofnęła się do pokoju, schowała rewolwer i zatrzasnęła szufladę. Potem usiadła na krześle i rozplakała się.

Pluto nie miał pojęcia, co począć. Nie wiedział, czy iść za Willem i sprowadzić go z powrotem do domu, czy zostać i próbować uspokoić Miłą Jill i Rozamundę. Jill już trochę ochłonęła i nie płakała tak głośno, natomiast Rozamunda zalewała się łzami. Pluto pochylił się i pogładził ją po dłoni. Rozamunda odtrąciła jego rękę i rozplakała się jeszcze histeryczniej. Wobec tego Pluto doszedł do wniosku, że najlepiej będzie chwilowo nic nie robić. Usiadł na powrót i czekał.

Niebawem Rozamunda wstała i podbiegła do łóżka, na którym leżała siostra. Rzuciła się na posłanie, porwała Jill w ramiona i znowu wybuchnęła płaczem. Leżały przy sobie, pocieszając się wzajemnie. Pluto patrzył na to z niedowierzaniem; spodziewał się, że skoczą sobie do oczu, zaczną wydzierać włosy, drapać się paznokciami i wyzywać od ostatnich. Tymczasem nie robiły nic podobnego. Obejmowały się wzajemnie i razem płakały. Pluto nie mógł pojąć, dlaczego Rozamunda nie usiłuje zastrzelić Jill, a już przynajmniej, dlaczego się na nią nie gniewa. Przypatrując im się w tej chwili, nie wyobrażał sobie, jak Rozamunda mogła uczynić to, co zrobiła przed paru minutami. Obie zachowywały się teraz niczym ofiary wspólnego cierpienia.

Kiedy Rozamunda już prawie przestała szlochać, usiadła na łóżku i popatrzała na siostrę. Czerwone placki na pośladkach Jill wciąż pulsowały przenikliwym bólem, toteż dziewczyna nie mogła położyć się na wznak. Rozamunda delikatnie dotknęła pęreg czubkami palców, jak gdyby mogła w ten sposób złagodzić nieco ból.

— Leż tak, póki nie wrócę — powiedziała. — Zaraz będę z powrotem.

Pobiegła do kuchni i wróciła z garnuszkiem smalcu i dużym ręcznikiem kąpielowym. Usiadła na brzegu łóżka i zanurzyła palce w tłuszczu.

— Chodź tu, Pluto — powiedziała, nie obracając się do niego. — Pomożesz mi.

Pluto podszedł do łóżka, rumieniąc się po koniuszki uszu na widok Jill leżącej przed nim nago.

— Podnieś ją ostrożnie i połóż sobie na kolanach — rozkazała Rozamunda. — Tylko uważaj, żeby jej

nie urazić w to miejsce.

Pluto wsunął ręce pod Jill, podkładając rozwarte płasko dłonie pod jej piersi i uda. Ale zaraz wyrwał stamtąd obie ręce, a jego twarz i kark oblały się szkarłatem.

— Co ty wyprawiasz?

— Może ty ją lepiej podnieś.

— Nie bądź głupi, Pluto. Jakże ja mogę ją podnieść? Przecież nie mam siły.

Ponownie wsunął pod nią ręce, przymykając oczy i zaciskając usta.

— Prędko, Pluto, pomóż mi posmarować tłuszczem te opuchnięte miejsca, zanim zsinieją.

Pluto uniósł i obrócił Jill. Przysiadł na brzegu łóżka obok Rozamundy i ułożył sobie Jill na kolanach. Rozamunda natychmiast poczęła smarować ją smalcem. Pluto chętnie by się temu przyjrzał, ale nie mógł oderwać oczu od długich włosów Jill, zwisających aż do podłogi. Dźwignął nieco dziewczynę, aby włosy nie muskały posadzki. Jill skrzywiła się parę razy, gdy Rozamunda jej dotknęła, ale nie protestowała ani nie próbowała się podnieść.

Kiedy smalec został starannie rozsmarowany, Rozamunda wytarła palce w ścierkę i zaczęła składać ręcznik, aż przemienił się w długi, gruby bandaż. Pluto zerknął na miękkie pośladki Jill i uczył nagłe pragnienie dotknięcia ich i uśmierzenia bólu. Ile razy spojrział na utrzymaną w poprzek kolan dziewczynę, oblewał się cały rumieńcem.

— Pomóż jej wstać, Pluto — powiedziała Rozamunda. — Podnieś ją i postaw na nogi.

Miła Jill stała przed Plutem i siostrą, która bandażowała ją ręcznikiem. Pluto utkwiał wzrok w tym punkcie ciała Jill, który akurat znajdował się najbliżej. Patrzył prosto przed siebie, nie przesuwając oczu ani w lewo, ani w prawo. Czuł, że Jill też patrzy na niego, ale nie mógł się zdobyć na to, by podnieść głowę i spojrzeć jej w twarz. Nie był zupełnie pewny, ale miał wrażenie, że pochyliła się lekko ku niemu.

— Podobam ci się, Pluto? — spytała z uśmiechem.

Twarz mu drgnęła, a szyja zapiekła od nagłej fali krwi. Spróbował podnieść wzrok i spojrzeć Jill w oczy. Dźwignięcie głowy w górę i do tyłu było dlań dużym wysiłkiem, lecz zmusił się do tego.

— Pogniewam się, jeżeli nie powiesz, że ci się teraz podobam — rzekła, odymając usta.

— Wariuję za tobą, Jill — odparł zdławionym głosem. — To fakt.

— A dlaczego czerwieni ci się twarz i kark, kiedy mnie tak widzisz?

Znów uczył świeży przyływ krwi i zmieszał się. Bezwiednie pociągnął za nitkę wysiepaną z koldry.

— Bo mi się podobasz — odparł.

— Ożeniłbyś się ze mną?

— Choćby zaraz, w każdej chwili — powiedział. — To fakt.

— Ale masz za duży brzuch, Pluto.

— E, Jill, chyba to nie przeszkadza?

— Gdyby nie był taki wielki, mógłbyś przysunąć się bliżej.

— Dajże spokój, Jill.

— To fakt — powiedziała, przedrzeźniając go.

— Daj spokój — powtórzył, usiłując objąć ją wpół.

Nie opierała się, gdy przyciągnął ją blisko, aby ją pocałować. Pluto, siedząc, wziął Jill między kolana i począł wyciągać szyję jak najwyżej, ale usta dziewczyny były tak daleko, iż widział, że ich nie dosięgnie, jeżeli

nie wstanie albo też ona nie pochyli się ku niemu. Rozumował sobie, iż jej o wiele łatwiej schylić się niż jemu podnieść się, i czuł, że Jill to wie. Jednakże nadal stała wyprostowana w jego objęciach, dręcząc go tym, że nie chciała pochylić się i dotknąć jego warg ustami. W chwili gdy zastanawiał się, czyby jednak nie wstać, przysunęła się blisko, z lekka skręcając ciało w bok. Nim uświadomił sobie, jak to się stało, uczuł na twarzy jej ciepłą pierś i począł całować ją jak opętany.

— Przystań w tej chwili, Jill! — zawołała Rozamunda, wstając i rozdzielając ich. — Nie drażnij w ten sposób Pluta. To wstyd tak traktować biednego chłopaka. Któregoś dnia weźmie się do ciebie, a wtedy nie wiadomo, co będzie.

Jill wyrwała się z objęć Pluta i pobiegła do sąsiedniego pokoju, przytrzymując ręcznik na biodrach. Pluto siedział otumaniony, ręce mu zwisły bezwładnie, a usta rozwarły się szeroko. Rozamunda spojrzała na niego: zrobiło jej się tak żal Pluta, że zawróciła i czule poklepała go po policzku.

Rozdział 7

W południe syreny przędzały bawełny w całej Dolinie ozwały się na przerwę obiadową. Nagle wszędzie ustało tętnienie maszyn, a mężczyźni i kobiety poczuli wychodzić z budynków, wydłubując sobie z uszu kłaczki bawełny. Natomiast w przyfabrycznym miasteczku Scottsville ludzie nie ruszyli się z krzeseł na gankach. Było południe, pora obiadowa, ale w Scottsville wszyscy siedzieli ze skurczonymi żołądkami i czekali na koniec strajku.

W sąsiednim żółtym domku fabrycznym kobieta rozpałała ogień pod kuchnią i postawiła na blasze garnek z wodą. Ona, jej mąż i dzieci pochłoną wszystko, co tylko jest do jedzenia, i nawet nie wyglądzą im się zmarszczki w kącikach ust. Każdy kolejny dzień był zwycięstwem; od osiemnastu miesięcy stawiali opór kompanii i nie mieli zamiaru ustąpić, póki jeszcze pozostawała nadzieja.

Rozamunda zaproponowała, żeby ukręcić lodów.

— Will chętnie zje, jak wróci — powiedziała.

Posłały Pluta po lód. Poszedł do sklepu na rogu i wrócił najszybciej, jak mógł, a tymczasem Rozamunda wyparzyła maszynkę i obrała brzoskwinie. Pluto był w nieustannym strachu, przebywając w Dolinie. Lękał się, że ktoś wyskoczy na niego zza drzewa i poderżnie mu gardło od ucha do ucha, a nawet w domu bał się sięść tyłem do drzwi lub okna.

Podczas gdy Rozamunda przygotowywała krem, Miła Jill wyszła na tylny ganek i siadła w cieniu na poduszce. Uczesała się, ale nie upięła włosów. Zwiślały jej na plecy, okrywając ramiona, i sięgały prawie do ziemi. Miała na sobie pożyczony od Rozamundy szlafrok, pod spodem zaś ręcznik i czarne jedwabne pończochy z kanarkowożółtymi podwiązkami.

Kiedy Pluto wrócił z lodem, krem był już gotowy do zamrożenia. Pluto widział, że będzie musiał kręcić maszynkę.

Teraz, gdy słońce schowało się za dom, na ocienionym tylnym ganku było chłodniej. Niekiedy dolatywał tu powiew wiatru, a temperatura wynosząca w południe dziewięćdziesiąt stopni Fahrenheita była znośna. Szeroki, zielony, zimny potok Horse Creek przypominał podłużne jezioro, rozciągające się na całe mile w Dolinie.

— Muszę się zbierać do domu — powiedział Pluto.

— To fakt.

— Wyborcy obejdą się bez ciebie — odrzekła Jill. — Ucieszą się, że im dzisiaj nie zawracasz głowy. A zresztą i tak nie jesteśmy jeszcze gotowi do drogi.

— Zmarnowałem wczorajszy i przedwczorajszy dzień, i jeszcze kilka dni przedtem. A teraz zmarnuję i dzisiejszy.

— Jak wrócimy, poagituję trochę za tobą — powiedziała Jill. — Zbiorę ci tyle głosów, że nie będziesz wiedział, co z nimi robić.

— Jednak chciałbym już być z powrotem — odparł. — To fakt.

Począł szybciej kręcić korbą maszynki w nadziei, że skończy na czas, by wyruszyć w ciągu godziny.

— Żeby ten Will już wrócił! — odezwała się Rozamunda. — Nie myślicie, że tym razem pójdzie sobie na dobre i nigdy więcej nie pokaże się w domu?

Miała Jill westchnęła i spojrzała w kuchenne okno sąsiedniego żółtego domku. Jacyś ludzie jedli tam sandwicze, popijając mrożoną herbatą. Na ten widok Jill czuła lekki głód.

Rozamunda uznała, że lody już dostatecznie zgęstniały. Pluto z trudem obracał korbą w tym tempie, w jakim zaczął; pot ściekał mu po twarzy, a dolna warga zwisała z wyczerpania. Jedną ręką trzymał maszynkę, a drugą kręcił uparcie.

Nikt nie patrzył w stronę węgła domu, kiedy Will wytknął zza niego głowę. Przyglądał im się przez parę minut. Gdy zobaczył, że Pluto kręci lody, wysunął się zza rogu i z wolna ruszył ścieżką ku schodkom ganku.

— Patrzcie, idzie Will — powiedziała Jill, która pierwsza go zauważyła.

Will stanął jak wryty i spojrzał na Rozamundę.

— Will! — krzyknęła Rozamunda.

Zerwała się z miejsca, zbiegła ze schodków na spotkanie męża, zarzuciła mu ręce na szyję i poczęła całować go jak szalona.

— Will, nic ci nie jest?

Poklepał ją po ramieniu i pocałował. Miał na sobie tylko pożyczone gdzieś spodenki koloru khaki, był boso i bez koszuli.

Rozamunda pociągnęła go do schodków i posadziła na swoim krześle. Pluto przestał kręcić korbą i popatrzał na Willa. Nie spodziewał się zobaczyć go tak prędko.

— Lody już zgęstniały, Pluto — rzekła Rozamunda. — Zdejmij pokrywę, a my przyniesiemy łyżki i talerzyki. Tylko uważaj na sól. Wymij trochę lodu, bo jeszcze zapomnisz.

Wróciła po chwili. Jill wzięła dużą łyżkę, nałożyła lodów na talerzyki i podała je wszystkim po kolei. Rozamunda nie chciała odejść od Willa. Wziął do ust trochę brzoskwiniowych lodów i uśmiechnął się do niej.

— Słyszałeś coś o uruchomieniu fabryki? — spytała.

— Nie.

Kobiety z żółtych domków fabrycznych co dzień zadawały to pytanie, lecz mężczyźni stale odpowiadali, że nie słyszeli nic.

— Przecież inne zakłady wciąż pracują, prawda?

— Chyba tak — odparł.

— A kiedy nasza ruszy?

— Nie wiem.

Myśl o tym, że inne fabryki pracują regularnie, zmroziła Willa. Siedział wyprostowany i patrzył na szeroki, zielony potok. Horse Creek płynął spokojnie, przypominając gładkie jezioro. Kiedy Will zaczął myśleć o innych przedsiębiorstwach w Dolinie, które dzień i noc pracowały, roztoczył się przed jego oczami żywy obraz. Ujrzał okryte bluszczem mury fabryki stojącej nad zieloną wodą. Był wczesny ranek, rozbrzmiewały syreny wzywające do pracy ochoche dziewczęta. Teraz do przedsiębiorstwa przychodziły już tylko dziewczyny, nie mężczyźni; fabryka wołała je zatrudnić, bo nie buntowały się przeciwko cięższej robocie, dodatkowym godzinom, dłuższej pracy czy obcinaniu płac. Will widział dziewczyny biegnące wczesnym rankiem do fabryki, podczas gdy mężczyźni stali na ulicach, przypatrując się temu bezradnie.

Przez cały dzień wokół okrytych bluszczem murów panowała cisza i spokój. Maszyny nie warczały tak głośno, gdy stały przy nich dziewczęta. Kiedy pracowali mężczyźni, cała przedsiębiorstwa aż huczała. Wieczorem

bramy rozwierały się na oścież i z fabryki wybiegały dziewczyny, śmiejąc się głośno. Znalazłszy się na ulicy, zawracały ku murom, po których piał się bluszcz, przywierały do niego, dotykały go ustami. Mężczyźni, którzy całymi dniami stali beczynnie pod fabryką, ciągnęli je do domu i bili niemiłosiernie za tę zdradę.

Will ocknął się nagle i zobaczył Pluta, Rozamundę i Jill. Przed chwilą był bardzo daleko, a powróciwszy, zdziwił się na ich widok. Przetarł oczy, zastanawiając się, czy nie spał. Wiedział jednak, że nie, bo jego talerzyk był pusty. Leżał mu w rękach, ciężki i twardy.

— O, Chryste — szepnął.

Przypomniał sobie czasy, kiedy fabryka szła dzień i noc. Mężczyźni, którzy tam pracowali, byli zmęczeni, wyczerpani, natomiast dziewczyny kochały się w krosnach, wrzecionach i lotnych kłaczkach bawełny. Za obrośniętymi bluszczem murami fabryki te dziewczęta o szalonych oczach wyglądały jak kwitnące rośliny w doniczkach.

Po całej Dolinie rozsiane były miasteczka przyfabryczne i obrośnięte bluszczem przędzalnie; wszędzie były dziewczyny o jędrnych ciałach i oczach jak szafirowe kwiaty powoju, a na rozprażonych ulicach stali, spoglądając po sobie, mężczyźni i wypluwali płuca w sypki, żółty pył Karoliny. Will wiedział, że nigdy nie potrafi odejść od błękitnie oświetlonych nocą fabryk, od stojących na ulicach mężczyzn o zakrwawionych ustach, od niepokoju miasteczek fabrycznych. Nic już nie zdoła go stąd odciągnąć. Mógł wprawdzie wyjechać na jakiś czas, ale nie potrafiłby znaleźć sobie miejsca i czułby się nieszczęśliwy, póki by nie powrócił. Musiał tu zostać i pomagać kolegom w zdobywaniu jakichś środków do życia. Ulice fabrycznego miasteczka nie mogłyby istnieć bez niego; musiał tu żyć i stapać po nich, patrzeć, jak wieczorem słońce kryje się za fabryką, a rankiem nad nią wschodzi. Dziewczęta na ulicach miasteczek w Dolinie miały jędrne i prężne piersi. Materiały tkane w niebieskim świetle rękami dziewcząt okrywały ich ciała, ale pod tkaniną drzenie prężnych piersi było niby szybkie ruchy niespokojnych dłoni. W miasteczkach Doliny piękność była żebracza, a głód silnych mężczyzn przypominał skowyt bitych kobiet.

— Jezu Chryste — szepnął z cicha Will.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że Miła Jill nakłada mu na pusty talerzyk nakrapiane kawałeczkami brzoskwiń lody. Zanim zdążyła się odwrócić i odejść, Will chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Pocałował ją kilkakrotnie w policzek, silnie ściskając dłoń.

— Na miłość boską, nie przyjeżdżaj tu nigdy i nie idź do pracy w przędzalni — powiedział. — Nie zrobisz tego, prawda, Jill?

Zaczęła się śmiać, ale kiedy spojrzała mu w twarz, ogarnął ją niepokój.

— Co się stało, Will? Chory jesteś?

— Ach, nic — odparł. — Ale na miłość boską, nie pracuj nigdy w przędzalni bawełny.

Rozamunda położyła mu rękę na dłoni, prosząc, aby zjadł lody, zanim się roztopią.

Przymknął oczy i ujrzał żółte domki przyfabryczne ciągnące się wzdłuż Scottsville nieskończonymi szeregami. Poprzez kuchenne okna na tyłach domków widział kobiety, które zacisnąwszy usta, siedziały odwrócone plecami do wygasłych kuchni. Przed domami, na ulicach, widział mężczyzn o zakrwawionych wargach, którzy wypluwali płuca w żółty pył. Ponad szerokim, chłodnym potokiem Horse Creek wznosiły się jak okiem sięgnąć obrosłe bluszczem przędzalnie bawełny, a w nich śpiewały dziewczyny, zagłuszając warkot maszyn. Przędzalnie, tkalnie i bieralnie ciągnęły się w nieskończoność, a żwawe dziewczyny o prężnych piersiach i oczach jak szafirowe kwiaty wbiegały do nich i wybiegały dzień po dniu.

— Pluto zabiera nas do Georgii — powiedziała łagodnie Rozamunda. — W domu porządnie sobie wypoczniesz, Willu. Po powrocie będziesz się czuł bez porównania lepiej.

Ucieszył się, że pojedą na jakiś czas do Tay Taya, ale nie mógł znieść myśli, że inni tu zostaną i będą sami stawiali opór kompanii. Jednakże kiedy wróci, będzie się czuł o wiele lepiej, a wtedy może zdołają wyłamać zamknięte na stalowe sztaby drzwi fabryki i włączyć prąd. Miło byłoby wrócić do Doliny, stanąć w fabryce i słuchać warkotu maszyn, choćby nawet nie miało się tkać materiałów.

— Niech będzie — powiedział. — Kiedy jedziemy, Pluto?

— Choćby i zaraz — odrzekł Pluto. — Chciałbym wrócić wcześniej, żeby jeszcze uzbierać trochę głosów przed kolacją.

Rozamunda i Miła Jill weszły do domu, aby się ubrać. Will i Pluto siedzieli, spoglądając na zieloną wodę toczącą się w dole. Zdawała się chłodna i jakby ostudzała przelatujący nad nią podmuch wiatru. Ale pod bezchmurnym niebem wszędzie było jednakowo gorąco. W słońcu wędły trawy i chwasty, a pył zwiewany z uprawnych pól na wzgórzach osiadał na ziemi i budynkach niby sproszkowana farba.

Will wszedł do domu, żeby zrzucić spodenki i włożyć własne ubranie.

Byli już gotowi do odjazdu i zamknęli dom, gdy wtem Will spostrzegł, że ktoś nadchodzi ulicą.

— Gdzie się wybierasz, Will? — zapytał ów mężczyzna, przystając i spoglądając na nich i na samochód Pluta.

— A, tylko na parę dni do Georgii, Harry. — Will, uciekając w ten sposób, czuł się jak zdrajca. Czekał, by Rozamunda pierwsza zeszła ze schodków.

— Czy aby z pewnością nie wyjeżdżasz na dobre? — zapytał podejrzliwie mężczyzna.

— Będę z powrotem za parę dni, Harry. Dam ci znać zaraz, jak wrócę.

— W porządku, tylko nie zapomnij wrócić. Bo jak wszyscy się porozjeżdżają, kompania sprowadzi tu inną załogę i zacznie bez nas. Musimy siedzieć na miejscu i nie dawać się. Jeżeli fabryka ruszy bez nas, nie będziemy mieli już żadnej szansy. Sam dobrze wiesz, Will.

Will wyminął Rozamundę i zbiegł na chodnik. Obaj odeszli ulicą, rozmawiając zniżonym głosem. Przystanęli o kilkanaście kroków dalej i zaczęli dyskutować z ożywieniem. Will mówił coś, stukając Harry'ego w piersi wskazującym palcem, a tamten kiwał głową i patrzył ku obrosłej bluszczem fabryce. Odwrócili się i odeszli jeszcze kawałek, mówiąc do siebie jednocześnie. Kiedy przystanęli znowu, mężczyzna począł coś perswadować Willowi, stukając go palcem w pierś, a Will kiwnął głową, potrząsnął nią gwałtownie i kiwnął znowu.

— Nie możemy pozwolić, żeby ktoś tam wlaźł i popsuł maszyny — mówił Will. — Tego nikt nie chce.

— To ci właśnie tłumaczę, Will. My chcemy tam się dostać i włączyć prąd. Jak przyjadą z kompanii i zobaczą, co się święci, to albo nas spróbują wyrzucić, albo będą musieli się dogadać.

— Słuchaj, Harry — rzekł Will. — Jak raz włączymy prąd, nikt na świecie więcej go nie zamknie. Prąd już tak zostanie. Jeżeli spróbują go zamknąć, no to my... my... cholera, prąd pozostanie włączony!

— Ja zawsze byłem za tym, żeby włączyć i nie zamykać. To przecież chciałem wyperswadować naszej organizacji związkowej, ale co to można wytłumaczyć takiemu cholernemu A.F.L.? Nic! Biorą forsę za to, żeby nam nie dać pracować. Jak zaczniemy robić, przestaną przychodzić dla nich pieniądze. Psiakrew, Willu, frajerzy jesteśmy, że słuchamy tego ich gadania o arbitrażu. Jak już włączymy prąd, niech fabryka pracuje choćby na trzy albo cztery zmiany, ale niech idzie przez cały czas. Potrafimy wypuścić tyle samo kretonów, co kompania, a

może i grubo więcej. W każdym razie wszyscy będziemy wtedy pracowali. Jak każdy wróci do roboty, da się przyspieszyć produkcję. Teraz musimy włączyć prąd, a jakby spróbowali go zamknąć, to pójdziemy tam i... no, niech to cholera. Will, jeżeli raz włączymy prąd, nikt go nam nie zamknie. Przecież ja nigdy nie byłem za tym, żeby coś rozwaląć. Ty wiesz dobrze i wszyscy wiedzą. To drańskie A.F.L. zaczęło całą gadaninę, kiedy usłyszało, że myślimy o włączeniu prądu. Ja jestem tylko za tym, żeby uruchomić fabrykę.

— To samo powtarzałem na każdym zebraniu związkowym od czasu zamknięcia — rzekł Will. — Organizacja jest całkiem skołowana przez A.F.L. Ciągłe tam mówią, że tylko arbitraż przywróci nam pracę. Mnie się to nigdy nie podobało. Z kompanią nie można gadać, bo się dostaje tylko jednostronną odpowiedź. Nie powiedzą nic innego, tylko: dolar dziesięć. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. A jakim sposobem, psiakrew, można z dolara i dziesięciu centów opłacić komorne za te śmierdzące przewety, w których mieszkamy? Powiedz mi jak, a pierwszy będę głosował za arbitrażem. O, nie. Tego się nie da zrobić.

— Ja jestem za tym, żeby wejść do fabryki i włączyć prąd. Przez cały czas to powtarzam. Nigdy nic innego nie mówiłem i nie będę mówił.

Rozamunda podeszła ku nim i zawołała Willa. Obrócił się i spytał, czego chce. Zupełnie zapomniał, że wybiera się do Georgii.

— Chodźże, Will — powiedziała. — Pluto ze skóry wyłazi, że tak długo czeka. Kandyduje na szeryfa i musi zbierać głosy. Możecie skończyć tę rozmowę za parę dni, kiedy wrócimy.

Will pogadał z Harrym jeszcze parę minut, po czym poszedł za Rozamunda do samochodu. Miła Jill usiadła za kierownicą, obok usadowił się Pluto. Will z Rozamunda zajęli miejsca na tylnym siedzeniu. Motor pracował już od pięciu minut albo i dłużej, podczas gdy oni dwaj tam rozmawiali. Will wychylił się i pomachał ręką Harry'emu.

— Postaraj się, żeby zwołali zebranie na piątek wieczorem! — krzyknął. — Jak Boga kocham, pokażemy A.F.L.-owi i kompanii, dlaczego chcemy włączyć prąd.

Auto prowadzone przez Jill popędziło nie brukowaną ulicą i zawiadiacko skręciło za róg. Zniknęli w gęstym tumanie kurzu, który wzbil się, a potem począł przesiewać się przez rozgrzane powietrze, by wreszcie osiąść na drzewach i frontowych gankach żółtych domków fabrycznych.

Po rozpalonej szosie asfaltowej mknęli w stronę Augusty, mijając nieskończone skupiska domków. Przejechali przez inne miasteczka fabryczne, zwalniając w miejscach, gdzie szybkość była ograniczona, i przyglądając się huczącym przędzalniom. Poprzez otwarte okna widzieli mężczyzn i dziewczyny, nieledwie słyszeli szum maszyn za pokrytymi bluszczem murami. Na ulicach było mało ludzi, bez porównania mniej niż w Scottsville.

— Pośpieszmy się i dojedźmy nareszcie do tej Augusty — powiedział Will. — Chciałbym jak najprędzej wydostać się z Doliny. Mam już wyżej nosa tego patrzenia w dzień i w nocy na przędzalnie i domki fabryczne.

Wiedział, że wcale nie ma dosyć ani patrzenia na nie, ani życia pośród nich, to widok tyłu pracujących fabryk wprawił go w rozdrażnienie.

Pozostawili za sobą Graniteville, Warrentonville, Langley, Bath i Clearwater i wydostawszy się z Doliny, pomknęli po rozgrzanym asfalcie z szybkością siedemdziesięciu mil na godzinę. Znalazłszy się na szczycie wzniesienia, ujrzeni w dole wymarłe miasteczko Hamburg, błotnistą Savannah, a po stronie stanu Georgia rozległą równinę, na której zbudowana była Augusta. Nad nią wznosiło się Wzgórze, usiane wieżowcami hoteli

wypoczynkowych oraz dwupiętrowymi białymi pałacami.

Gdy okrążali podłużną wyniosłość, kierując się ku mostowi, Rozamunda napomknęła o Jimie Leslie.

— On mieszka w którymś z tych pięknych domów na Wzgórzu — powiedział Will. — Dlaczego drań nigdy do nas nie przyjedzie?

— Przyjechałby, gdyby nie jego żona — odparła Rozamunda. — Gussie uważa, że jest za wielka, żeby z nami gadać. To przez nią Jim Leslie wyzywa nas od bawełnianych łbów.

— Już wolę mieszkać w domku fabrycznym i być marnym bawełnianym łbem niż czymś takim jak ona i Jim Leslie. Spotkałem go kiedyś na Broad Street i kiedy do niego zagadałem, obrócił się na pięcie i zwał, żeby ludzie nie widzieli, że ze mną rozmawia.

— Jim dawniej nie był taki — powiedziała Rozamunda. — W domu, kiedy był jeszcze mały, niczym nie różnił się od nas wszystkich. Dopiero jak zrobił grubszą forszę, wziął sobie elegancką pannę ze Wzgórza i teraz nie chce mieć z nami nic wspólnego. Chociaż i na początku właściwie też był trochę inny niż my. Miał w sobie coś takiego... sama nie wiem co.

— Jim Leslie jest pośrednikiem w handlu bawełną — rzekł Will. — Wzbogacił się na spekulacji. Nie zarobił tej forsy, tylko ją wycygnął. Przecież wiadomo, co to jest taki pośrednik, no nie? Wiecie, dlaczego oni się nazywają pośrednicy?

— No?

— Bo się pośrednio przyczyniają do tego, że farmerzy są bez forsy. Pożyczają im trochę pieniędzy, a potem zagarniają całe zbiory. Albo też wysysają krew ludziom przez to, że podbijają i obniżają ceny, i zmuszają ich, żeby się wyprzedawali. Dlatego mają tę nazwę. I taki właśnie jest Jim Leslie Walden. Gdyby był moim bratem, potraktowałbym go tak samo jak pierwszego lepszego łamistrajka ze Scottsville.

Rozdział 8

Nie ściemniło się jeszcze całkowicie, ale gwiazdy zaczynały się pokazywać, a w zabudowaniach przy szosie migotały światła pośród gęstniejącego zmierzchu. Kiedy znaleźli się o pół mili od domu, zauważyli przy nim ruchome ogniki wyglądające tak, jakby jacyś ludzie biegali tam z latarniami.

Na farmie panował ruch i krzątania, które wskazywały, że coś się tam dzieje. Jill zwiększyła szybkość, chcąc jak najprędzej poznać przyczynę. Na zakręcie zwołniła raptownie, aż zagrzały się hamulce, a odór gumi owionął ich wraz z kurzem.

Zza domu wybiegł Tay Tay, trzymając przed sobą latarnię. Twarz miał zaczerwienioną od upału, a ubranie oblepione przyschniętą gliną, która czepiała się materiału niczym pyłki mlecza. Wszyscy wyskoczyli z wozu na jego spotkanie.

— Co się stało, tato? — spytała w podnieceniu Rozamunda.

— O rany! — wykrzyknął. — Kopiemy jak wszyscy diabli. Od rana wygrzebaliśmy dół na dwadzieścia stóp, ani ociupinki mniej. Od dziesięciu lat nie kopaliśmy tak prędko.

Począł ich ciągnąć, wołając, by szli za nim. Sam ruszył biegiem i poprowadził ich przez podwórko za dom. Zatrzymali się raptownie nad samą krawędzią oświetlonego latarnią dołu, wykopanego tuż przy domu. Na dnie Shaw, Buck i Czarny Sam wyrzucali łopatami glinę. Naprzeciw nich stał Wuj Feliks z drugą latarnią i strzelbą. Obok niego ujrzeli jakiegoś człowieka, który w migotliwym świetle wyglądał jak duch.

— Kto to jest? — zapytał Will.

Tay Tay krzyknął na Bucka i Shawa. Z mroku wynurzyła się nagle Gryzelda.

— Chłopaki! — zawołał Tay Tay. — Tyramy dziś od samego rana i chyba czas już przerwać i trochę odsapnąć. Przyjechał Will, więc zaczniemy jutro skoro świt. Wyłaście i przywitajcie się z gośćmi.

Buck odrzucił łopatę, ale Shaw dalej działał kilofem twardą glinę. Buck zaczął go namawiać, żeby dał spokój na dzisiaj i odpoczął. Czarny Sam już gramolił się z wykopu.

Gryzelda i Jill weszły do domu i pozapalały lampy.

— Dziewczeta, głodny jestem jak wszyscy diabli — powiedział Tay Tay.

Wuj Feliks podniósł stojącą u jego stóp latarnię i trącił nieznanego kolbą strzelby. Popychając go przed sobą, ruszył naokoło domu do stajni.

— Kto to jest? — spytał Pluto. — Wyborca?

— On? Ale skąd! To ten bielasa, na którego nas napuściłeś, Pluto. O rany, no ten albinos, któregośmy złapali na moczarach.

Poszli za dom z Wujem Feliksem i albinosem. Murzyn popędzał więźnia przed sobą i mrucał coś, szturchając go kolbą.

— Więc wam nie skłamałem, kiedym o nim mówił, co? — spytał Pluto. — Powiedziałem, że jest na moczarach, prawda?

— A nie skłamałeś, że jest, aleś z całą pewnością przesadził, że będzie się tak stawiał. Tyle mieliśmy kłopotu ze sprowadzeniem tego bielasa, co z przyniesieniem zabitego królika. Przyjechał spokojniutko, jak ten królik. Ale nie mam zamiaru ryzykować, bo może tylko tak się przyciał. Dlatego kazałem Wujowi Feliksowi pilnować go dzień i noc.

— Już odgadł, gdzie złoto?

— Jak dwa a dwa cztery — odparł Tay Tay. — Kiedyśmy go tu sprowadzili i powiedzieli, co ma robić, od razu pokazał to miejsce, gdzie teraz jest nowy dół. Powiedział, że tu trzeba kopać, a trafi się na żyłę. No i żyła tam jest.

— A skąd wiecie? Znaleźliście już bryłki?

— No, jeszcze niezupełnie. Ale z każdą minutą jesteśmy bliżej.

— A on umie mówić?

— Mówić? No chyba, jeszcze jak. Ba, ten bielas głowę by ci ugadał, gdybyś mu tylko pofolgował. Pyskuje jak mało kto. Szczęki tak mi ścierpły od tego rozmawiania z nim, że prawie ruszyć gębą nie mogę. I już go się wcale nie boję. On jest takusieńki, jak ty i ja, i wszyscy inni, Willu, tyle że cały biały, razem z włosami i oczami. Co prawda, oczy ma lekko różowawe, ale przy kiepskim świetle i one wyglądają jak białe.

— Wspominaliście mu, że ja kandyduję na szeryfa? — zapytał Pluto.

— Dajże spokój, Pluto — odrzekł Tay Tay. — Nie mam czasu go zwalniać, żeby oddawał głos. Będzie tu siedział kamieniem dzień i noc. Wydostaniemy złoto z tego dołu, choćbyśmy mieli przekopać się prościutko do samych Chin. Ale już jesteśmy coraz bliżej. Niedługo trafimy na żyłę i zaczniemy wygarniać te żółte jajeczka.

Przystanął u drzwi stajni.

— Piekielnie jestem głodny — powiedział. — Chodźmy do domu i zapędźmy dziewczyny do gotowania, a po kolacji sprowadzimy tamtego, żeby każdy mógł dobrze się przyjrzeć, jak z bliska wygląda albinos.

Tay Tay zawrócił do domu, a Will i Pluto podążyli za nim. Byliby chętnie od razu obejrzeli albinosa w stajni, ale żaden nie kwapił się do wchodzenia tam bez Tay Taya.

— Ojciec nie powinien był się zgodzić, jak on kazał kopać przy samym domu — powiedział Will. — Mnie się wydaje, że to nie było mądre. Dom może zważyć się prosto do tej dziury.

— Pomyślałem o tym — odparł Tay Tay. — Ja, chłopaki i Czarny Sam podpieramy dom, w miarę jak kopujemy. Podstemplowaliśmy go tak, że nie może zlecieć do dołu. A zresztą nie byłoby wielkiego zmartwienia, choćby nawet i zleciał, bo kiedy już trafimy na żyłę, będziemy dosyć bogaci, żeby zbudować sobie ile chceć pięknych domów, o wiele piękniejszych od tego.

— Nie bardzo się mogę połapać — wtrącił Pluto — ale coś mi wygląda, że teraz kopiecie na poletku Pana Boga.

— No, to nie będziesz się tym długo martwić — odrzekł Tay Tay — bo dzisiaj rano przeniosłem panaboskie poletko na drugą stronę farmy. Nie ma strachu, żebyśmy w najbliższym czasie dokopali się na nim do żyły. Poletko Pana Boga jest tam bezpieczne jak na samej Florydzie.

Tay Tay i Will weszli do domu, natomiast Pluto zasiadł na ganku, gdzie było chłodniej.

Gryzelda z Rozamundą gotowały kolację, a Miła Jill nakrywała do stołu. Czarny Sam przydzwigał naręcze tęgich sosnowych bierwion i blacha kuchenna rozgrzała się do czerwoności. Wszyscy byli głodni, ale ugotowanie owsianki i upieczenie patatów na takim ogniu nie mogło trwać długo. Gryzelda skrajała na plastry połowę szynki i smażyła ją na dwóch rusztach.

Wszyscy zapomnieli o Plucie. Właśnie kiedy Will i Tay Tay wstawali od stołu, Jill przypomniała sobie, że Pluto nie dostał kolacji, i pobiegła po niego. Przyprowadziła go do jadalni, choć twierdził, że nie ma czasu

dłużej zostać. Powtarzał w kółko, że musi jechać i przed położeniem się do łóżka trochę poagitować wyborców.

— Posłuchaj mnie, Pluto — rzekł Tay Tay. — Siadaj i jedz. Jak skończysz, sprowadzimy tu ze stajni tego bielasa, żeby wszyscy porządnie przypatrzyli mu się przy świetle. Musi coś przetrącić, tak samo jak każdy z nas, a przecie równie dobrze może jeść tutaj jak w stajni. W ten sposób Wuj Feliks trochę odsapnie, bo go pilnuje bez przerwy, odkądśmy go wczoraj przywieźli.

Buck i Shaw wybierali się do Marion po nowe łopaty. Odkąd zaczęli kopać świeży dół, pękł im trzonek od jednej, a druga się zgięła. Tay Tay chciał mieć łopatę dla Willa, a także uważał, że sam lepiej będzie kopał nową. Buck i Shaw umyli się, przebrali i przygotowali do drogi.

Tay Tay zaprowadził Willa i Pluta do drugiej izby, podczas gdy dziewczyny uprzątały ze stołu i składały naczynia w kuchni, gdzie miał je pozmywać Czarny Sam. Tay Tay nie mógł się doczekać, by wszystkim opowiedzieć, jak schwytali albinosa.

— Buck pierwszy go zobaczył — zaczął. — Bardzo jest z tego dumny i wcale mu się nie dziwię. Rozglądaliśmy się za albinosem na tych błotach za Marion i Buck powiedział, że pójdzie do jednego domu, który tam stał przy samej drodze, i zapyta o białego faceta. Podjechaliśmy samochodem, stanęliśmy na podwórku, a Buck wysiadł i zapukał do drzwi na ganek. Ja akurat patrzałem w inną stronę, bom myślał, że a nuż ten albinos gdzieś się z daleka pokaże. Co Shaw robił, nie wiem, ale w każdym razie nie patrzył za Buckiem, bo zanim się połapałem, słyszę, a tu Buck ryczy: "Jest!"

— Był w tym domu? — zapytał Pluto.

— W domu? No chyba. Kiedym się obrócił, stał w drzwiach jak byk, a wyglądał, jakby go dopiero co wyjęli z worka mąki. Miał na sobie kombinezon i niebieską koszulę roboczą, ale poza tym był wszędzie bieluteńki, gdzie tylko na niego popatrzałeś.

— Uciekał?

— Gdzie tam! Wyszedł na ganek i zapytał Bucka, co mu potrzeba. Buck złapał go za nogi, a my z Shawem wyskoczyliśmy z wozu z linkami. Ani się obejrzał, jakeśmy go związali niczym cielaka na targ. Trochę tam ryczał i wierzgał na potęgę, ale to mucha dla mnie i dla chłopaków. A potem zaraz podeszła do drzwi jakaś kobieta, żeby zobaczyć, o co ta cała chryja. Była taka sama jak wszystkie, to znaczy wcale nie biała jak ten albinos. Powiedziała do mnie: "Ludzie, co wy wyprawiacie?" A do albinosa: "Co się dzieje, Dave?" On nic nie gadał, więc w ten sposób dowiedzieliśmy się, jak ma na imię. Dave. I zaraz powiedział: "Te dranie mnie związały". Wtedy ona w ryk, wbiegła do domu, wyleciała tylnymi drzwiami na moczary i tyle ją widziałem. To chyba była jego żona, tylko że nie mogę wymiarkować, co za interes może mieć albinos, żeby się zenić.

Dobrze się stało, żeśmy go zabrali. Nie mogę patrzeć, jak biała kobieta zadaje się z czarnym smoluchem, a to było kubek w kubek tak samo paskudne, bo ten znów jest cały bielutki.

— No, ale już go macie. I co on ma teraz robić? — zapytał Will.

— Co robić? Ano znaleźć nam żyłę, Willu.

— To nie jest naukowe, jak to ojciec zawsze nazywał — rzekł Will. — No, niech ojciec uczciwie powie, czy nie mam racji?

— Mnie się widzi, że jest naukowe, o ile w ogóle na czymś się rozumiem. Niektórzy ludzie powiadają, że taki różdżkarz, co wykrywa wodę, nie jest naukowy, ale ja mówię, że jest. I za takiego samego uważam wykrywacza złota.

— Nie ma nic naukowego w tym, że ktoś ułamie gałązkę z wierzby, łązi z nią po polu i szuka wody pod

ziemią. To jest robota na chybił trafił. Słyszałem, jak tacy mówili "kopcie tutaj", a kiedy się zrobiło wiercenie na paręset stóp, na świdrze nie było ani kropelki wody. Równie dobrze można rzucać kości, jak ganiać po gruncie z wierzbowym patykiem. Owszem, taka gałązka czasem wygnie się w dół, ale kiedy indziej także i do góry. Gdybym miał kopać studnię, nie szukałbym wody kawałkiem wierzbowego patyka. Wolałbym rzucać kości niż wyglupiać się w taki sposób.

— Bo ty nie masz naukowej głowy, Will — powiedział ze smutkiem Tay Tay. — W tym jest cały feler twojego gadania. Weź na przykład mnie. Ja zawsze byłem, jestem i pewnie do końca życia będę naukowy do szpiku kości. Nie wyśmiewam się i nie podkpiwam z naukowych pomysłów tak jak ty.

Tay Tay i Will czuli się doskonale po obfitej kolacji, złożonej z owsianki, patatów, gorących grzanek i przysmażanej szynki. Pluto zjadł tyle, co wszyscy, jeśli nie więcej, ale mimo to kręcił się niespokojnie. Wiedział, że powinien już jechać do domu, ażeby wstać nazajutrz o świcie i od wczesnego rana rozpocząć swoją kampanię wyborczą. Ogarniał go niepokój o wynik wyborów. Nie wiedział, co pocnie, jeżeli nie zostanie szeryfem. Nie miał żadnego zajęcia, a czarny parobek, który obrabiał jego sześćdziesięcio-akrową farmę, nie mógł zebrać tyle bawełny, żeby zapewnić mu utrzymanie. Pluto zająłby się handlem wędrownym, gdyby znalazł jakiś nowy artykuł, który ludzie chcieliby kupować. Od ośmiu czy dziesięciu lat sprzedawał to i owo, ale nigdy nie zdołał zarobić tyle, żeby coś mu zostało po pokryciu wydatków na samochód. Przede wszystkim nie mógł się wiele ruszać. Kiedy przebywał w mieście, lubił zasiadać w wielkim fotelu w pokoju bilardowym, obserwować grę i gawędzić o polityce. Wiedział, że nie powinien spędzać tyle czasu przy bilardzie, ale po prostu nie był w stanie wyjść na gorące słońce i dzień po dniu obnosić farbkę do bielizny lub politurę do mebli, której nikt nie chciał kupować, a jeśli nawet chciał, to nie miał dosyć pieniędzy. Gdyby natomiast wybrano go na szeryfa, sprawa wyglądałaby inaczej. Dostawałby dobrą pensję z dodatkami, a jego zastępcy mogliby jeździć w teren, dawać komunikaty do prasy i przeprowadzać wszystkie aresztowania. On siedziałby sobie spokojnie w pokoju bilardowym i wywoływał nad stołem wyniki gry.

— Chyba już powinienem jechać do domu — powiedział.

Nie zrobił najmniejszego wysiłku, aby podnieść się z krzesła, i nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Weszła Miła Jill z Gryzeldą i Rozamundą i poklepała Pluta po łysinie. Nie chciała stanąć przed nim, tam gdzie mógłby jej dosięgnąć, musiał więc poddać się tej zabawie w nadziei, że Jill niedługo zgodzi się sięść mu na kolana.

— No, kiedy ojciec przyprowadzi tu tego albinosa, żebyśmy go sobie obejrze? — zapytał Will.

— Siedź spokojnie i weź jeszcze trochę na wstrzymanie — odparł Tay Tay. — Czarny Sam musi najpierw zmyć statki, a potem pójdzie po niego do stajni. Wuj Feliks zje sobie kolację, kiedy tu wszyscy będą oglądali bielasa.

— Nie mogę się go doczekać — powiedziała Jill, klepiąc Pluta po głowie.

— Muszę już jechać do domu — rzekł Pluto. — To fakt.

Oświadczenie to zignorowano całkowicie.

— Ja też bym chciała go zobaczyć — odezwała się Rozamunda, patrząc na Gryzeldę. — Jak on wygląda?

— Jest wysoki i silny. I niczego sobie.

— O, do diabła! — zawołał Will, robiąc odpowiednią minę. — To prawdziwie po babsku powiedziane.

— Tylko żeby mi nie było z nim żadnych figłów — ostrzegł dziewczęta Tay Tay. — Jeżeli takie rzeczy

wam chodzą po głowie, to możecie od razu iść sobie na grzybki. On musi przez cały czas pilnować mojej roboty.

Miła Jill usiadła na kolanach Pluta. Zdziwiło go to, ale był zadowolony. Rozpromienił się z radości, kiedy objęła go za szyję i pocałowała.

— Dlaczego wy się nie pobierzecie? — spytał Tay Tay.

— Ja chętnie, w każdej chwili — odrzekł z zapałem Pluto.

— Oświadczam wam, że mnie spadłby wtedy wielki ciężar z serca.

— Ja chętnie, w każdej chwili — powtórzył Pluto. — To fakt.

— Co chętnie? — spytała Jill.

— Ożenię się, jak tylko powiesz słówko.

— Ze mną? Ze mną byś się ożenił?

— A coś ty myślała? — pokiwał głową. — Mam bzika na twoim punkcie, Jill, i już nie mogę się doczekać. Chciałbym ożenić się zaraz.

— Może się zastanowię, jak połkniesz to swoje brzuszysko. — Zaczęła niemiłosiernie grzmocić go pięściami po brzuchu. — Ale teraz nie wyszłabym za ciebie, ty koński zadku.

Nawet Pluto nie odezwał się po tym ani słowem. Przez blisko minutę wszyscy milczeli. Wreszcie Gryzelda wstała i poczęła perswadować Jill, by zostawiła Pluta w spokoju.

— Cicho bądź, Jill — powiedziała. — Nie mów w ten sposób. To nieładnie.

— No, przecie on wygląda jak koński zadek, nie? A jak ty byś go nazwała? Laleczką? Mnie przypomina koński zadek.

Tay Tay wstał i wyszedł. Wszyscy domyślili się, że idzie do stajni po albinosa. Czekali spokojnie, starając się nie patrzeć na Pluta. Pluto siedział markotny na osobności; był urażony, że Jill go tak traktuje, ale tym bardziej palił się do ożenku.

Rozdział 9

Przed frontowym gankiem rozległo się stąpanie ciężko obutych nóg. Pośród tego tupotu usłyszano jednak głos Tay Taya, który nakazywał Wujowi Feliksowi wprowadzić Dave'a do domu.

— Wepchnij go do środka — mówił. — Czekają tam, żeby go obejrzeć.

Pierwszy ukazał się na progu albinos; za nim szedł Wuj Feliks, który trzymał strzelbę przytkniętą do jego pleców i miał śmiertelnie wystraszoną minę. Kiedy Tay Tay kazał mu iść do kuchni na kolację, uradował się, że chociaż chwilowo może się pozbyć odpowiedzialności.

— No i jest, moi kochani — powiedział z dumą Tay Tay. Położył strzelbę na krześle i wprowadził Dave'a do pokoju. — Siadaj i rozgość się.

— Jak się nazywasz? — zapytał albinosa Will, trochę oszołomiony białością jego skóry i włosów.

— Dave.

— Dave co?

— Dave Dawson.

— Potrafisz zgadnąć, gdzie jest żyła złota?

— A bo ja wiem? Nigdy nie próbowałem.

— To lepiej się pomódl, żebyś odgadł — rzekł Will — bo jeżeli nie potrafisz, wszyscy tutaj będą wściekli na ciebie i nie wiadomo, co ci się może zdarzyć.

— Ale on na pewno potrafi — wtrącił Tay Tay. — Może to robić i nawet nie wiedzieć.

— Chcę zobaczyć to złoto, które wynajdziesz, chłopie — powiedział Will. — Chcę je poczuć w ręku i ugryźć.

— No, tylko go nie pesz i nie strasz, Willu. Jak będzie starszy, zostanie pierwszorzędnym wykrywaczem złota. Jeszcze jest za młody. Daj mu trochę czasu.

Miła Jill i Rozamunda wpatrywały się w nieznanego, nie spuszczać zeń oka. Rozamunda trochę się go bała i mimowolnie wsunęła się głębiej w krzesło. Natomiast Jill pochyliła się w przód i patrzyła mu uparcie w oczy. Uczuł jej wzrok na sobie i spojrzał na nią. Przygryzł wargi, zastanawiając się, kim może być ta dziewczyna. Nigdy jeszcze nie widział piękniejszej i zadrzał z lekka.

Pod ich spojrzzeniami czuł się jak zwierzę na pokazie. Wszyscy przypatrywali mu się, natomiast on mógł patrzeć tylko na jedną osobę na raz. Oczy jego przesunęły się po pokoju i wróciły do Miłej Jill. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej mu się podobała. Zastanawiał się, czy jest żoną któregoś z obecnych.

— Jak ci się tu podoba na twardym gruncie, chłopie? — zapytał Will.

— Niezgorzej.

— Ale wolałbyś być w domu, na błotach, co?

— Czy ja wiem.

Znów spojrzał na Jill. Uśmiechnęła się właśnie do niego i Dave odważył się odpowiedzieć jej także uśmiechem.

— No, proszę — powiedział Tay Tay, odchylając się w krzesło. — Tylko patrzcie, moi kochani, jak on kombinuje z Miłą Jill.

Do tej pory Tay Tay ani przez chwilę nie uważał Dave'a za ludzką istotę. Od poprzedniego wieczora

traktował go jak coś odmiennego od człowieka. Teraz jednak, gdy ujrzał uśmiech Jill, zaświtało mu w głowie, że chłopak należy do rodzaju ludzkiego. Mimo to był nadal albinosem, podobno obdarzonym nadnaturalnymi zdolnościami wykrywania złota. Pod tym względem Tay Tay uważał go za kogoś wyższego od reszty ludzi.

— Co by twoja żona powiedziała, chłopie, gdyby zobaczyła, że robisz takie oko do Miłej Jill? — zapytał Will.

— Ona jest ładna — odrzekł po prostu chłopak.

— Kto? Twoja żona?

— Nie — odparł pośpiesznie, patrząc na Jill. — Ona.

— Pewnie, nie jesteś pierwszy, który to mówi, ale do niej trudno się dostać, chyba że sama się dobierze. Za wielu teraz na nią leci, żeby ją tak łatwo mieć. Widzisz tego grubasa w kącie? No, więc on pierwszy się do niej przywala. Próbuje Bóg wie odkąd i też jej nie dostał. Mówię ci, że będziesz musiał dobrze koło tego pochodzić.

Pluto niepewnie spojrział na rosłego, szczupłego chłopaka, który pośrodku pokoju siedział na krześle o pionowym oparciu. Nie podobało mu się, że Jill robi oko do Dave'a. Takie początki prowadziły do niebezpiecznego zakończenia.

— Trzeba od razu powiedzieć mu co i jak, zważywszy, że jest chłopem, a baby są kobietami — oświadczył Tay Tay. — Już raz miałem wylamaną ścianę w stajni tylko dlatego, że nie uważałem i doprowadził ogiera pod wiatr, kiedy powinienem był prowadzić go z wiatrem.

— Gadanie niewiele pomoże — wtrącił Will. — Jak się ma koguta, to już będzie miał.

— Nie słuchaj go — ciągnął Tay Tay. — Wiem, co robię. Widzisz tę dziewczynę, co siedzi w środku? To jest żona Bucka, na imię jej Gyzelda i można powiedzieć, że Pan Bóg nigdy nie stworzył piękniejszej kobiety. Ale ją zostaw w spokoju. Dalej ta druga, z dołeczkami, to Rozamunda, żona Willa. Do niej też się nie zabieraj. A ta, na którą patrzysz, to Miła Jill. Jeszcze nie jest niczyją żoną, ale to nie znaczy, że można ją mieć na kiwnięcie palca, bo staram się wydać ją za Pluta. Pluto to ten gruby w kącie. Tego roku kandyduje na szeryfa. Może cię zwolnię na głosowanie, jak przyjdzie pora.

— Nie warto mu mówić, żeby zostawił Miłą Jill w spokoju — rzekł Will. — Szkoda słów. Niech ojciec patrzy, jak robią oko do siebie.

— Nie miałem o tym wspominać, ale ponieważ to poruszyłeś, więc może niech lepiej wie, że nie potrafię powstrzymać Miłej Jill, jak sobie coś ubrda. Czasami całkiem wariuje, i to bez żadnej przyczyny.

Dave i Jill przypatrywali się sobie, a Tay Tay tymczasem mówił dalej. Nie podnosił głosu, ale wszyscy obecni słyszeli go dobrze.

— Uważam, że Pan Bóg bardzo był dla mnie łaskaw. Obdarował mnie najśliczniejszymi córkami i synową, o jakich człowiek może marzyć. Pewnie jestem szczęściarzem, że nie miałem z nimi jeszcze więcej kłopotów. Ale nieraz myślę sobie, że a nuż nie wszystko będzie dobrze w przyszłości. Często mi chodzi po głowie, że jak się ma w domu takie piękne dziewczyny, łatwo może z tego wyniknąć zmartwienie. Dotychczas nie było żadnych przykrości. Miłą Jill czasem coś napadnie, i to bez żadnej przyczyny. Ale dotąd żyliśmy sobie jak u Pana Boga za piecem.

— No, no, tato — wtrąciła Gyzelda. — Tylko nie zaczynaj znowu.

— Nie masz się czego wstydzić — obruszył się Tay Tay. — Gyzelda to chyba najładniejsza dziewczyna, jaką w życiu spotkałem. Nikt na świecie nie widział pary piękniejszych sterczących cudeńków od

tych, które ona ma. Rany boskie! Takie są śliczne, że czasem aż mnie bierze ochota łązić na czworakach, jak te stare psy, co ganiają za ciekającą się suką. Aż człowieka korci, żeby klęknąć i coś polizać. Tak to jest; święta prawda, którą sam Pan Bóg by potwierdził, gdyby umiał mówić jak my wszyscy.

— Chyba ojciec nie powie, że je widział, co? — zapytał Will, mrugając do Gryzeldy i Rozamundy.

— Czy widziałem? Rany boskie! Jak tylko mam wolną chwilę, zaraz próbuję ją podglądać po kryjomu i napatrzeć się jeszcze trochę. Czy im się przyjrzałem? O, rany! Tak jak królik koniczynie. A kiedy się je raz zobaczy, to dopiero jest początek. Nie możesz potem usiedzieć na miejscu i myśleć o czym innym, póki ich znowu nie obejrzyś. A ile razy je widzisz, czujesz się coraz bardziej jak ten stary pies, o którym mówiłem. Siedzisz sobie gdzieś na podwórku, spokojny i kontent, i raptem coś ci strzela do głowy. Odpędzasz to od siebie, mówisz, żeby poszło precz i dało ci spokój, a przez cały czas coś w tobie wzbiera. Nie można tego zatrzymać, bo przecież ręką nie złapiesz; nie można z tym mówić, bo nie słyszy. No, i tak to wzbiera i wzbiera w człowieku. A potem coś ci gada. I znowu wraca to samo uczucie, i już wiesz, że nie dasz mu rady za nic na świecie. Możesz tak siedzieć choćby i cały dzień, póki się w tobie prawie całkiem nie zatłamsi, ale i tak nie odejdziesz. No, i wtedy właśnie idziesz na palcach za dom i próbujesz podglądać. Rany boskie! Już ja wiem, co gadam!

— Dajże spokój, tato — powiedziała, rumieniąc się, Gryzelda — obiecałeś, że nie będziesz tak o mnie mówił.

— Dziewczyno — odparł. — Sama nie wiesz, jak cię wychwalam tą swoją mową. Powiadam tu najpiękniejsze rzeczy, jakie mężczyzna może mówić o kobiecie. Kiedy chłopca aż korci, żeby tak łązić na czworakach i coś lizać — no, dziewczyno, wtedy dopiero robi się z niego prawdziwy mężczyzna... a zresztą, co ty tam wiesz, Gryzeldo.

Poszperał po kieszeniach i wreszcie znalazł monetę dwudziestopięciocentową. Wsunął ją w dłoń Gryzeldzie.

— Weź to i kup sobie coś ładnego, jak następnym razem będziesz w mieście. Żałuję, że nie mogę dać ci więcej.

— Posłuchaj, ojciec — powiedział Will, mrugając do Rozamundy i Gryzeldy. — Przecież w ten sposób się zdradzasz. Jak nie będziesz uważał, już więcej ci się nie uda tak zobaczyć Gryzeldy. Siedz cicho, bo inaczej będzie się pilnowała.

— A tu się właśnie mylisz, synu — odrzekł Tay Tay. — Żyję o wiele dłużej od ciebie i wiem trochę więcej o kobitach. Gryzelda nie będzie się starała przeszkadzać mi w podglądaniu ani następnym razem, ani nigdy w ogóle. Owszem, teraz nie wystąpi tutaj i nie powie, że mam rację, ale mimo to będzie kontenta jak wszyscy diabli, kiedy ją znowu zobaczę. Ona wie doskonale, że cenię sobie to, co widziałem. No, nie jest tak, Gryzeldo?

— Dajże spokój, tato.

— A widzisz? Nie powiedziałem ci całej prawdy? Któregoś dnia, i to niedługo, znów stanie w tamtym pokoju przy drzwiach otwartych na oścież, a ja będę się przyglądał ze wszystkich sił. Taka dziewczyna, jak ona, ma prawo się pokazywać, jeżeli tylko chce. Wcale bym jej nie miał tego za złe. Rany boskie! To ci jest widok dla chorych oczu!

— Proszę cię, przestań! — zawołała Gryzelda, ukrywając twarz w dłoniach. — Obiecałeś, że nie będziesz znowu zaczynał.

Tay Tay był tak zajęty mówieniem, iż nie zauważył, że Jill wstała i ciągnie Dave'a za rękę ku drzwiom.

Kiedy spostrzegł, że albinos jest blisko progu, zerwał się natychmiast, chwycił leżącą na krześle strzelbę i wymierzył ją w Dave'a.

— Nie wolno! — krzyknął. — Wracaj na swoje miejsce!

— Czekaj, tato! — zawołała Jill, podbiegając i zarzucając mu ręce na szyję. — Zostaw nas samych na chwilkę. On nie ucieknie. Wyjdziemy tylko na ganek, żeby się napić wody i trochę posiedzieć w chłodzie. Nie ucieknie na pewno. Nie chcesz uciekać, prawda, Dave?

— Nie wolno — powtórzył Tay Tay już mniej stanowczo.

— Tato — powiedziała Jill, tuląc się mocniej do niego.

— Czy ja wiem, co on zrobi?

— Nie uciekniesz, prawda, Dave?

Chłopak energicznie potrząsnął głową. Bał się odzywać do Tay Taya, ale gdyby mu starczyło śmiałości, poprosiłby go, by mu pozwolił wyjść z Miłą Jill. Dalej potrząsał głową, pełen nadziei.

— To mi się nie podoba — powiedział Tay Tay. — Jak wyjdzie tam po ciemku bez nikogo, kto by go pilnował, wystarczy mu dać nura z ganku i już go nie będzie. Nie ma mowy, żebyśmy go znaleźli w takiej ćmie. Wolałbym nie ryzykować. Wcale a wcale mi się to nie podoba.

— Niech im ojciec pozwoli — poprosił Will. — Nie po to chcą teraz wyjść. Nie będzie próbował wiać. Jemu tu się zaczyna podobać, odkąd Miła Jill wróciła do domu. Nie mam racji, chłopie?

Dave kiwnął głową, usiłując przekonać ich, że wcale nie ma zamiaru uciekać. Kiwał tak dalej, póki Tay Tay nie odłożył strzelby na krzesło.

— Mnie się to nie podoba — powiedział Tay Tay — ale pozwalam ci wyjść na chwilę. Tylko jedno sobie zapamiętaj. Jeżeli pryśniesz, to gorzko bekniesz, jak cię znów złapię. Skuję ci nogi łańcuchami i zamknę cię w stajni na sztaby, tak że już nigdy więcej nie będziesz miał sposobności wiać. Będę cię tu trzymał póty, póki nie znajdziesz mi żyły. Lepiej ze mną nie zadzieraj, bo jak się wścieknę, to wtedy nie ma żartów.

Jill wyciągnęła Dave'a za rękę z pokoju. Przez ciemną sień przeszli na tylny ganek. Wiadro od wody było puste, więc podeszli do studni. Dave zaczerpnął wody i napełnił wiadro.

— Prawda, że ci się podobam bardziej niż twoja żona? — spytała Jill, uwieszona u jego ramienia.

— Szkoda, że się z tobą nie ożeniłem — odparł. Czują drzenie jego rąk. — Nie miałem pojęcia, że w okolicy jest taka piękna dziewczyna. Jesteś najładniejsza ze wszystkich, jakie widziałem. Jesteś delikatna, mówisz jak te ptaki, co śpiewają, pachniesz tak ślicznie.

Usiedli na najniższym schodku. Po ciele Jill przebiegały dreszcze, kiedy słuchała Dave'a. Nigdy dotychczas nie spotkała mężczyzny, który by mówił w ten sposób.

— Dlaczego ty jesteś cały biały? — spytała.

— Taki się urodziłem — odpowiedział z wolna. — Nie ma na to rady.

— Mnie się wydajesz bardzo ładny. Nie przypominasz żadnego z tych, których znałam, i cieszę się, że jesteś taki inny.

— Wyszłabyś za mnie? — spytał ochryłym głosem.

— Przecież jesteś żonaty.

— Ale teraz już nie chcę być. Chcę ożenić się z tobą. Strasznie mi się podobasz i uważam, że jesteś ogromnie piękna.

— Nie musimy się żenić, jeżeli ci się podobam.

— Dlaczego?

— A dlatego.

— Ale ja nie mógłbym robić wszystkiego, co bym chciał.

— Nie bądź niemądry.

— Trochę bym się bał. Mogliby mnie pobić albo co. Nie wiem, co by mi zrobili.

— To wstyd, że tata związał cię i przywiózł tutaj — powiedziała. — Ale ja cieszę się z tego.

— Teraz i ja też. Już bym nie uciekał, choćbym nawet mógł. Zostanę tu, żeby być ciągle przy tobie.

Miła Jill przysunęła się bliżej, położyła mu głowę na ramieniu i objęła go wpół. Ścisnął ją w zapamiętaniu.

— Chciałbyś mnie pocałować?

— A pozwolisz?

— Aha. Mam ochotę.

Począł ją całować, tuląc mocno do siebie. Kiedy ją tak przycisnął z całej siły, wyczuła jego twarde mięśnie. Po chwili pociągnął ją za rękę i pobiegł przez podwórko. Pędził tak w ciemnościach, nie wiedząc dokąd.

— Gdzie idziemy?

— Tam, gdzie nam nie będą przeszkadzali — odparł. — Nie chcę, żeby teraz przyszli i zapędzili mnie z powrotem do stajni.

Kiedy znaleźli się za podwórkiem, usiadł pod jednym z dębów i wziął Jill na kolana. Nie chciała, by ją puścił, więc opasała go mocno ramionami.

— Jak znajdziemy złoto, weźmiemy sobie trochę i uciekniemy razem — rzekła. — Zrobisz tak, prawda, Dave?

— No, pewnie. Wyjechałbym i zaraz, gdybyś chciała.

— Wszystko mi jedno — szepnęła. — Wszystko mi jedno, co będzie. Zrobię wszystko, co będziesz chciał.

— Dlaczego ciebie nazywają Miłą Jill? — zapytał po dłuższym milczeniu.

— Kiedy byłam malutka, wszyscy mówili o mnie "Miła", a na imię mam Jill. Jak dorosłam, też mnie tak nazywali i teraz już zostało Miła Jill.

— To doskonale imię dla ciebie — powiedział. — Nie wyobrażam sobie lepszego. Bo jesteś strasznie miła.

— Pocałuj mnie jeszcze — poprosiła.

Dave pochylił się i przyciągnął Jill do siebie, aż jej usta dotknęły jego warg. Leżeli na ziemi, zapomniawszy o całym świecie. Wciąż od nowa przenikał ją dreszcz, gdy czuła uścisk jego ramion i naprężone mięśnie.

Tay Tay i Will wyszli na ganek, by się rozejrzeć za nimi. Tay Tay zaczął nawoływać, a potem zaklął. Will szepnął mu, by nie straszył chłopaka krzykami, po czym wbiegł do domu po latarnię. Gdy wrócił, Tay Tay wyrwał mu ją z ręki i zaczął biegać tam i sam po całym obejściu. Krzyczał coś do Willa, przeklinał Dave'a i Jill, zaglądał we wszystkie zakamarki, ganiał wszędzie co sił w nogach.

Rozamunda i Gryzelda wyszły przed dom i przystanąwszy u studni, spoglądały w ciemność.

— Wiedziałem — powtarzał w kółko Tay Tay. — Od początku wiedziałem, że tak będzie.

— Znajdziemy go — odrzekł Will. — Nie uszli daleko.

— Wiedziałem, wiedziałem od razu. Mój bielas zwiął na amen.

— Nie zdaje mi się, żeby uciekł — zapewnił Will. — Założę się o nie wiem co, że tylko gdzieś przywarował, póki ojciec nie przestanie go tak straszyć. Kiedy wychodzili z pokoju, to wcale nie po to, żeby nawiewać. Miał chętkę pójść w ciemne miejsce, żeby się z nią zabawić. Niech ojciec szuka jej, to i jego od razu znajdzie. Powiedziała sobie, że będzie go miała, i gdzieś go teraz zaciągnęła.

— Wiedziałem, co będzie. Mój bielas poszedł sobie na amen.

Rozamunda i Gryzelda zawołały od studni:

— Znalazłeś go, tato?

Tay Tay był tak zajęty szukaniem albinosa, że nawet im nie odpowiedział.

— Gdzieś tutaj są — rzekł Will. — Nie mogą być daleko.

Tay Tay puścił się naokoło domu i okrążył go pędem, o mały włos nie wpadłszy do czarnej czeluści wykopu. Wyminął ogromny dół o kilka cali i niewiele brakowało, by runął doń w swym nieprzytomnym pośpiechu.

Obiegłszy dom, pognął na oślep przez podwórze. Gdy znalazł się w pobliżu dębów, światło jego latarni nagle wydobyło z mroku śnieżnobiałe włosy Dave'a. Tay Tay podbiegł i ujrzał ich dwoje rozciągniętych na ziemi. Nie byli świadomi jego obecności, choć żółte światło zamigotało w oczach Miłej Jill niby dwie gwiazdy, gdy zamrugła powiekami.

Will, spostrzegłszy, że Tay Tay przystanął z latarnią, odgadł, że stary ich znalazł. Pobiegł tam, ciekaw, dlaczego Tay Tay go nie woła, a za nim podążyły Gryzelda i Rozamunda.

— Widziałeś kiedy coś podobnego? — zapytał Tay Tay, oglądając się na Willa. — No, to dopiero!

Will zaczekał, aż podeszła Gryzelda, i pokazał jej Dave'a leżącego z Jill. Przez chwilę stali nad nimi w milczeniu, usiłując coś dojrzeć w żółtym świetle latarni.

Nagle Tay Tay uczył, że ktoś go obraca i popycha w stronę domu. Okręcił się w miejscu.

— Co was ugryzło, dziewczyny? — zapytał, zataczając się z latarnią w rękę. — Dlaczego mnie tak pchacie?

— Wstydziliby się tata stać tutaj z Willem i przyglądać się im. Wynoście się stąd obydwaj i przestańcie się gapić.

Tay Tay i Will zatrzymali się o kilka kroków dalej.

— Słuchajcie no — zaprotestował Tay Tay. — Nie lubię, jak mnie popychają niczym biednego krewnego ze wsi. Co wam się stało, dziewczęta?

— Wstydzilibyście się — powiedziała Gryzelda. — Staliście tu i przyglądali się przez cały czas. Idźcie stąd, dosyć tego patrzenia.

— No, niech mnie nagła krew zaleje! — zawołał Tay Tay. — Nic takiego nie robiłem, tylko tu stał, a te dziewczuchy przylatują i gadają mi "wstydzilibyś się"! Nie zrobiłem nic a nic, czego bym miał się wstydzić. Co was napadło, Gryzeldo i Rozamundo?

Powoli odszedł z Willem w kierunku domu. Nieopodal studni przystanął i obejrzał się:

— Co ja, na imię boskie, zrobiłem złego?

— Kobity nie lubią, jak chłop patrzy, kiedy któraś to dostaje — stwierdził Will. — Dlatego narobiły tyle krzyku, że ojciec tam był. Chciały tylko, żebyśmy sobie poszli.

— No, niech to psy zjedzą — powiedział Tay Tay. — Więc tam się takie rzeczy wyprawiają! Do głowy by mi nie przyszło, Willu. Oświadczam ci, że by nie przyszło. Ot, myślałem, że tylko sobie tak leżą i pieszczą się. To jest święta prawda. Nic a nic nie mogłem dojrzeć w tym marnym świetle.

Rozdział 10

Od wschodu słońca pracowali w nowym wykopie, a o jedenastej upał aż parzył. Buck i Shaw niewiele mieli do powiedzenia Willowi. Nigdy nie mogli zgodzić się z sobą i nawet perspektywa, że lada chwila wygarną całą łopatę żółtych bryłek kruszcu, nie zdołała ich zbliżyć. Gdyby to zależało od Bucka, przede wszystkim nie posłano by w ogóle po Willa. Tak czy owak, całe wykopane złoto pójdzie do kieszeni ich dwóch, a jakby Will próbował je zabrać, będą się bili do upadłego, zanim mu dadzą coś ruszyć.

Will oparł się na łopacie i patrzył, jak Shaw wykopuje glinę. Uśmiechał się lekko, ale ani Buck, ani Shaw nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Robili swoje, jakby go tu nie było.

— Mnie się zdaje, chłopaki, że powinniście mieć tyle rozumu, żeby nie dać się ojcu zapędzać do kopania tych wielkich dziur w ziemi. Wydusza z was ciężką robotę, a nie kosztuje go to ani centa. Dlaczego nie weźmiecie się do jakiejś porządnej pracy, żeby coś zarobić, jak przyjdzie sobota? Chyba nie chcecie przez całe życie być parobkami na wsi, co? Powiedzcie mu, żeby sam wygrzebywał własny piach, i idźcie sobie.

— Ty idź do cholery, bawełniany łbie — odparł Shaw.

Will skrzył papierosa i patrzył, jak kopią, złani potem. Nie miał za złe, że ludzie z jego świata nazywali go bawełnianym łbem, ale nie mógł tego ścierpieć od Bucka i Shawa. Wiedzieli, że jest to najszybszy i najskuteczniejszy sposób uciszenia go z miejsca albo doprowadzenia do szału.

Buck wyrzwał przez krawędź dołu, czy nie ma gdzie ojca. Wolał go mieć do pomocy na wypadek, gdyby wyniknęła bójka. Tay Tay zawsze brał ich stronę podczas sprzeczek z Willem i teraz zrobiłby to samo.

Ale ojca nigdzie nie było widać. Siedział na nowiznie i razem z dwoma Murzynami okopywał bawełnę. Tego roku późno ją sadził; byli tak zajęci szukaniem złota, że nie znaleźli na to czasu przed czerwcem i Tay Tay chciał teraz nadrobić, ile tylko się da, aby w miarę możliwości wyrosła i dojrzała, bo musiał dostać trochę pieniędzy około pierwszego września. Wyczerpał już cały kredyt w sklepach w Marion, a nie mógł uzyskać pożyczki z banku. Nie miał pojęcia, co pocznie jesienią i zimą, jeżeli bawełna nie wzejdzie albo jeśli ją zniszczą robaki. Oprócz własnych domowników i obu rodzin murzyńskich, trzeba było jeszcze wyżywić dwa muły.

— W tej ziemi jest tyle złota, co brudu za paznokciami — powiedział drwiąco Will. — Dlaczego nie pojedziecie do Atlanty albo Augusty, albo gdzie indziej i nie zabawicie się porządnie? Prędzej by mnie szlag trafił, niżbym został na całe życie parobkiem tylko dlatego, że Tay Tay Walden chce, żeby za niego kopać.

— A idźże do cholery, ty bawełniany łbie z Doliny!

Will popatrzał na Bucka i zastanowił się chwilę, czyby go nie trzasnąć.

— Masz jakieś ostatnie polecenie dla rodziny? — zapytał wreszcie.

— Jeżeli chcesz się pobawić, toś dobrze trafił — odparł Shaw.

Will oburącz odrzucił łopatę i podniósł bryłę zaschniętej gliny. Podbiegł ku nim parę kroków, przesuwając językiem zgasły papieros w kącik ust.

— Nie przyjechałem tutaj, żeby z wami zadzierać, chłopaki, ale jak już szukacie awantury, toście w porę zaczęli szczekać.

— Tyś nigdy nic innego nie robił — odparł Shaw, ściskając w obu rękach trzonek łopaty. — Tylko szczekał i szczekał.

Gdyby doszło do bójki, Will chciał rozprawić się z Buckiem. Nie miał żadnej pretensji do Shawa, ale

Shaw zawsze stawał po stronie brata. Will nie lubił Bucka. Nie lubił go od pierwszej chwili. Nie czuł do niego nienawiści, ale Buck był mężem Gryzeldy i przez to wchodził mu w drogę. Już kilkakrotnie brali się za łby nie tylko o Gryzeldę, ale i z innych powodów i pewnie jeszcze nieraz miało się to powtórzyć. Dopóki Gryzelda była żoną Bucka i żyła z nim, Will miał ochotę bić go przy każdej sposobności.

— Rzuć tę grudę — rozkazał Buck.

— Chodź tu i zabierz — odparł Will.

Buck cofnął się i szepnął coś Shawowi. Will postąpił naprzód i z całej mocy cisnął bryłą gliny w chwili, gdy Buck biegł ku niemu z podniesioną łopatą. Trzonek grzmotnął Willa w ramię i łopata poleciała na ziemię. Bryła chybiła Bucka, ale wyrznęła Shawa prosto w żołądek. Zwinął się z bólu, upadł i zaczął cicho stękać.

Kiedy Buck, obejrzawszy się, zobaczył skrzyconego Shawa, pomyślał, że Will uszkodził go poważnie. Podbiegł, znowu zamachnął się łopatą i z całej siły rąbnął Willa w czoło.

Cios ogłuszył Willa, ale go nie powalił. Utrzymał się na nogach, rozwścieczony jeszcze bardziej, i rzucił się na Bucka, zanim ten zdążył powtórnie podnieść łopatę.

— Wy, cholerni Waldenowie, myślicie, żeście tacy ważni, ale u nas są ważniejsi! — krzyknął. — Trzeba by jeszcze sześciu takich jak ty, żeby mnie zrobić. Przyzwyczajony jestem. U nas co rano przed śniadaniem odwalam parę takich bitek.

— Ty cholerny bawełniany łbie — rzekł z pogardą Buck.

Shaw, mrugając oczami, dźwignął się na czworaki. Rozejrzał się za jakąś bronią, ale nic nie było pod ręką. Jego łopata leżała za Willem.

— Bawełniany łeb — powtórzył szyderczo Buck.

— No, chodźcie tu, sukinyń! — krzyknął Will. — Będzicie leżeli obaj naraz. Ja nie z tych, co się boją parobków.

Buck podniósł łopatę, ale Will wyrwał mu ją z ręki i cisnął daleko za siebie. Celnym ciosem wyrznął Bucka w szczękę, a ten zwalił się jak długi na wznak. Shaw podbiegł i przykucnął nad nim. Will łupnął go kolejno jedną i drugą pięścią. Pod Shawem ugięły się kolana i upadł u stóp Willa.

Tymczasem Buck już się podniósł. Skoczył na Willa, przewrócił go i wykręcił mu rękę. Zanim Will zdołał się wyrwać, Buck zaczął go grzmocić po głowie i plecach. Wszyscy byli już teraz mocno rozeźleni.

Z góry zakrzyknął na nich Tay Tay. Zbiegł na dno dołu i wskoczył w sam środek kotłowaniny pięści i kopniaków. Rozdzielił Bucka i Willa i cisnął ich na obie strony. Był równie barczysty jak oni i zawsze umiał dać sobie radę, gdy się pobili. Teraz stał, dysząc i sapiąc, i patrzył na leżących.

— Dosyć tego — powiedział, wciąż oddychając ciężko. — I o co, u diabła starego, wy, chłopaki, tak się ciągle lejecie? To nie jest odkopywanie żyły. Bijatyką się jej nie znajdzie.

Buck siadł i pomacał napuchniętą szczękę. Łypnął na Willa; nie czuł się pokonany.

— To go ojciec odeślij, skąd przyszedł — powiedział. — Sukinsyn nie ma tu nic do roboty. U nas nie miejsce dla bawełnianych łbów.

— Wyjadę, kiedy mi się spodoba i ani minuty wcześniej. Spróbuj mnie zmusić. No, tylko spróbuj!

— I po kiego diabła takeście narozrabiali, chłopaki, co? — zapytał Shawa ojciec, oglądając się na niego, aby sprawdzić, czy nic mu nie jest. — Nie macie o co się bić. Jak natrafimy na żyłę, to wszystko się podzieli równo i sprawiedliwie i nikt nie dostanie więcej niż inny. Już ja tego dopilnuję. No i od czego to się zaczęło, żeście tak tłukli jeden drugiego?

— Od niczego się nie zaczęło, tato — powiedział Shaw. — Wcale nie poszło o złoto ani o nic takiego. Ot, stało się, i już. Ile razy ten sukinsyn tu przyjedzie, to aż się prosi, żeby go łać. Przez to, co gada i co robi. Tak tu wyprawia, jakby był lepszy od nas albo co. Dlatego, że pracuje w przędzalni. Zawsze przeżywa mnie i Bucka od parobków.

— No, to jeszcze nie powód, żeby tak się gorączkować — powiedział Tay Tay. — Wstyd, że nie potrafimy zachować spokoju w rodzinie. Przez całe życie o to jedno mi chodziło.

— To niech się odczepi od Gryzeldy — rzekł Buck.

— A, to o Gryzeldę poszło? — spytał zdumiony Tay Tay. — Proszę, wcale nie wiedziałem, że ona jest zamieszana w tę bitkę.

— Łzesz jak cholera! — krzyknął Will. — Nie powiedziałem o niej ani słowa!

— Słuchajcie no, chłopaki — rzekł Tay Tay. — Nie zaczynajcie na nowo. Co Gryzelda ma z tym wspólnego?

— Ano, nic o niej nie gadał — odparł Buck — ale to przez to, jak patrzy i co wyprawia. Tak się zachowuje, jakby zaraz chciał jej coś zrobić.

— Łgarstwo! — wykrzyknął Will.

— Słuchajże, Buck, może ci się tylko tak przywidziało. Ja przecież wiem, że to niemożliwe, bo Will jest mężem Rozamundy i żyją z sobą pierwszorzędnie. On wcale nie leci na Gryzeldę. Dajże spokój.

Will spojrzał na Bucka, ale nic nie powiedział. Był zły, że ich rozdzielono, nim zdążył zadać ostateczny cios.

— Wszystko byłoby w porządku, gdyby siedział, gdzie jego miejsce, i nie przyjeżdżał tu robić piekła — oświadczył Buck. — Tak czy owak, ten sukinsyn jest bawelniany łeb. Niech siedzi między takimi jak on sam. Nie chcemy się z nim zadawać.

Will znowu zerwał się i począł rozglądać się za łopatą.

Tay Tay podbiegł i popchnął go na drugą stronę dołu. Przytrzymał Willa obiema rękami, przyciskając go do ściany wykopu.

— Will — powiedział spokojnie. — Nie zwracaj uwagi na Bucka. Ten upał go rozeźlił bez żadnego powodu. No, zostań tutaj i daj mu spokój.

Przebiegł na drugą stronę i przytrzymał Bucka. Tymczasem Shaw wylazł już z dołu i nie zdradzał ochoty do zejścia na powrót.

— Wyjdźcie na górę i ostygnijcie, chłopaki — rozkazał Tay Tay. — Zagrzaliście się w tej dziurze i nie ma jak świeże powietrze, żeby wam przeszło. Wyląźcie i ochłódźcie się trochę.

Zaczekał, póki Buck i Shaw nie zniknęli mu z oczu. Kiedy już dał im dość czasu, począł przynaglać Willa, żeby wydrapał się na powietrze. Sam wspinał się tuż za nim, na wypadek, gdyby Shaw i Buck czekali w ukryciu, by skoczyć na Willa i znowu zacząć bijatykę. Jednakże wyląźszy na wierzch, nie dostrzegli ich nigdzie.

— Nie myśl o nich, Willu — powiedział Tay Tay. — Tylko siądź sobie w cieniu i ostygnij.

Podeszli pod dom i zasiedli w cieniu. Will nadal był zły, ale już gotów dać spokój, chociaż ostatni cios należał do Bucka. Im prędzej wróci do Scottsville, tym bardziej będzie zadowolony. W ogóle by tu nie przyjeżdżał, gdyby Rozamunda i Jill tak go nie prosiły. Teraz zapragnął wrócić do Doliny i pogadać z kolegami przed piątkowym zebraniem miejscowej organizacji związkowej. Zawsze robiło mu się trochę mdło na widok

gołej ziemi, uprawnych czy leżących odłogiem pól, na których nie można było wypatrzyć ani śladu fabryki czy przędzalni.

— Chyba nie chcesz zaraz wyjeżdżać, prawda, Willu? — zapytał Tay Tay. — Mam nadzieję, że ci to nie w głowie?

— Pewnie, że wyjeżdżam — odparł Will. — Nie mogę tracić czasu na kopanie dziur w ziemi. Nie jestem kret.

— Chciałem, żebyś nam pomógł, póki nie natrafimy na żyłę. Teraz potrzeba mi jak najwięcej pomocy. Żyła tam jest równie pewnie, jak to, że Pan Bóg stworzył zielone jabłuszka, i aż mnie korci, żeby na niej rękę położyć. Czekałem na to dzień i noc przez piętnaście lat.

— Ojciec powinien zająć się bawełną — odrzekł krótko Will. — Z tej ziemi więcej się zbierze bawełny przez rok niż złota przez całe życie. Kopanie wszędzie dziur to tylko marnotrawstwo.

— Teraz żałuję, że nie poświęciłem trochę więcej czasu bawełnie. Bo tak wygląda, że mi zbraknie pieniędzy, zanim natrafię na żyłę. Gdybym miał ze dwadzieścia albo trzydzieści bel bawełny, żeby jakoś przetrzymać jesień i zimę, mógłbym resztę czasu przeznaczyć na kopanie. Nie ma dwóch zdań, że pierwszego września muszę mieć sporo bawełny na sprzedaż.

— No, już teraz za późno sadzić więcej tego roku. Będzie z ojcem marnie, jak się czegoś nie zrobi.

— Tylko jedno mogę zrobić, a mianowicie kopać.

— Jeżeli ojciec dalej pokopie, to dom zwali się do tej dziury. Już teraz jest trochę przechylony. Niewiele potrzeba, żeby się przewrócił.

Tay Tay popatrzył na przyciągnięte z lasu kloce sosnowe, które podpierały budynek. Były wystarczająco duże i mocne, ażeby dom podtrzymać, ale gdyby go zanadto podkopali, z pewnością osunąłby się, a potem przewrócił. Wtedy albo zwałiłby się bokiem do wielkiego wykopu, albo też spadł dachem w dół na jego dno.

— Willu, jak człowieka złapie gorączka złota, to choćby pękł, nie może myśleć o niczym innym. Widzi mi się, że to właśnie mnie napadło, nie ma gadania. Dostałem takiej paskudnej gorączki, że ani mi w głowie sadzenie bawełny. Muszę wygrzebać z ziemi te małe, żółte bryłki. Żeby się waliło paliło, muszę dalej kopać, póki nie trafię na żyłę. Nie mogę teraz przerwać i brać się do czego innego. Ta gorączka przeżarła mnie całego na wylot.

Will ochłonał. Nie kwapił się już do wstawania i było mu obojętne, czy znajdzie Bucka i Shawa, ażeby wznowić bójkę. Skłonny był machnąć na nich ręką aż do następnego razu.

— Jeżeli ojcu potrzeba pieniędzy, to czemu ojciec nie pojedzie do Augusty i nie pożyczycy od Jima Leslie?

— Że co, Willu? — spytał Tay Tay.

— Niech Jim Leslie pożyczycy ojcu tyle, żeby przeciągnąć przez jesień i zimę. Na wiosnę będzie ojciec mógł zasadzić dużo bawełny.

— A, dajże spokój — odparł Tay Tay, uśmiechając się lekko. — To nie miałyby żadnego sensu.

— Dlaczego nie? On jest bogaty, a jego żona też ma forsy jak lodu.

— Nie będzie chciał mi pomóc, Willu.

— Skąd ojciec wie, że nie? Przecież ojciec nigdy nie próbował od niego pożyczycy, prawda? No, to skąd wiadomo, że nie da paru groszy?

— Jim Leslie nawet nie chce ze mną gadać na ulicy, Willu — rzekł tamten ze smutkiem. — A jeżeli nie chce gadać na ulicy, to dobrze wiem, że mi nie pożyczy pieniędzy. Nie byłoby sensu go prosić. Tylko wielka strata czasu, nic więcej.

— Do diabła, przecież to ojca rodzony, no nie? A jeżeli tak, to powinien posłuchać, jakie ojciec ma trudności z tym szukaniem żyły.

— To by go teraz nie bardzo obeszło. Przez to właśnie wyniósł się z domu. Powiedział, że nie będzie tu siedział i kopał przez całe życie jak kto głupi. Nie myślę, żeby wiele się zmienił od tego czasu.

— Jak dawno to było?

— A pewnie z piętnaście lat.

— No, to już mu przeszło do tej pory. Ucieszy się jak cholera, kiedy ojca zobaczy. Przecież ojciec jest jego własny tata, nie?

— Ano tak. Ale to go niewiele obchodzi. Próbowałem zagadać do niego na ulicy, ale nawet nie chciał spojrzeć w tę stronę.

— A ja się założę, że ojca wysłucha, jak mu ojciec zacznie opowiadać o swoim pechu.

— Ano, pewnie trafiłoby się na tę żyłę, gdybym mógł sobie pozwolić, żeby dalej kopać — rzekł Tay Tay, wstając.

— No, chyba — powiedział Will. — Właśnie to chciałem ojcu wytłumaczyć.

— Gdybym miał trochę pieniędzy — czy ja wiem, że dwieście albo trzysta dolarów — można by było znaleźć tę żyłę. Bo wiesz, szukanie złota wymaga czasu i diabelnie dużo cierpliwości.

— No to dlaczego ojciec nie pojedzie do Augusty i nie pogada z nim? Tak trzeba zrobić.

Tay Tay poszedł na drugą stronę domu. U węgła przystanął i zaczął na Willa. Przeszli przez podwórko do stajni, gdzie byli Dave i Wuj Feliks. Shaw i Buck siedzieli na przegródce boksu i gadali z albinosem i Murzynem.

— Chłopaki — powiedział Tay Tay. — Musicie się szykować. Postanowiłem zaraz wybrać się do Augusty. Idźcie umyć się trochę, bo już trzeba jechać.

— A po co? — zapytał kwaśno Buck.

— Po co? Żeby zobaczyć się z Jimem Leslie, synu.

— No, to ja zostaję — oświadczył Buck.

— Słuchajcie, chłopcy — zaczął prosić Tay Tay. — Potrzebniście mi, żeby mnie tam zawieźć samochodem. Przecież wiecie doskonale, że nie umiem prowadzić wozu w wielkim mieście. Od razu bym rozwalił całą maszynę.

Najpierw Buck, a po nim Shaw zleźli z przegrody i wyszli ze stajni. Ojciec podreptał za nimi, tłumacząc w kółko, dlaczego chce zobaczyć się z Jimem Leslie. Will wytknął głowę przez drabinkę i zerknął na Dave'a.

— Jak się czujesz, chłopie?

— Pierwszorządnie — odrzekł tamten.

— Chciałbyś teraz wrócić do domu?

— Wolę tu zostać.

Will cofnął głowę, śmiejąc się z albinosa. Zawrócił i wyszedłszy ze stajni, ruszył ku domowi.

— Lepiej trochę weź na wstrzymanie! — zawołał na odchodnym. — Dziś wieczór nie będzie Miłej Jill.

Jedzie razem z nami do Augusty.

Nie mówiąc nic więcej, odszedł, a Dave i Wuj Feliks zostali w stajni. Po drodze żal mu się zrobiło Dave'a. Miał nadzieję, że za kilka dni Tay Tay go wypuści i pozwoli wrócić do domu, jeżeli chłopak będzie miał ochotę.

Buck stał na tylnym ganku i obmywał w miednicy twarz i ręce, ale Will nawet nie spojrział w tę stronę. Zaszedł od frontu i usiadł na schodkach, czekając, by Tay Tay przygotował się do odjazdu. Pluto wybrał się tego rana do domu, żeby zmienić koszulę i skarpetki, i Willowi było go brak. Pluto mówił, że musi wcześniej wstać, żeby poagitować wyborców, i Will miał nadzieję, że zjawi się, zanim wyjadą. Mógł zostać wybrany szeryfem, jeżeliby jego przyjaciele, spodziewający się mianowania na zastępców, porządnie dla niego popracowali. Natomiast sam nigdy nie zdołałby zebrać wystarczającej ilości głosów.

Pierwsza wyszła z domu Gryzelda, już gotowa do drogi. Uśmiechnęła się do Willa, a on mrugnął do niej. Miała na sobie nową popołudniową sukienkę kretonową w kwiaty i duży kapelusz, którego rondo ocieniało jej ramiona. Will zastanowił się, czy kiedy widział równie ładną dziewczynę. Nie mógł myśleć o tym, że miałby wracać do Scottsville, nie spotkawszy się z nią sam na sam. Możliwe nawet, że zamiast jechać do Doliny, wróci z nimi dziś wieczorem z Augusty, byleby tylko być z Gryzeldą.

Rozdział 11

Kiedy nad wieczorem dojechali do Augusty, Buck zatrzymał wóz przy krawężniku na Broad Street. Nikt mu nie kazał stawać na krańcu miasta, więc Tay Tay pochylił się, aby zapytać synów, dlaczego się zatrzymali. Dom Jima Leslie był na Wzgórzu, o kilka mil dalej.

— Dlaczegoś stanął, Buck?

— Ja tu wysiadam i idę do kina — odparł, nie oglądając się, Buck. — Nie mam zamiaru jechać do Jima Leslie.

Shaw wysiadł z nim i obaj przystanęli na ulicy. Czekali, czy ktoś jeszcze z nimi pójdzie. Po chwili wahania Miła Jill i Rozamunda wysiadły także.

— Zaczekajcie minutkę, moi kochani — powiedział w podnieceniu Tay Tay. — Chcecie zepchnąć wszystko na mnie? Dlaczego któreś nie pojedzie tam razem ze mną i nie pomoże przekonać Jima Leslie, jak bardzo mi potrzeba pieniędzy?

— Pojadę z tobą, tato — rzekła Gryzelda.

— Ja chyba na nic się ojcu nie przydam — oświadczył Will, wysiadając. — Jakbym zaczął z nim gadać, cholera by mnie wzięła i musiałbym go nalać.

— Jedź z tatą, Willu — poprosiła Jill. — Będziesz mi potrzebny.

— To dlaczego ty nie jedziesz? Innych namawiasz, a sama nie chcesz.

— Nie bój się Jima Leslie, Willu — powiedziała Gryzelda. — Nic ci nie zrobi.

— A kto mówi, że się boję? Ja miałbym się jego bać?

— Czas jechać — rzekł Tay Tay. — Będziemy tak tu siedzieli i spierali się przez całą noc, jeżeli od razu się nie zdecydujemy.

Buck i Shaw ruszyli ulicą ku rzęsiście oświetlonym kinom. Rozamunda pobiegła i dopędziła ich.

— No, to pojadę — powiedziała Jill. — Wszystko mi jedno.

— Nas troje wystarczy, chyba że Will też chce jechać.

— Mnie tam obojętne — rzekł Will. — Poważę się trochę do waszego powrotu.

Jill wstała z tylnego siedzenia i usadowiła się za kierownicą. Obok niej usiadła Gryzelda, a Tay Tay został sam w tyle wozu.

— Będę się tu gdzieś kręcił — powiedział Will, spoglądając na ulicę.

Odszedł z wolna, trzymając się blisko krawężnika i zerkając w okna pierwszego piętra. Wszystkie domy miały tu szerokie na kilka stóp balkony z żelaznymi balustradami, a z okien i przez żelazne poręcze wyglądali na ulicę mieszkańcy.

Nieco dalej ktoś zawołał Willa po imieniu. Ruszył w tę stronę, spoglądając na twarze wychylające się z góry.

— Poszedł sobie — powiedziała ze zniechęceniem Gryzelda.

Jedna z dziewcząt na piętrze zagadnęła go, wychylona przez poręcz. Will szedł dalej, spoglądając na inne balkony. Dziewczyna, która próbowała nawiązać z nim rozmowę, zakłęła i obrzuciła go najwymyślniejszymi wyzwiskami.

Jill parsknęła śmiechem i coś szepnęła Gryzeldzie.

Przez chwilę rozmawiały przyciszonym głosem i Tay Tay nie mógł dosłyszeć ani słowa.

— Jedźmy, dziewczęta — powiedział. — To grzech i zgroza tu siedzieć.

Miła Jill nawet nie ruszyła ręką, aby zapuścić motor. Jedna z dziewczyn na balkonie pokazywała Tay Taya. On już je zauważył i za nic nie chciał oderwać wzroku od własnych stóp.

Przygryzał język z obawy, by któraś nie zagadała do niego, zanim Jill ruszy z miejsca.

— Jak się masz, dziadziu! — zawołała owa dziewczyna. — Chodź do nas na górę i zabaw się troszkę.

Tay Tay zerknął na Jill i Gryzeldę, kiedy się obejrzały, aby zobaczyć, co teraz robi. Marzył tylko, żeby zdążyli odjechać, zanim odezwą się dziewczyny z balkonów na piętrze. Nie miałyby nic przeciwko temu, aby do niego zagadały w innych okolicznościach, ale czułby się skrepowany, gdyby musiał odpowiedzieć którejś z nich przy Miłej Jill i Gryzeldzie. Pochylił się i dotknął palcem pleców córki, prosząc, by odjechała.

— Dlaczego tata nie wejdzie na górę i nie zobaczy, co tam się dzieje? — spytała, chichocząc znowu.

— Rany boskie! — wykrzyknął Tay Tay, rumieniąc się pod opalenizną.

— Idźże, tato — namawiała Gryzelda. — Zaczekamy na ciebie. Idź i zabaw się trochę.

— Rany boskie! — powtórzył Tay Tay. — Ja już nie jestem w tym wieku. To nie miałyby żadnego sensu.

Przypatrująca mu się z góry dziewczyna kiwnęła palcem i wskazała ruchem głowy schody, które wychodziły na ulicę. Była drobna, nie miała wiele więcej niż szesnaście czy siedemnaście lat i kiedy przechylona przez poręcz balkonu zaglądała do samochodu, Tay Tay nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć w górę, myśląc zarazem, że dobrze byłoby pójść do niej. Jego palce zacisnęły się na cienkim zwitku przybrudzonych banknotów jednodolarowych, które miał w kieszeni, a pot zwilżył mu czoło. Wiedział, że Jill i Gryzelda tylko czekają, by wysiadł i poszedł na górę, ale nie miał odwagi zrobić tego w ich obecności.

— Nie bądź takim skapiradłem, dziadziu — rzuciła kątem ust dziewczyna. — Raz się jest młodym.

Tay Tay łypnął na odwrócone doń tyłem Gryzeldę i Jill. Obserwowały stojącą na balkonie dziewczynę i coś o niej mówiły zniżonymi głosami.

— Idź, tato — powiedziała Gryzelda. — Zabawisz się. Należy ci się czasem trochę rozrywki po całej tej ciężkiej harówce w dołach.

— Słuchajże, Gryzeldo — bronił się słabo Tay Tay. — Ja już nie jestem w tym wieku. Nie drażnij się tak ze mną, bo sam nie wiem, co robić.

Dziewczyna zniknęła z małego balkoniku o żelaznej balustradce. Tay Tay spojrział w górę i uczył ulgę. Pochylił się i postukał palcem Miłą Jill, nalegając, by odjechała.

— Zaczekajmy jeszcze minutkę — odrzekła.

Widział, że obie obserwują wychodzące na ulicę schody. Nagle z szarego mroku budynku wynurzyła się na jaskrawe światło latarni ulicznych dziewczyna.

Tay Tay, ujrawszy ją, wtulił się w siedzenie, mając nadzieję, że go nie zauważy. Podeszła prosto do samochodu i przystanęła obok Tay Taya.

— Ja wiem, co ci brakuje. Wstydlivy jesteś.

Tay Tay zaczerwienił się i wcisnął jeszcze głębiej. Widział, że Jill i Gryzelda obserwują go w małym lusterku umieszczonym nad przednią szybą.

— Chodź na górę, to się zabawimy.

Jill znowu parsknęła śmiechem.

Tay Tay coś odpowiedział, ale nikt tego nie dosłyszał. Dziewczyna postawiła nogę na stopniu i spróbowała chwycić starego za rękę, by go wyciągnąć z auta. Odsunął się na środek siedzenia, uciekając przed jej palcami.

Jill obróciła się i spojrzała na wypudrowane piersi dziewczyny, które odsłaniał głęboki dekolt sukni. Cofnęła głowę i coś szepnęła Gryzeldzie. Obie się roześmiały.

— No, i co z tobą jest, dziadziu? Czyrak masz, czy ci forsy brak?

Tay Tay zastanowił się mglście, czy da mu spokój i pójdzie sobie, jeżeli powie, że nie ma pieniędzy.

Potrząsnął głową i odsunął się jeszcze dalej.

— Zimny drań z ciebie — powiedziała dziewczyna. — Dlaczego nie chcesz wydać paru centów pod koniec tygodnia? Gdybym wiedziała, żeś taki chytrus, sukinsyn, tobym się w ogóle nie fatygowała na dół.

Tay Tay nie odpowiedział; myślał, że może dziewczyna zawróci teraz do domu. Ale ona nawet nie zdjęła nogi ze stopnia i czekała przy aucie, patrząc na niego spode łba.

— Jedźmy! — zawołał. — Czas jechać.

Jill zapuściła silnik i włączyła bieg. Obejrzała się, czy tamta zdjęła już nogę. Cofnęła auto o kilka stóp. Dziewczyna, której noga osunęła się ze stopnia, obrzuciła przekleństwami starego, stojąc na krawężniku. Kiedy oddalili się od chodnika, Jill ruszyła środkiem jezdni i skręciła za róg. W parę minut później jechali już bulwarem w stronę Wzgórza.

— Naprawdę wdzięczny wam jestem, dziewczęta, żeście mnie stamtąd wyrwały — powiedział Tay Tay. — Bo tak wyglądało, jakbyśmy już nigdy nie mieli odjechać. Gdybyśmy nie ruszyli, byłbym z nią poszedł na górę, po prostu, żeby jej zamknąć twarz. Nie znoszę, jak mi kobita wymyśla przy wszystkich na głównej ulicy. Nigdy nie mogłem ścierpieć, żeby mnie baby przeklinały w samym środku miasta.

— E, nie dałybyśmy ci iść na górę, tato — powiedziała Gryzelda. — Takeśmy tylko żartowały. Nie pozwoliłybyśmy, żebyś poszedł i jeszcze się zaraził. To tylko było tak dla kawału.

— No, wcale nie mówię, że chciałem pójść, i nie mówię też, że nie. Ale z pewnością przykro mi było, że kobita tak mi wymyśla na głównej ulicy. Po pierwsze, to nieładnie brzmi. Nigdy nie mogłem tego strawić.

Przejechali mostem przez kanał i wydostali się na następny bulwar. Do Wzgórza były jeszcze dwie mile, ale wóz włączył się w bystry strumień pojazdów i szybko sunął po stopniowo wznoszącym się stoku. Tay Tay był jeszcze trochę zdenerwowany spotkaniem z dziewczyną mieszkającą w pokoju z żelaznym balkonem i cieszył się, że już jest po wszystkim. Znał kilka dziewcząt z tej dzielnicy, ale to było przed dziesięciu czy piętnastu laty i tamte już odeszły, ustępując miejsca innym, znacznie młodszym. Tay Tay czuł się nieswojo w obecności nowej generacji dziewczyn, bo już nie chciały przesiadywać w swoich pokojkach czy nawet na balkonach, ale wychodziły na ulicę i wyciągały mężczyzn z samochodów. Pokiwał głową, rad, że już jest w innej części miasta.

— Rany boskie — powiedział. — To była diablica, nie ma dwóch zdań. Chyba jeszcze nie widziałem takiej piekielnej baby.

— Ciągłe myślisz o tej dziewczynie? — spytała Gryzelda. — Tylko powiedz słówko, to zawrócimy.

— Niech to lichu! — wrzasnął. — Ani się ważcie! Jedźmy, gdzie mamy jechać. Muszę zobaczyć się z Jimem Leslie. Nie mogę się tam znowu wygłupiać nie wiadomo po co.

— A wiesz, którędy teraz jechać? — zapytała Jill, zwalniając u skrzyżowania trzech ulic.

— W prawo — odparł, wskazując ręką.

Minęli kilka przecznic wysadzaną drzewami alei. W tej części miasta stały duże domy. Niektóre z nich sięgały od przecznicy do przecznicy. W górze widniały wysokie wieże "Bon Air-Vanderbiltu". Znaleźli się pośród wypoczynkowych hoteli.

— To jest taki duży, biały dom, dwupiętrowy, z wielkim gankiem od frontu — powiedział Tay Tay. — Jedź teraz wolniej, a ja się będę rozglądał.

W milczeniu minęli dwa dalsze bloki.

— Po nocy wszystkie do siebie podobne — rzekł Tay Tay. — Ale jak zobaczę dom Jima Leslie, to poznam go bez pudła.

Miła Jill zwolniła, mijając przecznicę. Tuż za nią stał duży biały dom dwupiętrowy, z białymi kolumnami wznoszącymi się aż pod dach.

— To tutaj — powiedział Tay Tay, stukając dziewczęta palcem w plecy. — To jest dom Jima Leslie, równie pewnie, jak to, że Pan Bóg stworzył zielone jabłuszka. Stańcie tu.

Wysiedli i przypatrzyli się wielkiemu białemu domowi, przesłoniętemu drzewami. Światła paliły się we wszystkich oknach parterowych, a także w kilku na piętrach. Drzwi frontowe stały otworem, ale siatkowe były zamknięte. To zaniepokoiło starego; bał się, że mogą być zamknięte na klucz.

— Nie pukajcie ani nie dzwońcie, dziewczęta. Bo wtedy Jim Leslie może zobaczyć, kto przyszedł, i zamknąć drzwi na klucz, zanim się dostaniemy do środka.

Ruszył przodem, na palcach wszedł po schodkach i minął szeroki ganek. Jill i Gryzelda szły tuż za nim, chcąc razem dostać się do środka. Tay Tay bezszelestnie otworzył siatkowe drzwi i znaleźli się w przestronnym hallu.

— Jużemy w środku — szepnął z ogromną ulgą. — Teraz niełatwo mu będzie nas wyrzucić, zanim powiem, o co mi idzie.

Z wolna podeszli do szerokich drzwi po prawej stronie. Tay Tay przystanął i zajrzał do pokoju.

Jim Leslie usłyszał ich kroki i zmarszczywszy brwi, podniósł wzrok znad książki. Był sam. Tay Tay domyślił się, że żona Jima musi przebywać w innej części domu, zapewne na piętrze.

Podszedł do syna.

— Co ty tu robisz? — odezwał się Jim Leslie. — Wiesz, że ci zabroniłem tu przychodzić. Zabieraj się!

Spojrzawszy nad ramieniem ojca, zauważył siostrę i Gryzeldę. Zmarszczył się znowu i popatrzył na nich jeszcze surowiej.

— Słuchajże, Jimie — zaczął Tay Tay. — Przecież się cieszysz, że nas widzisz. Nie widzieliśmy się od bardzo, bardzo dawna, prawda, synu?

— Kto was wpuścił?

— Samiśmy się wpuścili. Drzwi były otwarte, a wiedziałem, że jesteś w domu, bom cię zobaczył przez okno, więcemy po prostu weszli. U nas tak się robi. Nikt nie musi pukać do moich drzwi, żeby się dostać do środka. U mnie wszyscy są mile widziani.

Jim Leslie znowu popatrzał na Gryzeldę. Widział ją już z daleka parę razy, ale nie uświadamiał sobie, że jest taka ładna. Nie mógł pojąć, dlaczego tak piękna dziewczyna wyszła za Bucka i osiedliła się na wsi. Byłaby o wiele bardziej na swoim miejscu w takim domu jak ten. Usiadł, a tamci sami przysunęli sobie krzesła.

— Po co tu przyjechałeś? — zapytał ojca.

— Ważna sprawa, synu — odrzekł Tay Tay. — Wiesz doskonale, że nie przyjeżdżałbym do twego

domu bez zaproszenia, gdybym nie był w ogromnym kłopotcie.

— Pewnie idzie o pieniądze — powiedział Jim Leslie. — Czemu ich sobie nie wykopiesz z ziemi?

— A są tam, są, tylko że nie mogę ich tak od razu wydostać.

— To samo myślałeś dziesięć czy dwanaście lat temu. Powinieneś być nauczyć się rozumu przez te piętnaście lat. Tam nie ma żadnego złota. Mówiłem ci to przed odjazdem.

— Jest złoto czy nie, a ja mam gorączkę, synu, i nie mogę przestać z tym kopaniem. Ale się mylisz, bo tam złoto jest, tylko ani rusz nie udaje mi się go znaleźć. Sprowadziłem sobie teraz albinosa i lada dzień natrafie na żyłę. Wszyscy gadają, że albinos potrafi odgadnąć, gdzie ona jest.

Jim Leslie prychnął z niesmakiem. Spojrzał bezradnie na ojca, nie wiedząc, co powiedzieć człowiekowi mówiącemu podobne bzdury.

— Nie bądźże głupcem przez całe życie — odezwał się wreszcie. — Te opowieści o odgadywaczach to są murzyńskie brednie. Chyba tylko Murzyni biorą poważnie takie rzeczy. Biały człowiek powinien mieć tyle rozsądku, żeby się nie nabierać na podobne przesady. Z każdym rokiem jest z tobą gorzej.

— Mów sobie, co chcesz, a ja przeprowadzam kopanie naukowo. Robiłem tak od samego początku. Mój sposób jest naukowy i wiem o tym dobrze.

Jim Leslie nie miał już nic do powiedzenia na ten temat. Odwrócił się i popatrzał na bibliotekę.

Tay Tay rozejrzał się po bogato urządzonej sypialni. Nigdy dotychczas nie był w tym domu i dywany oraz meble stanowiły dla niego rewelację. Dywany były miękkie, uginały się pod stopą jak świeżo zorana ziemia i stąpając po nich, czuł się dziwnie swojsko. Obejrzał się raz, by rzucić okiem na Gryzeldę i Miłą Jill, ale obie przyglądały się Jimowi i nie patrzyły w tę stronę.

Po chwili Jim Leslie poprawił się w ogromnym, suto wyściełanym fotelu. Zaplótł dłonie pod brodą i począł wpatrywać się w Gryzeldę. Tay Tay widział, że patrzy na nią bacznie.

Rozdział 12

— To jest Gryzelda, żona Bucka — powiedział Tay Tay.

— Wiem — odrzekł Jim Leslie, nie obracając głowy.

— Ogromnie śliczna dziewczyna.

— Aha.

— Jakem ją pierwszy raz zobaczył, powiedziałem sobie: rany boskie, ta Gryzelda to dopiero smakowity kąsek!

— Wiem — powtórzył Jim.

— Straszna szkoda, że twoja żona nie jest taka ładna jak ona — powiedział Tay Tay ze współczuciem.

— Piekielna szkoda, Jimie, sam ci to mówię.

Jim Leslie lekko wzruszył ramionami, nie przestając wpatrywać się w Gryzeldę. Nie mógł od niej oderwać oczu.

— Gadali mi, że twoja żona jest zarażona — powiedział Tay Tay, przysuwając się z krzesłem do syna.

— Słyszałem od chłopaków, że kupa tych bogatych, co tu mieszkają na Wzgórzu, ma to i owo nie w porządku. Diabelna szkoda, że musiałeś się z nią ożenić. Szczerze mi ciebie żal, synku. Tak cię już przycisnęła, że nie mogłeś się wymigać od ślubu?

— Czy ja wiem — odrzekł ze znużeniem Jim Leslie.

— No, bo mnie jest okropnie przykro, że masz chorą żonę, synku. Przyjrzyj się tym dziewczuchom. Żadna nie jest chora. Miła Jill jest w porządku i Gryzelda też. I Rozamunda to samo. Wszystkie trzy są porządne, czyściutkie, synku. Za nic bym nie chciał mieć w domu takiej zarażonej. Tak by mi było wstyd, że nie wiedziałbym, gdzie się schować, jakby kto do mnie zaszedł. Musi ci być ciężko żyć z taką zarażoną kobitą, jak ta twoja. Dłaczego to tak jest, że tutaj w mieście tyle bogatych dziewcząt ma te choroby?

— Nie wiem — odparł cicho.

— A twojej co jest?

Jim Leslie spróbował roześmiać się, ale nie mógł przywołać na wargi nawet uśmiechu.

— Nie wiesz, jak to się nazywa, synku?

Jim potrząsnął głową na znak, że nie ma nic do powiedzenia.

— Chłopcy mówili, że ona ma trypra. To prawda, synku? Takem słyszał, o ile dobrze pamiętam.

Jim Leslie niemal niedostrzegalnie skinął głową. Póki mógł siedzieć i patrzeć na Gryzeldę, był skłonny puszczać pytania ojca mimo uszu. Nie interesowały go, dopóki Gryzelda tu była.

— No, żal mi ciebie, synku, bo to piekielna szkoda, że musiałeś wziąć sobie zarażoną dziewczynę. Ale pewnie byś tego nie zrobił, gdyby cię tak nie przyparła do muru, że już nie mogłeś się wykręcić. Jeżeli tak było, to i sam Pan Bóg nic by tu nie poradził. Aleś zasłużył na coś lepszego. Piekielna szkoda, że musiałeś to zrobić.

Tay Tay przysunął się z krzesłem bliżej do syna. Pochylił się naprzód i ruchem głowy wskazał Gryzeldę.

— Wielka szkoda, że tak się stało z tą twoją żoną, sam ci to mówię. Bo weź choćby taką Gryzeldę: jest zdrowiutka i najładniejsza dziewczyna, jaką w ogóle można zobaczyć. Tylko się jej przyjrzyj! Wiesz doskonale, że nigdy nie widziałeś ładniejszej, prawda?

Jim Leslie uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

— Och, dajże spokój, tato — odezwała się z niepokojem Gyzelda. — Proszę cię, nie zaczynaj znowu. Nie mów przy nim takich rzeczy. To nie wypada.

— Czekaj, czekaj, Gyzeldo. Jestem z ciebie okropnie dumny i muszę cię wychwalać. Przecież nie jesteście tu obcy. A bo to Jim Leslie nie należy do rodziny tak samo jak Miła Jill i cała reszta? Chcę cię ogromnie wychwalać. Jestem z ciebie dumny jak kwoka ze swojego jedyne kury.

— No, ale już nie mów nic, proszę cię.

— Synu — zaczął Tay Tay, zwracając się do Jima Leslie. — Gyzelda jest najładniejszą dziewczyną w całym stanie Georgia, a myślę, że to jest coś, z czego można być dumnym. Rany boskie! Przecież ona ma dwa najśliczniejsze sterczące cudeńka, jakie kiedykolwiek widziano. Gdybyś je mógł zobaczyć pod bluzką, przekonałbyś się, że ci tu gadam prawdę, którą sam Pan Bóg mógłby potwierdzić, gdyby umiał mówić. A i nie byłbyś wcale pierwszym, który by dostał fioła od samego patrzenia.

— Och, tato! — powiedziała błagalnie Gyzelda, zakrywając twarz rękami, jakby się chciała zapaść pod ziemię. — Proszę cię, przestań, no, proszę cię!

— Już ty siedź cicho, kiedy cię wychwalam, Gyzeldo. Wiem, co robię. Dumny się czuję, jak o tobie mówię. Jim Leslie nigdy nie widział takich rzeczy. Jego żona w ogóle nie może się z tobą równać. Wygląda tak, jakby była całkiem wgnieciona z przodu i nic jej nie sterczy. Wielki to wstyd i szkoda, niech mnie licho, że musiał się ożenić z taką paskudną dziewczyną. Cud, że to może wytrzymać, i jeszcze z tą chorobą na dodatek. Tylko mi nie przerywaj, kiedy cię chwalam, Gyzeldo, bo jestem z ciebie okropnie dumny i będę cię wynosił pod samo niebo.

Gyzelda rozplakała się. Ramionami jej wstrząsał szloch i musiała trzymać chustkę przy oczach, ażeby łzy nie kapały na kolana.

— Synu — ciągnął Tay Tay. — Czy to nie najładniejsza dziewczyna, jaką widziałeś? Za młodu wydawało mi się, że wszystkie są do siebie mniej więcej podobne poza małymi przyrodzonymi różnicami i pewnie ty do tej pory myślałeś tak samo. Ale kiedy porządnie przypatrzysz się Gyzeldzie, zrozumiesz dokumentnie, żeś masę stracił, wierząc w takie bzdury przez całe życie. Pewnie już wiesz, o co mi idzie, synu. Siedzisz tu, spoglądasz tak na nią i czujesz, że coś ci w środku wzbiera. To właśnie jest to. Mało wyjeżdżałem z Georgii, więc nie mogę mówić o innych częściach świata, ale jak mi Bóg miły, za moich czasów niejedno widziałem tam, na miejscu, i powiadam ci, że nie ma co szukać gdzieś dalej podobnych cudności. Rany boskie! Gyzelda jest taka śliczna, że człowiekowi czasem aż żal patrzeć.

Gyzelda łkała. Tay Tay poszperał w kieszeni, wreszcie wśród gwoździ, sztyftów od upręży i drobnych pieniędzy odszukał dwudziestopięciocentówkę i wręczył ją Gyzeldzie.

— No, powiedz, czy nie mam racji, Jimie?

Jim Leslie spojrzał na niego, a potem znów na Gyzeldę. Najwyraźniej był o wiele mniej zły na ojca niż przedtem. Zaprzagnął coś powiedzieć do Gyzeldy albo do Tay Taya na jej temat.

— Może i nie było słusznie zadawać ci to pytanie — mówił stary — i chyba je cofnę. Bo przecież nie miałeś okazji tak oglądać Gyzeldy jak ja, i nie możesz mi wierzyć na słowo, jeżeli sam nie widziałeś. Ale jak ci się kiedy zdarzy ją zobaczyć, przypomnisz sobie, że ci nie skłamał ani odrobiny. Ma wszystkie te śliczności, o których ci gadałem, a nawet jeszcze większe. Jak posiedzisz i przyjrzesz jej się, zaraz to poczujesz. Bo jeżeli człowiek potrafi patrzeć, widzi to. choćby było nie wiem jak zakryte.

Jim Leslie nagle wyprostował się i nadstawił ucha. Gdzieś rozległ się wyraźny odgłos kroków. Jim zerwał się na równe nogi, dał niemal niedostrzegalnym ruchem głowy znak Jill i Gryzeldzie, po czym wybiegł z pokoju.

Jill wstała, podeszła do kominka i przystanęła, oglądając ustawione na nim cacka. Obróciła się i zawołała Gryzeldę.

— Widziałaś kiedy w życiu takie piękne rzeczy?

— Nie trzeba niczego dotykać, Jill. Bo to nie nasze. Wszystko jest ich.

— Jim Leslie to mój brat, więc dlaczego nie miałybyśmy robić, co się nam podoba, w jego domu?

— Bo to także i jej dom.

Miła Jill zadarła nosk i zrobiła grymas, który zarówno Gryzelda, jak i Tay Tay zauważyli doskonale.

— Jim Leslie elegancko sobie żyje, ani słowa — powiedział Tay Tay. — Patrzajcie tylko, jakie to piękne meble w tym pokoju! Jakby teraz spojrzeć na niego, to człowiek ani by się domyślił, że tu przyszedł spod Marion, kiedy jeszcze był chłopakiem. Ale nie widzi mi się, żeby całkiem przywykł do tych rzeczy. Założyłbym się, że czasem chciałby znowu być w domu z Buckiem, Shawem i nami wszystkimi, i pomagać przy kopaniu. Jim Leslie jest takusienki jak i my, Gryzeldo. Niech cię nie zwodzi ładny garnitur. Na twoim miejscu niczego bym się nie bał w jego domu.

Jill położyła dłoń na mahoniowym stolyczku, wyczuwając pod palcami jego piękną gładkość. Zawołała Gryzeldę, by razem podziwiać mebel.

— A tu jest obraz wielki jak całe okno — zauważył Tay Tay, wstając i podchodząc do ściany, ażeby przyjrzeć się z bliska. — Ile to trzeba było czasu i cierpliwości, żeby odrobić coś podobnego! Założę się, że ktoś w to wsadził ze dwa miesiące pracy. Tylko patrzajcie na te drzewa z czerwonymi listkami.

Przez chwilę przyglądały się pejzażowi, który Tay Tay tak bardzo podziwiał, a następnie podeszły do okna, żeby obejrzeć portieri. Tay Tay został sam, zaintrygowany olejnym malowidłem. Cofnął się i popatrzał, przekrzywiając nieco głowę, potem podszedł bliżej, ażeby zbadać fakturę. Ze wszystkiego, co widział w tym domu, obraz podobał mu się najbardziej.

— Ten, co to malował, znał się na rzeczy — oświadczył. — Nie pokazał wszystkich gałęzi na drzewach, ale niech mnie szlag trafi, jeżeli nie zrobił prawdziwszego lasu niż te, co są w rzeczywistości. Nigdy w życiu nie widziałem takiego zagajnika, ale nie ma gadania, że ten jest lepszy od prawdziwych. Bardzo bym chciał mieć taki landszaft w Marion. Jak się raz zobaczy takie malowidło, to wszystkie te stare kalendarze rolnicze okazują się do niczego. Nawet reklamy Coca-Coli, co to je poustawiali naokoło Marion, marnie się przedstawiają przy czymś podobnym. Bardzo bym chciał namówić Jima Leslie, żeby mi to podarował i pozwolił dzisiaj zabrać do domu.

— Tato, tylko nie proś go o nic, dobrze? — powiedziała czym prędzej Gryzelda. — Bo tu wszystko należy także i do jego żony.

— Jeżeli Jim Leslie będzie chciał coś mi dać ze szczerego serca, to wezmę. A jakby ona próbowała przeszkodzić, to się po niej przejadę. Co mnie ona obchodzi?

Obrócił się i w tym momencie strącił porcelanowy wazon z małego stoliczka, którego przedtem nie zauważył. Szybko spojrzął na Jill i Gryzeldę.

— Patrzcie, co ja narobiłem — powiedział stropiony. — Co na to powie Jim Leslie?

— Prędko! — rzekła Gryzelda. — Pozbierajmy wszystkie kawałeczki, zanim ona tu wejdzie.

Uklękła z tęściami na podłodze i zgarnęła na kupkę szczątki cienkiej porcelany. Jill nie chciała im pomagać. Zachowywała się tak, jakby jej było obojętne, czy kawałki się zbierze, czy też zostawi na widoku. Tay Tay zadrzał na całym ciele, kiedy pomyślał, co powie żona Jima, jak zobaczy skutki jego nieostrożności.

— Gdzie by tu wsadzić te skorupy? — zapytała wystraszona Gryzelda.

Tay Tay rozejrzał się w popłochu. Nie wiedział właściwie, czego szuka, ale zauważył, że okna są zamknięte, a na kominku nie ma popiołu, w którym można by zagrzebać skorupki.

— Dawaj — powiedział, wyciągając obie dłonie. — Daj mi tu wszystko.

— Ale co my z tym zrobimy?

Tay Tay, uśmiechając się do obu dziewczyn, zsypał potłuczoną porcelaną do kieszeni. Cofnął się, przytrzymując ją ręką.

— To jest najlepsze miejsce. Jak wyjedziemy za miasto, wyrzucę to wszystko i nikt nawet nie zauważy.

Miła Jill zajrzała do sąsiedniego pokoju przez szerokie, oszklone drzwi. Nie mogła nic dojrzeć w ciemnościach, ale domyśliła się, że musi to być jadalnia. Obie z Gryzeldą chciały zobaczyć jak najwięcej przez ten krótki czas, który tu miały spędzić.

Tay Tay usiadł na fotelu i czekał na powrót syna. Jima nie było już od dziesięciu minut albo kwadransa i stary niecierpliwie wyglądał jego powrotu. Czuł się zagubiony w tym wielkim domu.

Jim Leslie stanął w drzwiach. Tay Tay podniósł się i podszedł do niego.

— Czego ojciec ode mnie chciał?

— No, widzisz, mnie jest ciężko, synu. Czarny Sam i Wuj Feliks zasadzili tego roku mało bawełny, bo to co parę dni się zwalniali, żeby pokopać na własny rachunek, więc jak przyjdzie wrzesień, nie będę miał grosza przy duszy. Myślę, że już teraz lada dzień natrafimy na tę żyłę, ale nie umiem powiedzieć, kiedy to będzie. A trzeba mi trochę pieniędzy, żeby się jakoś oporządzić.

— Nie mogę ci nic pożyczyć. Wszystko, co mam, jest ulokowane w nieruchomościach, a to, co zarobię z dnia na dzień, idzie na dom. Wam się zdaje, że tutaj w mieście ludzie chodzą z wielkimi zwitkami pieniędzy, a to nieprawda; ci, którzy mają forszę, muszą ją inwestować, a jak się już raz zainwestuje, to nie można jednego dnia wycofywać, a drugiego znów wpłacać.

— Twoja żona ma coś niecoś.

— Może i ma, ale to nie moje.

Jim Leslie obrócił się i spojrzał w stronę hallu, jakby spodziewał się zobaczyć tam Gussie. Ale żona wciąż przebywała w innej części domu.

— No, a ile by ci było potrzeba?

— Jakbym miał ze dwieście albo trzysta dolarów, to jakoś bym przeciągnął przez jesień i zimę. Na wiosnę zasadzę dużo bawełny. Teraz trzeba mi tylko tyle, żeby przeżyć jesień i zimę.

— Nie wiem, czy będę mógł dać aż tyle. Powiadam ci, że mnie samemu jest teraz ciężko. Mam w mieście kilka kamienic, ale ostatnio niewiele wyciągam z komornego. Już musiałem usunąć siedem czy osiem rodzin, a przecież wolne pokoje nie przynoszą ani centa.

— No, to poproś żonę, synku.

— Kiedy musisz to mieć?

— A zaraz. Bo trzeba kupić paszę dla mułów i żywność dla rodziny i dwóch parobków. Dzisiaj prowadzenie gospodarstwa masę kosztuje, bo dużo się wydaje, a diablo mało zarabia.

— Wolałbym, żebyś przyjechał do mnie później. W przyszłym miesiącu będę stał lepiej. Położyłem areszt na różnych meblach i po zlicytowaniu dostanę z tego trochę forsy. Nie masz pojęcia, jak mi trudno, kiedy nie można ściągnąć komornego.

— Przykro mi słyszeć, synu, że sprzedajesz dobytek biednych ludzi. Ja bym się wstydził na twoim miejscu. Chyba bym nie potrafił być taki twardy dla bliźnich.

— Zdawało mi się, że przyjechałeś po pożyczkę. Nie mam zamiaru sterczeć tu przez całą noc i wysłuchiwać twojego gadania.

— Widzisz, ja muszę zdobyć trochę pieniędzy, synu — powiedział Tay Tay. — Muły i parobcy, i moja własna rodzina nie mogą czekać. Musimy jeść, i to zaraz.

Jim Leslie wyjął portfel i odliczył pewną kwotę w banknotach dziesięcio- i dwudziestodolarowych. Złożył pieniądze na pół i podał ojcu.

— To wielka pomoc, synku — powiedział z wdzięcznością Tay Tay. — Z całego serca ci dziękuję, żeś mi dopomógł w ciężkiej chwili. Jak wykopimy złoto, nie będzie już trzeba pożyczać.

— To wszystko, co mogę ci dać. Tylko aby nie podchodz do mnie na ulicy i nie pros o więcej, bo nie dostaniesz. Powinieneś dać spokój z tym szukaniem złota, a uprawiać bawełnę i coś do jedzenia. Nie ma żadnego sensu, żeby człowiek, który jest właścicielem stu akrów ziemi i dwóch mułów, biegał do miasta po każdy pęczek buraków. Sadź je sam. To dobra ziemia, a od dwunastu czy piętnastu lat w większej części leży odłogiem. Niech ci twoi dwaj parobcy uprawiają tyle jarzyn, żeby się wyżywić.

Tay Tay ruchem głowy potakiwał wszystkiemu, co mówił Jim Leslie. Teraz czuł się wyśmienicie. Płaski zwitek pieniędzy w kieszeni podnosił go do równego poziomu z innymi ludźmi. Chciał tylko trzystu dolarów, a nie spodziewał się, że w ogóle cokolwiek dostanie.

— No, trzeba już zbierać się do domu — powiedział.

Zajrzał do biblioteki i zawołał Jill i Gryzeldę. Wyszły do hallu i skierowały się ku drzwiom.

Jim Leslie wyszedł z domu ostatni. Minął za nimi szeroki ganek i zbiegł po schodkach na trotuar. Kiedy już usadowili się w aucie, zaszedł od strony, gdzie siedziała Gryzelda, i położył rękę na drzwiczkach. Oparł się o nie i wpatrzył w Gryzeldę.

— Wpadnij do mnie, jak kiedyś będziesz w mieście — powiedział z wolna, pisząc coś wiecznym piórem na kartce, którą po chwili jej wręczył. — Będę na ciebie czekał, Gryzeldo.

Spuściła głowę, żeby uniknąć jego wzroku.

— Tego nie mogłabym zrobić — odrzekła.

— Dlaczego?

— Buck nie byłby zadowolony.

— Do diabła z Buckiem — odparł Jim Leslie. — Przyjdź tak czy owak. Chciałbym z tobą pomówić.

— Lepiej ją zostaw w spokoju i pilnuj własnej żony — odezwała się Jill.

— Co mnie ona obchodzi — odparł zapalczywie. — Będę na ciebie czekał, Gryzeldo.

— Nie mogę — powtórzyła, potrząsając głową. — To byłoby nie w porządku wobec Bucka. Jestem jego żoną.

— Już ci powiedziałem: do diabła z Buckiem. Ja cię dostanę, Gryzeldo. Jeżeli nie zajdziesz do mojego biura następnym razem, jak będziesz w mieście, to ja przyjadę po ciebie. Słyszysz? Przyjadę i zabiorę cię tutaj.

— Buck by cię zastrzelił — powiedziała Jill. — I tak miał już dosyć kłopotu z Willem.

— Z jakim Willem? Co to u diabła za Will? Co on ma do niej?

— No, przecież znasz Willa Thompsona.

— Tego bawelniarza? Boże kochany, przecież chyba nie zadawałabyś się z Willem Thompsonem, Gryzeldo? Z tym dumnym bawelnianym łbem z Doliny Horse Creek?

— A cóż to szkodzi, że mieszka w miasteczku fabrycznym? — spytała szybko Jill. — Lepszy jest od niejednego, co siedzi w tych pięknych domach.

Jim Leslie sięgnął ponad oparciem i mocno objął Gryzeldę. Próbowwała odsunąć się, ale przyciągnął ją na powrót. Kiedy przestała się wrywać, pochylił się, chcąc ją pocałować.

— Zostaw ją w spokoju, synu, a my jedźmy, zanim się zacznie awantura — rzekł Tay Tay, wstając. — Przestańże ją tarmosić.

— Wywlokę ją z tego przeklętego auta — odparł Jim Leslie. — Wiem, czego chcę.

Miła Jill ruszyła z miejsca i wóz potoczył się szybko. Kiedy przejechał kilkanaście jardów, Jim Leslie poczuł, że nie zdoła utrzymać się dłużej na stopniu. Wiedział, że Jill może umyślnie otrzeć wozem o któreś z drzew rosnących wzdłuż krawężnika i zrzucić go w ten sposób na ziemię. Raz jeszcze spróbował dosięgnąć Gryzeldy. Wyciągnął rękę i pochwycił palcami dekolt jej kwiecistej sukni. Uczuł, że materiał nagle się rozstępuje, i wyteżył wzrok, usiłując coś dojrzeć w półmroku. Nim zdążył pochylić się bliżej, Jill raptownie skrzyła wozem ku drugiej stronie ulicy, zrzucając go na jezdnię.

Wylądował ciężko na czworakach, ale nie zrobił sobie takiej krzywdy, jak się spodziewał. Od upadku zapiekły go boleśnie dłonie i kolana, lecz zaraz zerwał się i począł otrzępywać z kurzu ubranie, patrząc za autem szybko znikającym w oddali.

Na zakręcie obejrzeni się i dostrzegli pod latarnią Jima Leslie otrzępującego pył z marynarki. Spodnie miał rozerwane na kolanie, ale jeszcze tego nie zauważył.

— Widzi mi się, żeś słusznie zrobiła — powiedział Tay Tay do Jill. — Jim Leslie nie chciał skrzywdzić Gryzeldy, ale Bóg jeden wie, do czego by doszło, gdyby to dłużej potrwało. Coś gadał, że ją wywlecze z samochodu, i pewnie nie bałby się tego zrobić. Paskudnie bym się czuł, gdybym odjechał stąd bez niej i musiał potem świecić oczami przed Buckiem, jakby pytał, gdzie ona się podziała.

— Och, Jim Leslie nie jest taki straszny, tato — powiedziała Gryzelda. — Nic mi nie zrobił. Nawet mnie nie nastraszył. Za delikatny jest, żeby się brzydtko zachować.

— No, bardzo to ładnie z twojej strony, że tak o nim mówisz, ale ja wcale nie jestem tego pewny. Jim Leslie to Walden, a Waldenowie są znani nie tyle z nieśmiałości, ile z tego, że biorą to, na co mają ochotę. Może się zresztą myłę. Może ja jeden z całej rodziny jestem taki.

Kiedy sunęli po długim, stromym stoku ku miastu rozświetlonemu w dole, na równinie, Tay Tay pochylił się, aby zobaczyć, dlaczego Gryzeldzie tak drgają ramiona. Słyszał, że usiłuje powstrzymać szloch, ale nie mógł dojrzeć łez w jej oczach.

— Może ten Jim byłby ją jednak wyciągnął z wozu — powiedział do siebie. — Nie rozumiem, co jej może być, jeżeli nie to. Tylko Walden potrafi tak rozhuścić dziewczynę.

Pochylił się jeszcze bardziej i przykucnął, aby nie wypaść z otwartego wozu, gdyby Jill niespodziewanie skrzyła. Zauważył, że Gryzelda próbuje jakoś spiąć nową suknię, rozerwaną prawie do pasa i odsłaniającą kremową białość jej ciała. Tay Tay przypatrzył się raz jeszcze, zanim spięła materiał. Zastanawiał się, czy powodem rozdarcia sukni mogło być coś, co powiedział tego wieczora.

Po chwili usiadł znowu, wyciągnął nogi, oparł je o podpórkę i mocno zacisnął w wilgotnej dłoni zwinięte trzysta dolarów, które dał mu Jim Leslie.

Rozdział 13

Rozamunda, Shaw i Buck oczekiwali ich u skraju miasta, na rogu ulicy. Natomiast Willa nie było nigdzie widać. Podjechali do krawężnika i zgasili motor. Okna za żelaznymi balkonami na piętrze były jeszcze otwarte, a większość ich oświetlona. Tay Tay usiłował nie podnosić wzroku powyżej parteru.

— Dostałeś pieniądze, tato? — spytała Rozamunda, która pierwsza podeszła do auta.

— No, chyba — odparł z dumą. — Patrz, jaka harmonia zielonych papierków!

Buck i Shaw zbliżyli się, by też zobaczyć. Wszyscy mieli zadowolone miny.

— Mnie jest potrzebny nowy płaszcz nieprzemakalny — powiedział Shaw.

— Synu — odrzekł Tay Tay, potrząsając głową i wpychając głęboko do kieszeni zwitek banknotów. — Synu, jak będzie padało, to najlepiej zrzuć ubranie i zdaj się na swoją własną skórę. Pan Bóg nie stworzył lepszego płaszcza nieprzemakalnego od ludzkiej skóry.

— A co ojciec zrobi z taką kupą pieniędzy? — zapytał z kolei Buck. — Mógłbyś ojciec trochę odpalić. Już nie wiadomo odkąd nie miałem ani centa na drobne wydatki.

— I nie będziesz miał jeszcze nie wiadomo ile czasu. Tak gadacie, chłopcy, jakbym tu chował bryłki złota do podziału. Jim Leslie pożyczył mi te pieniądze, żeby jakoś przetrzymać jesień i zimę. Musimy za to jeść i jeszcze podzielić się z mułami.

Tay Tay wyciągnął szyję, szukając Willa. Pilno mu było jechać do domu, bo już zbliżała się północ i chciał nazajutrz wcześniej wziąć się do roboty. Zamierzał rozpocząć kopanie o wschodzie słońca.

— Gdzie Will?

— A był tu przed chwilą — odpowiedziała Rozamunda, wsiadając do auta i sadowiąc się obok ojca. — Tylko go patrzeć.

— Chyba nie polazł tam znowu? — zapytał Tay Tay. — Nie ma żadnego sensu, żeby człowiek tak często się paskudził.

— Will tym razem wcale się nie spaskudził — zauważył Shaw, mrugając do Gryzeldy. — Wybrał sobie fajną blondynkę. Ale już pewnie z nią skończył, bo jakem go tu widział niedawno, to właśnie się do niej zabierał.

Rozamunda stłumiła szloch.

— Will nie robi nic złego — rzekł Tay Tay. — Jutro z samiusieńkiego rana zabierzemy się wszyscy porządnie do kopania. To mu wybije z głowy takie rzeczy.

— Zanosি się na deszcz — powiedział Shaw. — Nie będzie można zacząć wcześniej rano, jeżeli w nocy porządnie popada.

— Teraz nie może być deszczu — oświadczył stanowczo Tay Tay. — Jestem przeciwny, żeby padało w najbliższym czasie. Musimy koniecznie kopać te doły.

Ilekcroć spadł porządny deszcz, doły wypełniały się wodą, niekiedy na kilka stóp głęboką. W takich razach mogli tylko ściągać ją węzem gumowym. Wpuszczali jeden koniec długiego węża do wykopanego dołu, drugi zaś do innego, znajdującego się gdzieś niżej, i w ten sposób przetaczali wodę. Nieraz ciężko się naharowali, zanim Tay Tay odkupił używany wąż od straży ogniowej z Augusty. Przedtem musieli wynosić wodę wiadrami, a jeśli była głęboka, często tracili parę dni po każdym deszczu, nim mogli znowu wziąć się do

wykopywania ziemi. Teraz, mając wąż, mogli przetaczać kilka stóp wody w ciągu godziny albo nawet szybciej.

Tay Tay wciąż wyciągał szyję, rozglądając się po ulicy.

— O, idzie Will.

Rozamunda obróciła się w tym kierunku. Znowu zaczęła szlochać.

Will podszedł do auta krokiem zamaszystym, z kapeluszem zawadiacko przekrzywionym na głowie, i oparł się o przedni błotnik z tej strony, gdzie siedział Tay Tay. Zdjął kapelusz i zaczął się wachlować.

— Poszczęściło się? — krzyknął do teścia. — Dostałeś forse?

Mówił tak głośno, że słyhać go było o kilka domów dalej. Ludzie na najbliższym rogu przystanęli i obejrżeli się, aby zobaczyć, co się stało.

— Cicho, Will — powiedziała Gryzelda.

Była najbliżej i uważała za swój obowiązek uciszyć go, póki nie wyjadą z miasta.

— Jak się masz, ładniutka! — krzyknął do niej Will. — Skądeś się wzięła? Nie widziałem cię, kiedy tu przysterowałem.

Buck i Shaw stali nieopodal i śmieli się z Willa. Reszta niecierpliwiła się, chcąc wsadzić go do auta i odjechać, zanim się zjawi policjant.

— Jak Boga kocham, dobrze, że nie mam zwyczaju popijać — rzekł Tay Tay. — Bo jakbym raz zaczął, już bym nie wiedział, kiedy przestać. Trąbiłbym do końca, równie pewnie, jak to, że Pan Bóg stworzył zielone jabłuszka.

Mimo gwałtownych protestów Willa, Buck i Shaw wepchnęli go na tylne siedzenie. Rozamunda podniosła straponteny i ustąpiła Willowi miejsca obok ojca. Buck siadł przy niej, a Shaw i Tay Tay przytrzymali Willa między sobą.

— Jak wy się ze mną obchodzicie? — protestował Will, kopiąc teścia w golenie. — Jesteście niesprawiedliwi. Nie wiecie, że nie mogę wyjechać z miasta, póki nie wystrzelę ostatniego naboju? Patrzcie: tu jeszcze nikt nie śpi i wszyscy chodzą sobie po ulicach. Puszczajcie mnie!

Miła Jill odjechała od krawężnika i ruszyła ulicą ku szosie prowadzącej do Marion.

— Chwileczkę — powiedział Will. — Dokąd my jedziemy? Ja dzisiaj wracam do domu. Zakręcajcie i wieźcie mnie do Doliny.

— Właśnie jedziemy do domu, Willu — odrzekł Tay Tay. — Siedź spokojnie i ostygnij sobie na nocnym powietrzu.

— Kłamstwo! Jedziemy w stronę Marion. A ja dziś wieczorem muszę być w Dolinie. Muszę dopilnować, żeby włączyli prąd w przędzalni.

— Coś mu się we łbie pokręciło — rzekł Tay Tay. — Za dużo wypił gorzałki.

— On i na trzeźwo mówi o włączeniu prądu — powiedziała Rozamunda. — Teraz już nawet gada o tym przez sen.

— No, ja tam nie wiem, o co mu idzie. Nic z tego nie mogę wymiarkować. Jaki prąd? Po co on ma go włączać?

— Will mówi, że odbiorą kompanii przędzalnię, włączą prąd i sami ją będą prowadzili.

— Znow jakiś zwariowany pomysł tych robotników bawelnianych — powiedział Tay Tay. — Farmerzy nigdy tak nie gadają. Farmerzy to na ogół spokojny naród. Tak wygląda, jakby te wariaty z Doliny nie miały krzty rozumu w głowie. Ani Will, ani cała reszta. Powinien posiedzieć u nas, pogospodarować trochę i

pokopać doły. Ja jestem za tym, żeby go zatrzymać na wsi i nie puszczać do Doliny Horse Creek, bo mu tam jeszcze w łeb strzelą.

— To nie dla niego — powiedziała Rozamunda. — Znam Willa. On jest tkacz z krwi i kości. Chyba jeszcze nie było drugiego, który by tak kochał przędzalnię, jak on. Czasem Will mówi o krośnie zupełnie jak o własnym dziecku. Nie czułby się dobrze na farmie.

Will wyciągnął się na siedzeniu, stopy złożył na podpórce, głowę odrzucił w tył, na oparcie. Nie zamknął jednak oczu i wydawało się, że wszystko, co mówią, dociera do jego świadomości.

Miasto pozostało daleko w tyle. Ilekroć wjeżdżali na szczyt jakiejś piaszczystej wydmy, mogli za sobą dostrzec w dole, na równinie, żółtawą lunę płonącego światłami miasta. Wysoko nad nim oświetlone ulice Wzgórza, jakby wprawione w niebo, przypominały jakiś zamek pośród obłoków.

Wielki, siedmioosobowy wóz mknął poprzez mrok; dwa długie promienie reflektorów wyglądały jak czułki szybko lecącego owada, kiedy tak przebijał się przez stojącą przed nim ścianę ciemności. Jill jeździła tą szosą ze sto razy i знаła tu każdy zakręt. Rozgrzane opony syczały po gładkim asfalcie.

Piętnaście mil do Marion przejechali w dwadzieścia minut. Przed miastem wóz zwolnił i z asfaltowej szosy skręcili w piaszczysto-gliniastą drogę wiodącą do domu. Została już tylko mila, toteż w kilka minut później byli na miejscu. Tay Tay wstał niechętnie. Zawsze ogromnie lubił jeździć autem po nocy.

— Miałem szczęśliwy dzień, moi kochani — powiedział, wysiadając i przeciągając się. — Rany boskie! Czuję się, jakby mnie kto na sto koni wsadził!

Przeszedł przez podwórko, wyczuwając pod stopami swojski, ubity, biały piasek. Cudownie było znaleźć się znowu w domu i chodzić tak po podwórzu. Lubiał wyjeżdżać do Marion i Augusty choćby tylko po to, żeby móc wrócić, stąpać po ubitym, białym piasku i patrzeć na wielkie kopce ziemi, rozrzucone po całej farmie niczym olbrzymie mrowiska.

Will podniósł się i spojrzał na ciemne zarysy domu i stajni. Przetarł oczy i popatrzał raz jeszcze, pochylając się, aby lepiej widzieć.

— Kto mnie tu przywiózł? — zapytał. — Miałem dziś wrócić do domu.

— Dobrze już, dobrze, Willu — odpowiedziała uspokajająco Rozamunda. — Zrobiło się późno i ojciec chciał wracać i położyć się do łóżka. Jakoś się jutro dostaniemy z powrotem. Jeżeli Miła Jill nie będzie mogła nas zabrać, to pojedziemy autobusem.

Objęła go w pól i poprowadziła ku domowi. Szedł obok niej z rezygnacją.

— A ja ten prąd włączę — powiedział.

— Włączysz, włączysz, Willu.

— Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię, to go włączę.

— Oczywiście, Willu.

— Nie zatrzymają mnie. Wejdę tam i włączę prąd, jak Boga jedyne go kocham.

— A teraz chodźmy do łóżka — mówiła czule Rozamunda. — Jak się położymy, pomasuję ci głowę i pośpiewam do snu.

Potyając się w ciemnościach, weszli po schodkach do domu. Za nimi nadeszły Jill i Gryzelda i pozapalały lampy.

— Tak się zastanawiałem, co słyhać z tym Dave'em — powiedział Tay Tay. — Chodźcie, chłopcy, do stajni, to zobaczymy.

— Zmęczony jestem — rzekł Shaw. — Chcę się położyć.

— To potrwa minutę, synu. Tylko minutkę.

W milczeniu poszli do stajni. Księżyc nie świecił, ale niebo było czyste i gwiazdy błyszczały jasno. Groźne chmury zniknęły; było mało prawdopodobne, żeby deszcz padał przed ranem. Weszli do stajni i zbliżyli się do boksów.

Panowała zupełna cisza; rozlegało się tylko czyjeś chrapanie. Nawet muły stały spokojnie.

Tay Tay potarł zapałkę i zaśwyczał latarnię, która zawsze wisiała przy drzwiach. Poniósł ją do boks, gdzie sypiał Dave.

— Niech mnie nagła krew zaleje! — wykrzyknął chrapliwie stłumionym głosem.

— Co się stało, ojciec? — spytał Buck, podchodząc i zaglądając przez drabinę.

— No, czy to nie dobry kawał, synu?

Shaw i Buck spojrzeli na Dave'a i Wuja Feliksa. Obaj spali twardo. Strzelba Wuja Feliksa stała w kącie boks, a on sam, z głową przechyloną na ramię, siedział niewygodnie oparty o przegrodę i chrapał, aż się rozlegało po całej stajni. Dave spał wyciągnięty na wznak, złożywszy głowę na wiązce siana. Leżał spokojnie jak nowo narodzone dziecko; Tay Tay odwrócił się, żeby go nie zbudzić.

— Nie ruszajcie ich, chłopcy — powiedział, cofając się. — Wuj Feliks widać nie wytrzymał i zasnął. Musi być zmordowany jak pies, jeżeli tak tu siedzi i chrapie niczym orkiestra. A wcale nie przypuszczam, żeby ten Dave chciał stąd pryskać. Bo gdyby chciał, już by go dawno nie było. Coś mi się widzi, że mu u nas dobrze. Zostawcie ich. I tak nie ucieknie przed ranem.

Kiedy wracali do domu, Buck szedł obok ojca.

— Ten Dave leci na Miłą Jill. Niech ojciec nie pozwala mu zbliżać się do niej. Zwieją razem, ani się ojciec obejrzy.

Tay Tay zastanawiał się, idąc.

— Już ją raz miał — rzekł. — Wtedy, w nocy, poleźli pod ten dąb i tam ich nakryliśmy z Willem. Właśnie tak sobie myślę, że chyba nie ma co się bać, żeby uciekli. Chłop i dziewczyna uciekają tylko wtedy, jak nie mogą w domu robić tego, o co im chodzi. Więc zdaje mi się, że nie mają po co wiać. A poza tym miarkuję, że Jill chyba z nim skończyła. Bo już dostała, co chciała.

Buck poszedł nieco naprzód. Powiedział przez ramię:

— Ojciec, powinieneś na nią uważać. Bo się wykończy, jak tak dalej pójdzie.

— Wcale nie, jeżeli tylko będzie się pilnowała księżycy — odparł Tay Tay. — A mnie się widzi, że Miła Jill potrafi dać sobie radę. Na ogół wie, co robi. Czasem coś jej tam strzeli do głowy bez żadnego powodu. Ale dobrze wie, co jej może zaszkodzić, a co nie.

Buck wszedł do domu bez dalszych komentarzy. Shaw zaszedł na tylne podwórko, aby przed snem napić się wody. Tay Tay został sam w sieni.

Drzwi izb sypialnych były otwarte; wszyscy gotowali się do snu. Rozamunda rozbierała Willa; ściągała mu spodnie, trzymając je za mankiety, a on drzemał znowu, siedząc na krześle. Tay Tay przypatrywał im się dłuższą chwilę.

— Spróbuj namówić Willa, żeby tu został i popracował na farmie, Rozamundo — odezwał się, podchodząc do drzwi. — Potrzebny mi jest ktoś do doglądania bawelny. Ja i chłopaki nie mamy na to czasu, bo w kółko musimy kopać, a tych dwóch czarnuchów i tak trzeba pilnować. Wolą kopać we własnych dołach niż

orać pod uprawę.

— Nie uda mi się go namówić, tato — odparła, potrząsając głową i patrząc na Willa. — Zagnębiłby się, gdyby miał wyjechać z Doliny i zamieszkać tutaj. Nie jest stworzony do gospodarowania i takich rzeczy. Wychował się i dorósł w mieście fabrycznym. Nawet bym nie próbowała zmusić go teraz do wyjazdu.

Tay Tay odszedł zawiedziony. Widział, że na razie nie byłoby celu jej przekonywać.

Przed drzwiami izby Bucka i Gryzeldy przystanął i zajrzał do środka. Oni także gotowali się do snu. Buck siedział na krzeselku i zdejmował buty, a Gryzelda na dywanie ściągała pończochy.

Podnieśli głowy, kiedy Tay Tay przystanął na progu.

— Czego ojciec chce? — zapytał Buck z rozdrażnieniem.

— Synu — odparł — po prostu muszę napatrzeć się Gryzeldzie. Bo powiedz, czy to nie najładniejsza dziewczyna, jaką widziałeś?

Buck wepchnął buty i skarpetki pod łóżko i położył się. Obrócił się plecami do ojca i naciągnął koc na twarz.

Gryzelda pokiwała karcąco głową.

— Oj, tato — powiedziała, podnosząc na niego oczy. — Proszę cię, nie zaczynaj znowu. Przecież mi obiecałeś, że nie będziesz mówił takich rzeczy.

Tay Tay wsunął jedną nogę do izby i oparł się o framugę drzwi. Patrzył, jak Gryzelda zwija i rozwija pończochy, i zawiesza je na oparciu krzesła. Podniosła się szybko i przystanęła obok łóżka.

— Chyba mi nie poskapisz takiego drobiażdżku, prawda, Gryzeldo?

— Ach, dajże spokój.

Czekała, aż wyjdzie, żeby się rozebrać i włożyć nocną koszulę. Tay Tay stał na progu, jedną nogą w pokoju, i przypatrywał się Gryzeldzie z zachwytem. W końcu zaczęła rozpinać sukienkę, zerkając na niego co chwila. Następnie, przytrzymując ją, wysunęła kolejno ramiona z rękawów. Jedną ręką narzuciła sobie na głowę koszulę nocną. Zręcznie opuściła sukienkę na podłogę, jednocześnie osuwając koszulę na ramiona i biodra, ale Tay Tay wytrzeszczył oczy, bo kiedy jedna i druga opadała, na ułamek sekundy dostrzegł co najmniej parocalową lukę między górą sukni, a spodem koszuli. Przetarł oczy, by lepiej widzieć.

— Niech mnie szlag trafi — powiedział, odchodząc do ciemnej sieni. — Niech mnie szlag trafi!

Gryzelda zdmuchnęła lampę i wskoczyła do łóżka.

Rozdział 14

Tay Tay czuł, że jeszcze przed wieczorem wybuchnie awantura. Od samego rana, kiedy zaczęli kopać w wielkim dole przy domu, Buck odgrażał się Willowi, a ten siedział samotny i ponury na ganku, klnąc Bucka pod nosem. Kopali wszyscy, włącznie z Czarnym Samem i Wujem Feliksem; każdy pracował, z wyjątkiem Willa, który nadal nie chciał zejść do dołu i wygarniać piachu i gliny w gorącym słońcu.

Buck był wściekły, a pod wpływem wzrastającej południowej duchoty w wykopie, gdzie nie było ani odrobiny świeżego powietrza, jego złość stawała się coraz groźniejsza. Przez całe rano Tay Tay robił, co mógł, żeby go nie wypuścić z dołu.

— Zabiję tego sukinsyna — powtórzył Buck po raz czwarty z rzędu.

— Will nie będzie zaczepiał Gryzeldy — odparł Tay Tay. — Bierżże się do kopania i wybij to sobie z głowy.

Zapewnienia ojca nie wywarły na Bucku wrażenia, chociaż uspokoił się na chwilę. Tay Tay wylazł z dołu, aby nieco ochłoniąć. Wydostawszy się na wierzch, poszukał wzrokiem Willa, ażeby się upewnić, czy nie zaczepia Gryzeldy. Ale Will siedział spokojnie na frontowym ganku i wciąż przeklinał Bucka pod nosem.

Dave pracował w wykopie razem z innymi. Tay Tay doszedł do wniosku, że albinos na razie przyda się bardziej przy kopaniu. Już przecie odgadł, gdzie jest żyła, więc stary uważał, że dobrze będzie, jeśli pomoże im ją odkopać. Strzelba wróciła na wieszak w jadalni i Dave już nie był pod strażą. Tego rana Wuj Feliks zaczął śpiewać, po raz pierwszy odkąd przywieziono Dave'a z moczarów. Murzyn był rad, że zdjęto mu z głowy odpowiedzialność i że może już kopać razem z innymi.

Kiedy Tay Tay oznajmił Dave'owi, że już nie będzie pilnowany, chłopak jakby się zląkł, iż stary go wypędzi. Był zachwycony, gdy mu kazano zejść do dołu razem z Buckiem i Shawem. Miał nadzieję, że Miła Jill zjawi się i zagada do niego, ale nie przyszła. Dave zaczynał się bać, że nie będzie już chciała mieć z nim nic wspólnego. Uważał, że gdyby ją jeszcze obchodził, podeszłaby do wykopu i chociaż się uśmiechnęła.

— Willu — powiedział Tay Tay, siadając i wachlując się słomianym kapeluszem. — O co, u diabła starego, wy chcecie się ciągle tarmosić? Tak nie może być w naszej rodzinie. Wstyd mi za ciebie i za Bucka.

— Niech ojciec słucha — odparł szybko Will. — Jak ojciec mu powie, żeby trzymał gębę na kłódkę, to nikt nie usłyszy ode mnie złego słowa. Tylko dlatego mu nagadałem, że wciąż przeżywa mnie od bawelnianych łbów i mówi, że mnie ukatrupi. Niech mu ojciec powie, żeby zamknął gębę, to nie pisnę ani słówka.

Tay Tay siedział i medytował. Tajemnica ludzkiego życia bynajmniej nie była dla niego tak nieprzenikniona jak dla większości innych, i dziwił się, dlaczego wszyscy nie myślą podobnie. Najpewniej Will Thompson był równie jak on bliski rozumienia sekretów duszy i ciała, ale nie należał do ludzi, którzy zwierzają się z tego, co wiedzą. Szedł przez życie, zachowując swe myśli dla siebie, a w odpowiedniej chwili działał, ujawniając tajemnice owej mądrości jedynie własnymi czynami. Tay Tay zdawał sobie sprawę, że przyczyną wszystkich nieporozumień między Willem a Buckiem jest Gryzelda. Buck bez wątplenia był usprawiedliwiony, podejrzewając intencje Willa, natomiast Gryzeldzie z pewnością nie można by nic zarzucić, gdyż przez cały czas pobytu w domu niczym nie zachęcała Willa. Zawsze usilnie starała się trzymać go z daleka od siebie i przekonać Bucka, że on jeden jest dla niej ważny. Tay Tay wiedział, iż miała aż za wiele okazji oszukać Bucka, gdyby tylko jej przyszła ochota, ale prawda wyglądała tak, że Gryzelda właśnie wcale nie chciała go oszukiwać. Nie

mogła natomiast zapobiec temu, by mężczyźni ją podziwiali, garnęli się do niej i próbowali odebrać ją mężowi. Tay Tay zastanawiał się, co można na to poradzić.

— O jedną jedyną rzecz starałem się przez całe życie — powiedział Willowi. — O utrzymanie spokoju w rodzinie. Chyba bym się skręcił i trupem padł, gdybym zobaczył krew rozlaną na mojej ziemi. Nie przeżyłbym takiego widoku. Prędzej bym skonał, niżbym do tego dopuścił. Nie mógłbym znieść krwi na mojej ziemi.

— Nie będzie żadnej krwi, jeżeli Buck stuli pysk i przestanie mieszać się w nie swoje sprawy. Nigdy nie próbowałem go zaczepiać. Zawsze on sam zaczyna, jak dziś rano. Nawet się do niego na tyle nie zbliżam, żeby mu coś nagadać. To on podszedł, spojrzał paskudnie i zaczął mnie wyzywać od sukinsynów, bawelnianych łbów i tak dalej. Mnie to nie szkodzi. Wcale bym nie bił chłopaków za takie głupstwo. Ale on ciągle tak mi dogryza i od tego właśnie zacznie się w końcu granda. Gdyby raz powiedział, co ma do powiedzenia, i dał spokój, wszystko byłoby w porządku. Ale nie, przez cały dzień łązi koło mnie i wciąż powtarza to samo. Jeżeli ojciec nie chce widzieć krwi na swojej ziemi, to niech mu ojciec powie, żeby się zamknął.

Tay Tay nadstawił ucha. Jakies auto zwalniało, skręcając w podwórko. Pluto Swint zajechał i stanął w cieniu jednego z dębów. Wygramolił się z trudem, przyduszając oburącz wielki okrągły brzuch, ażeby się przecisnąć między drzwiczkami a kierownicą.

— Cieszę się, że cię widzę, Pluto — powiedział Tay Tay. Siedział nadal na schodkach obok Willa, czekając, by Pluto podszedł i usiadł także. — Naprawdę cieszę się, że cię widzę. Przyjechałeś właśnie w chwili, kiedy najbardziej chciałem się z tobą zobaczyć. Bo jak przyjedziesz, to działasz na wszystkich jakoś tak uspokajająco. Teraz mogę sobie tu siedzieć i mieć spokojną głowę, że nic złego nie stanie się ani mnie, ani moim.

Pluto, sadwiąc się na schodkach, sapał, dyszał i ocierał twarz z potu. Spojrzał na Willa i kiwnął głową. Will coś powiedział do niego.

— Dużo głosów dziś naliczyłeś? — zapytał Tay Tay.

— Jeszcze nie — odparł Pluto, wciąż dmuchając i sapiąc. — Dzisiaj nie mogłem zacząć wcześniej i przejechałem tylko ten kawałek drogi.

— Ale żar, co?

— Aż piecze — odrzekł Pluto. — To fakt.

Will wyjął scyzoryk, odłupał drzazgę ze schodka i zaczął ją strugać. Słyszał, że Buck coś wygaduje na niego w dole za domem, ale było mu to obojętne.

— Musimy z Rozamundą wracać dzisiaj do domu.

Tay Tay szybko spojrzał na Willa. Już miał zaprotestować, ale po chwili namysłu ugryzł się w język. Chciał mieć Willa do pomocy przy kopaniu, ale Will nie miał ochoty kopać i nie było z niego żadnego pożytku. Wobec tego Tay Tay doszedł do wniosku, że już lepiej, by wrócił z Rozamundą do Scottsville. Póki tu siedzi, Buck wciąż się odgraża, a następnego dnia Will może już nie być taki rozsądny. Tay Tay uznał w duchu, że najmądrzej i najbezpieczniej będzie puścić Willa i Rozamundę do domu.

— Mogliśmy was odwiedzić wczoraj wieczorem, jakeśmy byli w Augście — powiedział — ale po pierwsze zrobiło się bardzo późno, a poza tym wszyscy już chcieli wracać i iść spać.

— Poproszę Miłą Jill, żeby nas podwoziła do Marion, a tam już złapiemy autobus. Muszę wrócić przed nocą.

Tay Tay z ulgą pomyślał, że może jednak uniknie się awantury między Buckiem i Willem. Jeżeli niedługo odjadą, Buck nie zdąży go sprowokować.

— Powiedz Miłej Jill, żeby się przygotowała, to was odwiezie do miasta — rzekł, wstając.

— Niech ojciec siada — odparł Will. — Mamy czas. Nie pali się. Dopiero dochodzi jedenasta. Zaczekamy do południa.

Tay Tay usiadł, trochę nieswój. Została mu już tylko nadzieja, że Will i Buck nie napatoczą się przedtem na siebie.

— Co tam w polityce, Pluto? — zapytał, usiłując odwrócić myśl od tak nieprzyjemnego tematu.

— Gorąco się robi — odpowiedział Pluto. — Kandydaci już nie poprzestają na jednym przeliczeniu głosów; teraz jeżdżą i rachują na nowo, żeby się upewnić, że nie stracili żadnego głosu na korzyść kogo innego. To latanie po całej okolicy już mnie całkiem wypompowало. Nie wiem, jak wytrzymam taką gonitwę przez następne sześć tygodni.

— Słuchaj, Pluto — rzekł z przekonaniem Tay Tay. — Przecież wiesz, że wygrasz lekko. Wszyscy, z którymi gadałem od Nowego Roku, mówili, że będą głosowali na ciebie.

— Między tym, co się mówi, a tym, co się robi, kiedy przyjdzie pora, jest taka różnica, jak między niebem a ziemią. Nie mam żadnego zaufania do polityki. Siedzę w niej od dwudziestego drugiego roku życia i wiem swoje.

Tay Tay przypatrywał się gładkiemu, białemu piaskowi podwórka, wodząc oczami po paśmie drobnych, krągłych kamyczków pod okapem dachu ganku, gdzie woda wypłukała piasek do gruntu.

— Takem sobie myślał, Pluto, że może miałbyś ochotę trochę się dzisiaj przejechać.

— Dokąd?

— A zabrać swoim wozem Willa i Rozamundę do Doliny Horse Creek. Dziewczyny na pewno cieszyłyby się jak wszyscy diabli, gdyby mogły machnąć się z tobą tam i z powrotem.

— Kiedy ja muszę już wyjeżdżać, żeby liczyć głosy — bronił się Pluto. — To fakt.

— No, no, przecież sam wiesz, że byłoby ci miło zabrać swoim wozem takie ładne dziewczuchy tam i z powrotem. I tak nie będziesz liczył głosów, siedząc tu na podwórku.

— Muszę już jechać i liczyć przez cały dzień.

Tay Tay wstał i wszedł do domu, zostawiwszy Pluta i Willa na schodkach. Will skręcił papierosa i poprosił Pluta o ogień. Odgłos kilofa, uderzającego o twardą glinę na dnie wykopu po drugiej stronie domu, wznosił się i opadał w takt pieśni Wuja Feliksa. Pluto chętnie by podszedł do dołu i zajrzał, aby zobaczyć, jak głęboko go wykopano, ale powstanie z miejsca było dla niego zbyt wielkim wysiłkiem. Siedział, wsłuchując się w stuk kilofów, i usiłował z niego wymiarkować, jak głęboki jest wykop. Zastanowiwszy się chwilę, rad był, że nie poszedł zajrzeć za dom. Właściwie mało go obchodziło, czy dokopali się głęboko, a poza tym zrobiłoby mu się pewnie znacznie goręcej na sam widok Bucka i Shawa, obu Murzynów i Dave'a, pocących się w tej dusznej dziurze.

Obejrzał się i zobaczył, że za nim stoi Jill. Przebrała się w świeżą sukienkę, w rękach trzymała kapelusz z szerokim rondem. Miała taką minę, jakby chciała jechać, nie oglądając się na niego. Will posunął się trochę, a Jill usiadła między nimi, ujęła Pluta pod rękę i oparła policzek na jego ramieniu.

— Tata mówił, że zabierasz mnie i Gryzeldę do Scottsville — uśmiechnęła się. — Nic o tym nie wiedziałam.

Will ze śmiechem pochylił się i zajął w twarz Plutowi.

— Nie mogę tego zrobić — zaprotestował Pluto.

— Widzisz, Pluto, gdybyś mnie kochał troszeczkę, tobyś pojechał.

— Kochać, to ja ciebie kocham.

— W takim razie zabierzesz nas, kiedy będziesz odwoził Willa i Rozamundę.

— Muszę jechać obliczać głosy.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Pluto rozpromienił się. Nadstawił twarz, chcąc, aby to zrobiła raz jeszcze.

— Nie trać dzisiaj czasu na zbieranie głosów, Pluto.

— Kiedy ja chyba nie dam rady — powiedział. — A nie mogłabyś mnie jeszcze raz pocałować?

— Raz przed odjazdem i raz przed powrotem — odrzekła.

— W ten sposób ani rusz mnie nie wybiorą — powiedział Pluto. — To fakt.

— Jeszcze masz czas, Pluto.

Pozwoliła mu położyć rękę na jej kolanach i obserwowała go bacznie, kiedy unosił sukienkę i wsuwał palce pod podwiązkę.

— Ty jesteś wielki, dorosły dzieciak, Pluto. Zawsze chcesz coś, czego nie możesz dostać.

— A co byś powiedziała, gdybyśmy się pobrali? — spytał zaczerwieniony.

— Jeszcze nie pora.

— Dlaczego nie pora?

— Bo żeby to zrobić, musiałabym już być w którymś miesiącu.

— W takim razie to długo nie potrwa — wtrącił Will, mrugając do Pluta.

Pluto nie od razu zrozumiał, co Jill ma na myśli. Już chciał zapytać, ale zamilkł, słysząc wybuch śmiechu jej i Willa.

— Nie potrwa długo, jeżeli ten gość z moczarów posiedzi tutaj jeszcze z tydzień — wyjaśnił Will.

— Dave? — spytała Jill, krzywiąc się. — On jest nieważny. Nie zrobiłabym kuku małemu białemu chłopciowi taty.

Pluto uśmiechnął się z zadowoleniem, słysząc, że Jill tak całkowicie odrzeka się od albinosa.

— No, jeżeli już ci to przeszło — rzekł Will — powiedz chociaż, czy ja byłem ważny, czy nie?

— Prawdę powiedziawszy, trochę mi w głowie zawróciłeś — wyznała.

— No chyba. Jak wbiję gwóźdź w deskę, to już siedzi.

— Co wasze gadanie ma wspólnego z małżeństwem Miłej Jill? — zapytał Pluto.

— Ach, nic — odparła, mrugając na Willa. — Will tak sobie tylko żartował.

— Ja w każdym razie gotów jestem się żenić — oświadczył Pluto.

— A ja nie — odparła. — I to także fakt.

Will wstał, śmiejąc się z Pluta, i wszedł do domu, aby się przygotować do odjazdu. Pluto objął Jill i przytulił ją do siebie. Wiedział, że ją zawiezie do Scottsville, bo zrobiłby wszystko na świecie, o co by go poprosiła. Siedziała potulnie przy nim, a on ją ścisnął w ramionach. Lubiała go; zdawała sobie z tego sprawę. Pomyślała, że może i kocha Pluta mimo jego gnuśności i wypiętego brzucha. Jak przyjdzie czas, machnie się za niego. Na to już się zdecydowała. Nie wiedziała tylko, kiedy ten czas przyjdzie.

Siedząc przy nim, zapragnęła powiedzieć, iż żałuje, że niekiedy tak mu dokuczała i obrzucała grubymi

słowami. Jednakże, gdy już się obróciła, aby mu to powiedzieć, zabrakło jej odwagi. Poczęła się zastanawiać, czy będzie roztropnie wyznać Plutowi, że pozwalała sobie z Willem i Dave'em, i wszystkimi innymi, jednocześnie odmawiając jemu samemu. Doszła do wniosku, że nie trzeba nic mówić, bo jeśli nie powie, Pluto nie będzie się martwił. A znanadto go lubiła, aby mu sprawiać przykrość bez potrzeby.

— Może byśmy się pobrali w przyszłym tygodniu, Jill?

— Czy ja wiem, Pluto. Powiem ci, jak będę gotowa.

— Nie mogę czekać bez końca — rzekł. — To fakt.

— Ale jak będziesz wiedział, że za ciebie wyjdę, to jeszcze poczekaś troszeczkę.

— Może to byłoby i dobre — zgodził się — gdybym się nie bał, że któregoś dnia przyjdzie ktoś i zabierze cię.

— Jeżeli z kimś pójdę, to i tak wrócę na czas, żeby wyjść za ciebie.

Pluto objął Jill obiema rękami i popróbował przytulić ją tak mocno, ażeby na zawsze zachować wspomnienie jej ciała na swoim. Wreszcie oswobodziła się z jego objęć i wstała.

— Czas jechać, Pluto. Pójdę po Willa i Rozamundę. Gryzelda pewnie już jest gotowa.

Pluto podszedł do swego auta, stojącego w cieniu. Obejrzał się akurat w chwili, gdy Buck, wylazszy z wielkiego dołu za domem, natknął się na Gryzeldę wybiegającą z frontowych drzwi.

— Dokąd to? — zapytał.

— Miła Jill i ja jedziemy z Plutem do Scottsville — odpowiedziała, drżąc. — Wrócimy niedługo.

— Zakatrupię sukinsyna! — zawołał, wbiegając po schodkach.

Buck był zły i rozgorączkowany. Uwalane gliną ubranie i zlepione potem włosy nadawały mu wygląd człowieka ogarniętego nagłą desperacją.

— Proszę cię, Buck — szepnęła.

— Gdzie on jest?

Usiłowała coś powiedzieć, ale nie chciał jej słuchać. W tej chwili z domu wyszedł Tay Tay i chwycił Bucka za ramię.

— Zostaw mnie, ojciec — rzekł Buck.

— Dajże dziewczynom jechać na spacer, Buck. W tym nie ma nic złego.

— Niech ojciec puści.

— Wszystko w porządku, Buck — tłumaczył Tay Tay. — Jedzie Miła Jill i Rozamunda, a i Pluto też będzie w wozie. Niech się dziewczyny trochę przewietrzą. Nie może z tego wyniknąć nic złego.

— Zaraz zabiję tego sukinsyna! — powtórzył Buck, nie zwracając na ojca uwagi. Zapewnienia, że Gryzeldzie nic nie grozi, nie wywierały na nim żadnego wrażenia.

— Buck — zaczęła błagalnie Gryzelda. — Nie złość się, proszę cię. Nie ma powodu tak mówić.

Tay Tay sprowadził go ze schodków na podwórko i spróbował przemówić mu do rozsądku.

— Niech mnie ojciec lepiej zostawi — powtórzył Buck.

Tay Tay, trzymając syna pod rękę, zaczął przechadzać się z nim po podwórku. Po chwili Buck wyrwał się i pobiegł do wykopu za domem. Już nie był taki wściekły ani tak rozgorączkowany jak przedtem; zgodził się wrócić do roboty i puścić Gryzeldę do Scottsville. Nie mówiąc ani słowa więcej, zszedł do Shawa, Dave'a i obu czarnych.

Kiedy Jill i Rozamunda upewniły się, że Buck już jest w wykopie, puściły Willa, którego

przytrzymały w domu, i pozwoliły mu wsiąść do samochodu.

Rozdział 15

W dwie godziny później dotarli do Scottsville, położonego w górnym krańcu Doliny.

Kiedy zajechali, Will wyskoczył z auta i pobiegł ulicą, wołając przez ramię, by zaczekali na niego w domu. To działo się wczesnym popołudniem, a o szóstej jeszcze go nie było.

Pluto koniecznie chciał wracać do Georgii, a Gryzelda szalała z niepokoju. Po prostu bała się myśleć, co może jej zrobić Buck za to, że natychmiast nie wróciła do domu. Jednakże rada była zostać tu jak najdłużej, bo przyjechała do Doliny Horse Creek po raz pierwszy i atmosfera miasteczka sprawiała jej nieznaną dotychczas przyjemność. Stojące szeregami żółte domki przyfabryczne, wszystkie z zewnątrz jednakie, były w jej oczach indywidualnymi domami. Mogła zajrzeć do sąsiedniego i nieomal usłyszeć dokładnie, co mówią jego mieszkańcy. W Marion nie było nic podobnego. Domy w Marion miały pozamykane drzwi i niegościnne okna. Tu, w Scottsville, słyszało się szmer masy ludzkiej, ciągle gotowej do wypełnienia powietrza jednogłośnym okrzykiem.

Pluto i Miła Jill, czekając na powrót Willa, ukręcili całą maszynkę lodów. Kiedy już się ściemniło, a on nadal nie wracał, zjedli zamiast kolacji lody z waflami. Pluto wciąż kręcił się niespokojnie, chcąc wracać do Georgii. Czuł się nieswojo w Dolinie Horse Creek i wołał nie myśleć, że może tu zostać dłuższy czas po zmierzchu. Z jakiejś przyczyny żywił nieufność do miasteczek fabrycznych i wierzył niezłomnie, że o zmroku wyłazą tam z kryjówek różne typy, rzucają się na obcych, rabują ich, biją, a kto wie, czy nie mordują.

— Mnie się naprawdę zdaje, że Pluto boi się wyjść z domu po ciemku — powiedziała Jill.

Pluto zadrżał na samą myśl i uchwycił się mocno krzesła. Bał się istotnie i gdyby go poproszono, by przyniósł coś ze sklepu, za nic nie wyszedłby z domu. U siebie, w Marion, nie obawiał się niczego; ciemności nocne nigdy dotychczas nie budziły w nim lęku. Natomiast tu, w Dolinie, trząsł się ze strachu; nie wiedział, czy lada chwila ktoś nie wtargnie przez otwarte drzwi i nie zatłucze go na miejscu.

— Will powinien już niedługo się zjawić — powiedziała Rozamunda. — Zawsze wieczorem wraca do domu na kolację.

— Ja bym wołała już jechać — powiedziała Gryzelda. — Buck będzie wściekły.

— Oboje macie śmiertelnego pietra — roześmiała się Jill. — Przecież tu nie ma czego się bać, prawda, Rozamundo?

— Jasne, że nie — odpowiedziała również ze śmiechem Rozamunda.

Poprzez otwarte okna wpływała do wnętrza łagodna, letnia noc. Była pogodna i ciepła, ale w wieczornym powietrzu unosiło się coś, co podniecało Gryzeldę. Dobiegały do niej odgłosy, słowa, szmery, inne niż wszystko, co słyszała dotychczas. Śmiech kobiecy, niespokojne wołanie dziecka, cichy plusk wody gdzieś w dole — wszystko to wnikało do pokoju; czuła dookoła obecność żywych ludzi, takich samych jak ona — i tego właśnie nie doznała nigdy przedtem. Nowa świadomość, iż oni wszyscy i wszystkie te odgłosy są równie rzeczywiste jak ona, sprawiała, że serce biło jej szybciej. W Augustcie tego nie było: w dużym mieście słyszało się inne odgłosy, pochodzące od odmiennego gatunku ludzi. Tu, w Scottsville, ludzie byli równie prawdziwi jak ona sama w tej chwili.

Zaskoczyło ją zjawienie się Willa, który wszedł bezszelestnie, niczym jakiś zwierz o miękkich łapach. Kiedy go ujrzała, zapragnęła podbiec i zarzucić mu ręce na szyję. Był jednym z tych, których obecność

wyczuwała w nocnym powietrzu.

Stał w progu i patrzył na nich.

Twarz jego miała wyraz, który kazał Gryzeldzie stłumić krzyk cisnący jej się do krtani. Jeszcze nigdy nie widziała takiego wyrazu na niczyjej twarzy. W oczach Willa było bolesne błaganie, spojrzenie, jakie widywała u rannych zwierząt. W brzdach jego twarzy, w przechyleniu głowy na ramię kryło się coś niewiadomego, co budziło przestrasz.

Zdawało się, że usiłuje coś powiedzieć, że jakby rozsadzają go słowa, których nie może z siebie wyrzucić. Wszystko, co słyszała od Rozamundy o przędzalni, miał wypisane na twarzy dobitniej, niżby to mogły wyrazić ludzkie słowa.

Will mówił do Rozamundy. Formował wargami wyrazy na długo przedtem, zanim je usłyszała. Było to tak, jakby patrzyła przez lornetkę na mówiącego w oddali człowieka, którego wargi poruszają się, zanim dźwięk dotrze do jej uszu. Spojrzała na niego nieprzytomnie.

— Urządziliśmy zebranie — mówił do Rozamundy. — Ale nie chcieli słuchać mnie i Harry'ego. Głosowali za arbitrażem. Ty wiesz, co to znaczy.

— Tak — odpowiedziała po prostu Rozamunda.

Will obrócił się i spojrzał na Gryzeldę i pozostałych.

— Wobec tego i tak zrobimy swoje. Cholera na tę przeklętą organizację miejscową! Biorą pieniądze za to, żeby się z nami kłócić. Niech ich diabli. Włączymy prąd.

— Tak — powtórzyła Rozamunda.

— Prędzej mnie szlag trafi, niż będę siedział z założonymi rękami i patrzył, jak ludzie zdychają z głodu, bo dostają dolara dziesięć, a jeszcze muszą płacić komorne za te mieszkania. Dość nas jest, żeby się tam dostać i włączyć prąd. Potrafimy poprowadzić tę cholerną fabrykę lepiej niż kto inny. Idziemy tam jutro rano i włączamy.

— Tak, Willu — powiedziała jego żona.

W jednym z pokojów sąsiedniego żółtego domku zapaliło się światło.

— Włączamy prąd, a ja nie jestem taki, co by się tego bał. Zobaczycie. Teraz jestem silny jak sam Wszechmocny Bóg. Jutro usłyszycie, że prąd jest włączony. Wszyscy o tym usłyszą.

Usiadł w milczeniu i ukrył twarz w dłoniach. Nikt się nie odzywał. Jeżeli ktoś miał mówić, to tylko on jeden.

Wszystko dokoła spowił mrok. Przed oczami Willa przesunęły się wspomnienia całego życia. Zaciśnął mocno powieki, usiłując zapomnieć. Ale nie mógł zapomnieć. Ujrzał, zrazu niewyraźnie, przędzalnię w Dolinie. I nagle, gdy tak patrzył, wszystko się rozjaśniło jak w dzień. Odkąd mógł sięgnąć pamięcią, widział w oknach przędzalni twarze dziewcząt o szalonych oczach, podobnych do szafirowych kwiatów powoju. Od pierwszej chwili, jaką zapamiętał, spoglądały na niego rok po roku te dziewczyny o jędrnych ciałach i prężnych piersiach. A na ulicy, przed fabryką, stali mężczyźni z zakrwawionymi wargami, jego bracia i przyjaciele, i wypluwali płuca w żółty pył Karoliny. Widział ich wszędzie w Dolinie, mógł ich policzyć, zawołać po nazwisku. Znał wszystkich; znał ich zawsze. Stali na ulicach, wpatrując się w obrośnięte bluszczem przędzalnie. Niektóre pracowały dzień i noc w oślepiającym świetle błękitnych lamp, inne były zamknięte, zawarte na sztaby przed ludźmi przymierającymi głodem w żółtych domkach fabrycznych. A potem cała Dolina wypełniła się nagle tłumem. I znów dziewczęta o prężnych piersiach i oczach jak kwiaty powoju biegły do obrośniętych bluszczem

fabryk, a na ulicach dzień i noc stali i patrzyli jego przyjaciele i bracia, wypluwający płuca w żółty pył, który leżał pod ich stopami. Ktoś obrócił się, by zagadać do Willa, i z jego rozchylonych warg dobieła się krew zamiast słów.

Will potrząsnął głową, uderzył się w skronie otwartymi dłońmi i rozejrzał się po izbie. Pluto i Miła Jill, Gryzelda i Rozamunda patrzeli na niego. Przesunął wierzchem dłoni po wargach, bo wydało mu się, że ma na nich przyschniętą krew, a świeża, ciepła napływa mu do ust.

— Powiedziałem ci, żebyś czekała, aż wrócę, prawda? — zapytał, wpatrując się nieruchomo w Gryzeldę.

— Tak, Willu.

— I czekałaś, Bogu dzięki.

Kiwnęła głową.

— Jutro z samego rana włączamy prąd. To załatwione. Włączymy bez względu na to, co się stanie.

Rozamunda spojrzała na niego niespokojnie. Przez chwilę miała wrażenie, że mu się w głowie pomieszało. Było coś dziwnego w jego sposobie mówienia i głosie; nigdy jeszcze nie słyszała, by mówił w ten sposób.

— Nic ci nie jest, Willu? — spytała.

— Ach, nic — odparł.

— Postaraj się nie myśleć dzisiaj o przędzalni. Tylko się zdenerwujesz i nie będziesz mógł zasnąć.

Fabrycznymi ulicami fabrycznego miasteczka niósł się szmer ludzi i wpływał rytmicznymi falami przez okna fabrycznego domku. Był żywy, drgający, ruchomy i gadał jak żyjąca istota. Gryzelda uczuła w sercu przenikliwy ból.

— Tyś nigdy nie pracował w przędzalni, co, Pluto? — zapytał nagle Will, obracając się do niego.

— Nie — odparł Pluto niepewnie. — I już zaraz muszę wracać do domu.

— Więc nie wiesz, co to jest fabryczne miasteczko. Ale ja ci powiem. Czy zastrześliłeś kiedy królika, a potem, kiedy go podniosłeś, czułeś, że serce mu bije jak... jak... Boże, czy ja wiem jak co? No, było tak kiedy?

Pluto poruszył się niespokojnie na krześle. Spojrzał na siedzącą obok Gryzeldę i zauważył, że przenika ją konwulsyjny dreszcz.

— Nie wiem — odpowiedział.

— Boże! — szepnął chrapliwie Will.

Z drzeniem spojrzeli na niego. Jakoś każdy dokładnie zrozumiał, co Will chciał powiedzieć. Przeraziło ich to objawienie.

Nowy szmer przeniknął do fabrycznego domku i popłynął łagodnie poprzez szeregi innych żółtych domków.

— Myślicie, że się upiłem, co? — zapytał Will.

Rozamunda potrząsnęła głową. Wiedziała, że nie.

— Nie, nie jestem pijany. Nigdy nie byłem tak trzeźwy jak w tej chwili. A wy myślicie, że się upiłem, dlatego że tak mówię. Ale jestem trzeźwy, trzeźwy jak kawał drewna.

Rozamunda mówiła jakieś słowa pełne czulej łagodności i zrozumienia.

— Wy tam, w Georgii, siedzicie między tymi cholernymi dołami i kupami piachu, i wyobrażacie sobie, że ja jestem jak ten zeschnięty chojak, sterczący z ziemi. No cóż, może się taki wydaję tam, u was. Ale tu, w

Dolinie, ja jestem Will Thompson. Przyjeżdżacie tutaj, widzicie mnie w tym żółtym fabrycznym domku i myślicie, że Will to tylko kawałek fabrycznej własności. I tu też się mylicie. Jestem Will Thompson. Jestem teraz silny jak sam Wszechmocny Bóg i pokażę wam swoją siłę. Zaczekajcie do jutra rana, wyjdźcie na ulicę i stańcie przed fabryką. Podejdę do jej drzwi i potrzaskam je na kawałki. Zobaczycie, jaki jestem silny. Może po jutrzejszym dniu, jak już wrócicie do tych swoich cholernych dziur pod Marion, będziecie o mnie myśleli inaczej.

— Lepiej się teraz połóż, Willu, i prześpij się trochę. Będziesz musiał jutro wcześniej wstać.

— Przespać się? Do cholery ze spaniem! Nie będę spał ani teraz, ani przez całą noc. Kiedy słońce wstanie, będę tak samo przytomny jak w tej chwili.

Pluto miał ochotę wstać i ruszać w drogę, ale bał się odezwać, póki Will mówił. Nie wiedział, co robić. Spojrzał na Miłą Jill i Gryzeldę, ale najwyraźniej nie myślały wracać teraz do domu. Siedziały przed Willem jak urzeczone.

Gryzelda zapatrzyła się w niego, jak gdyby był jakimś bożyszczem, w które wstąpiło życie. Chętnie uklęknęły przed nim na podłodze, objęła go za kolana i błagała, by położył jej dłoń na głowie.

Kiedy zdobyła się na odwagę, by podnieść wzrok, Will patrzył na nią. Patrzył tak, jakby jej nigdy dotąd nie widział.

— Wstań, Gryzeldo — powiedział spokojnie. Wstała natychmiast, skwapliwie wykonując jego rozkaz. Czekąca, co z kolei poleci jej zrobić. — Czekałem na ciebie od dawna, Gryzeldo, i teraz przyszedł czas.

Rozamunda nie próbowała odezwać się ani podnieść z krzesła. Siedziała spokojnie, z rękami złożonymi na kolanach, i czekała, co Will dalej powie.

— Tay Tay miał rację — rzekł Will.

Wszyscy zastanowili się, o co mu idzie. Tay Tay mówił tyle rzeczy, że niepodobieństwem było odgadnąć, co Will ma na myśli.

Ale Gryzelda wiedziała. Wiedziała najdokładniej, o jakie słowa Tay Taya chodzi Willowi w tej chwili.

— Zanim coś teraz zrobisz, Willu — odezwała się Jill — pomyśl lepiej o Bucku. Wiesz, co powiedział.

— Że mnie zabije, tak? No, to czemu nie przyjdzie i nie spróbuje? Miał okazję dziś rano. Byłem tam między ich cholernymi dołkami. Dlaczego wtedy tego nie zrobił?

— Jeszcze może zrobić. Czasu starczy.

— Nie boję się go. Jeżeli kiedyś choćby palec na mnie zakrzywi, uknęczę mu łeb i cisnę w jeden cholerny dół, a jego samego w drugi.

— Willu — powiedziała Rozamunda. — Proszę cię, uważaj. Bucka nic nie powstrzyma, jak sobie raz coś ubrda. Jeżeli dotkniesz Gryzeldy, a Buck się o tym dowie, to cię zabije z całą pewnością.

Ale jego przestały już ciekawić ich obawy przed tym, co może zrobić Buck.

Gryzelda stała przed nim. Oczy miała przymknięte, wargi lekko rozchylone, oddychała szybko. Gdyby jej kazał sięść, usiadłaby natychmiast. W przeciwnym razie mogła tak stać do końca życia.

— Tay Tay miał rację — powtórzył Will, wpatrując się w nią. — Wiedział, co mówi. Opowiadał mi o tobie masę razy, a ja wtedy nie miałem tyle rozumu, żeby cię wziąć. Ale teraz to zrobię. Nie powstrzyma mnie nic na całym bożym świecie. Będę to miał, Gryzeldo. Jestem teraz silny jak sam Wszechmocny Bóg i zrobię to.

Miła Jill i Pluto poruszyli się nerwowo na krzesłach, natomiast Rozamunda siedziała spokojnie, z rękami złożonymi na kolanach.

— Obejrzę cię taką, jaką Bóg chciał cię pokazać. Za chwilę zedrę do ostatka wszystko, co masz na sobie. Zedrę i poszarpię na takie małe strzępki, że nigdy nie będziesz mogła złożyć ich do kupy. Porozrywam do ostatniej niteczki. Jestem tkaczem. Przez całe życie robiłem tkaniny wszelkiego możliwego rodzaju. A teraz porwę wszystko na takie drobne kawałki, że nikt nawet nie pozna, co to było. Będzie wyglądało jak szarpie, kiedy skończę. Tam, w fabryce, tkalem materiały bawełniane i koszulowe płótna lniane, drelichy i co tylko chcesz. A tu, w tym żółtym domu fabrycznym, podrę na tobie wszystko. Jutro znowu zaczniemy prząść i tkać, ale dziś potargam ten materiał tak, że będzie wyglądał jak szarpie z odziarniarki.

Podszedł do niej. Żyły na jego dłoniach i przedramionach nabrzmiały i pulsowały, jakby za chwilę miały pęknąć. Zbliżył się jeszcze bardziej, przystanął na odległość wyciągniętego ramienia i utkwił w niej wzrok.

Gryzelda cofnęła się nieco. Nie lękała się Willa, bo wiedziała, że nie zrobi jej nic złego. Ale odstąpiła o krok, gdyż przestraszyła się jego spojrzenia. Oczy Willa nie były okrutne ani mordercze — nie uczyniłby jej krzywdy za nic w świecie, gdyż patrzył na nią zbyt czule — ale te oczy zbliżały się coraz bardziej i bardziej.

Oburącz pochwycił wycięcie jej sukni i gwałtownie szarpnął w obie strony, szeroko rozwierając ramiona. Cienki, drukowany woal rozstał się w jego rękach jak bibułka. Zdarł z niej suknię, targając ją obłądnie na kawałki, rwąc wszystko, zaciekle, gruntownie. Patrzyła na niego, cała pulsująca podnieceniem, śledziła rozlatane, zakrzywione palce i ruchy rąk. Pochylony nad trzymaną w rękach tkaniną, rozdierał ją sztuka po sztuce jak wariat i ciskał strzępki na wszystkie strony. Gryzelda biernie patrzyła, jak odrzucił precz resztkę sukni i rozerwał białą koszulkę niby papierowy worek. Pracował coraz szybciej, drąc, targając, rwąc, ciskając wokół strzępy materiału, zdmuchując z twarzy ulatujące drobiny. Teraz miała na sobie już tylko jedwab. Szarpnął go szaleńczo, jeszcze bardziej dziki niż na początku. Kiedy to uczynił, stanęła przed nim drżąca, pełna wyczekiwania, taka właśnie, jak zapowiedział. Pot wystąpił mu na twarz i piersi. Oddychał z trudnością. Spracował się, jak jeszcze nigdy dotąd; strzępki materiału leżały na podłodze, pokrywając mu stopy.

— Teraz! — krzyknął do niej. — Teraz, psiakrew, teraz! Powiedziałem ci, że będziesz tu stała tak, jak Bóg chciał cię pokazać! Tay Tay miał rację! Przecież mówił, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką Bóg stworzył, nie? Mówił, że jesteś taka ładna, taka piekielnie ładna, że kiedy człowiek ciebie zobaczy, tak jak ja w tej chwili, to ma chęć rzucić się na czworaki i coś polizać. Nie mówił tak? Bóg świadkiem, że mówił! No i nareszcie, po całym tym czekaniu dostałem cię. I zrobię to, co zawsze chciałem zrobić, odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem. Ty wiesz, co to jest, prawda, Gryzeldo? Wiesz, czego chcę. I dasz mi to. Ale ja nie jestem podobny do wszystkich innych, co noszą spodnie. Teraz jestem silny jak sam Wszechmocny Bóg. I zrobię to, Gryzeldo. Tay Tay wiedział, co gada. Mówił, że mężczyzna musi chcieć ci to zrobić. Ma on więcej rozumu w głowie niż my wszyscy razem wzięci, chociaż ryje się w ziemi jak głupi.

Umilkł i zaczerpnął tchu, podchodząc do niej. Gryzelda cofnęła się ku drzwiom. Już teraz nie próbowała mu się wymknąć, ale musiała odstępować coraz dalej i dalej, póki jej nie chwycił i nie pociągnął w inną część domu. Rzucił się na Gryzeldę i porwał ją w ramiona.

Rozdział 16

Przez długi czas po ich zniknięciu Miła Jill siedziała, wyłamując sobie palce w szalonym podnieceniu. Bała się spojrzeć na siostrę. Przerazało ją bicie własnego serca, zdenerwowanie nieledwie zapierało jej dech w piersiach. Jeszcze nigdy nie była tak niesłychanie wzburzona.

Jednakże gdy nie patrzyła na siostrę, ogarniał ją strach przed uczuciem samotności. Obróciła się więc śmiało, spojrzała na Rozamundę i zdumiała się na widok jej opanowania. Rozamunda kołysała się lekko w krzesle, powoli zwierając i rozwierając dłonie. Na twarzy miała dziwnie piękny wyraz pogodnego spokoju.

Obok niej siedział osłupiały Pluto. Nie czuł tego, co ona. Wiedziała, że nie mógł tego czuć żaden mężczyzna. Pluto zaniemówił ze zdumienia na widok tego, co działo się między Willem a Gryzeldą, ale nie przeniknęło to do jego serca. Miła Jill i Rozamunda czuły, jak fala ich życia przewala się przez pokój, kiedy Will stał przed nimi i darł na strzępy suknię Gryzeldy. Ale Pluto był mężczyzną i nie potrafiłby nigdy ich zrozumieć. Nawet Will, który to wszystko sprawił, działał tylko pod wpływem własnego pożądanego.

Poprzez otwarte drzwi widzieli niespokojne migotanie światła ulicznej latarni, które przenikając pomiędzy liśćmi, padało na łóżko i podłogę w drugim pokoju. Tam, w tym pokoju, byli Will i Gryzelda. Nie kryli się, gdyż drzwi zostawili otwarte; nie starali się zachować tajemnicy, bo głosy ich były donośne i wyraźne.

— Pozbieram teraz te kawałki — powiedziała spokojnie Rozamunda. Uklękła i poczęła zgarniać z podłogi drobiny włókien bawełnianych, składając je starannie na stosik. — Nie potrzeba mi pomocy.

Jill patrzyła, jak Rozamunda z wolna, starannie zbiera nitki i kawałeczki podartego materiału. Klęczała pochylona, twarz jej znajdowała się w cieniu; strzępek po strzępku uprzątała to, co Will zdarł z Gryzeldy. Skończywszy, poszła do kuchni i przyniosła sporą torbę papierową. Wrzuciła do niej szczytki woalu i bielizny.

Miłej Jill wydawało się, że Will i Gryzelda przebywają w pokoju za sienią od wielu godzin. Przestali do siebie mówić i zastanawiała się, czy nie usnęli. A potem przypomniała sobie, iż Will mówił, że tej nocy nie zaśnie, wiedziała więc już, że będzie czuwał, choćby nawet Gryzelda usnęła. Czekwała, by Rozamunda wróciła z kuchni.

Rozamunda weszła i usiadła po drugiej stronie pokoju.

— Buck zabije Willa, jak się o tym dowie — powiedziała Jill.

— Tak — odparła Rozamunda. — Wiem.

— Ja mu z pewnością nie powiem, ale jakoś to do niego dotrze. Może nawet sam wyczuje albo co. Na pewno będzie wiedział, co się stało.

— Tak — powiedziała Rozamunda.

— Może już tutaj jedzie. Spodziewał się, że Gryzelda zaraz wróci.

— Nie przypuszczam, żeby się dzisiaj zjawił. Ale może przyjechać jutro.

— Will powinien gdzieś się wynieść, żeby go Buck nie znalazł.

— Nie. Will nigdzie się nie wyniesie. Zostanie tutaj. Nie da się go namówić.

— Przecież Buck go zabije, Rozamundo. Jeżeli będzie tu siedział, a Buck się dowie, to Will zginie, nie ma dwóch zdań. Jestem tego pewna.

— Tak — odpowiedziała Rozamunda. — Ja wiem.

Poszła do kuchni, aby zobaczyć, która godzina. Było około czwartej nad ranem. Wróciła i usiadła, z

wolna zwierając i rozwierając dłonie.

— Czy my już nigdy nie wrócimy do domu? — zapytał Pluto.

— Nie — odparła Jill. — Siedź cicho.

— Ale ja muszę...

— Nic nie musisz. Zamknij się.

W progu stanął Will. Nie słyszeli, jak wszedł; był boso. Miał na sobie tylko krótkie spodenki koloru khaki; obnażony do pasa, wyglądał jak odświeżony snem, gotowy iść do pracy robotnik tkacki.

Usiadł razem z nimi, trzymając dłonie przy skroniach. Robił wrażenie człowieka, który usiłuje osłonić głowę od pięści przeciwnika.

Jill uczuła, że unosi ją powrotna fala dzikiego podniecenia. Teraz nie mogła już patrzeć na Willa bez tego uczucia. Obraz Willa stojącego przed Gryzeldą, rwącego jak szaleniec jej suknie, przemawiającego jak Tay Tay, chwytającego Gryzeldę rękami, na których nabrzmiały muskuły — trwał w Jill, jak gdyby go wypalono na jej ciele żelazem rozgrzanym do białości. Hamowała się, póki mogła, ale po chwili rzuciła mu się do stóp, objęła za kolana i zaczęła okrywać je pocałunkami. Will położył dłoń na jej głowie i pogładził po włosach.

Poderwała się raptownie na klęczki, wcisnęła się między jego kolana i mocno objęła go w pól. Przywarła do Willa twarzą, ocierała się o niego ramionami i dopiero gdy odnalazła jego ręce, znieruchomiła przytulona do niego. Całowała kolejno jego palce, wpychając je sobie między wargi, do ust. Ale i to jej nie wystarczało.

On nadał gładził powoli, ciężko jej włosy. Głowę odrzucił w tył, drugą ręką zasłonił sobie twarz i czoło.

— Która to godzina? — zapytał po chwili.

Rozamunda wstała i poszła do kuchni spojrzeć na zegar.

— Dwadzieścia po czwartej — powiedziała.

Znowu zakrył twarz, usiłując osłonić oczy od światła. Umysł miał tak jasny, że mógł podążać za każdą myślą poprzez nie kończące się zwoje mózgu. Każda sięgała nie zgruntowanych głębin, lecz zaraz powracała po tym zawrotnym obiegu. Krążyła i krążyła po głowie, spływała gładko z komórki do komórki, ale przymknąwszy oczy, wiedział dokładnie, do którego miejsca czaszki mógłby każdej chwili przyłożyć palec, ażeby ją tam odnaleźć.

Myśli jego mknęły po całej Dolinie, zaciekle uderzały w drzwi żółtych domków fabrycznych, w okna obrośniętych bluszczem przedział. Zatrzymywał się chwilę w Langley, w Clearwater, w Warrenville, Bath i Graniteville, aby popatrzeć na ludzi podążających do przedziałni, bielarni czy tkalni.

Powrócił wreszcie do pokoju w żółtym domku w Scottsville i słuchał wczesnoporannego dudnienia ciężarówek i przyczep, warkotu osobowych wozów i autobusów pędzących w Dolinie po szerokim asfalcie szosy Augusta-Aiken. Kiedy słońce wzejdzie, będzie mógł znowu ujrzeć nieprzeliczone zastępy dziewcząt o błyszczących oczach i prężnych piersiach, jędrnych dziewczyn, które za oknami obrośniętych bluszczem fabryk przypominały kwiaty powoju. Ale na ulicach, w porannym cieniu, zobaczy też nieskończone szeregi mężczyzn o zakrwawionych ustach, jego przyjaciół i braci, którzy stać będą z oczami utkwionymi w fabryki, wypluwając płuca w żółty pył Karoliny.

O wschodzie słońca, w chłodnym, szarobiałym świetle poranka, podeszła do drzwi Gryzelda. Nie spała wcale. Leżała na łóżku w drugim pokoju, usiłując z zapartym tchem przedłużyć tę noc, która nieuchronnie roztapiała się w dzień. Teraz było już widno i czerwone światło słońca wznoszącego się nad dachy domów

okryło ją ciepłym blaskiem, który zarumienił jej twarz, kiedy stanęła u progu.

Rozamunda podniosła się z krzesła.

— Ugotuję teraz śniadanie, Willu — powiedziała.

Wyszły wszystkie trzy, najpierw do drugiego pokoju, aby w coś ubrać Gryzeldę.

Po chwili Will usłyszał, jak krzątają się w kuchni koło pieca i stołu. Najpierw rozszedł się zapach mielonego ziarna, potem gotującej się owsianki i przysmażonego mięsa; zbudziło się uczucie głodu i wreszcie doleciała woń kawy — początek nowego dnia.

Przez okno widział, jak ktoś w sąsiednim żółtym domku rozpala ogień pod kuchnią. Wkrótce z komina dobieł się kłęb błękitnego, drzewnego dymu. Ludzie wstawali dziś wcześnie; po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy miały ruszyć maszyny. Tam, w fabryce, nad chłodnym, szerokim, poprzecinanym tamami potokiem Horse Creek, miano włączyć prąd. Maszyny zaczną się obracać, a półnaczy mężczyźni znów staną do pracy na swoich miejscach.

Pelen niecierpliwości poszedł do kuchni. Chciał napelnić sobie żołądek ciepłą strawą, wybiec na dwór i zwoływać kolegów z żółtych domków stojących po obu stronach ulicy. Podejdą do drzwi i odkrzykną mu. Po drodze do przędzalni masa ludzka będzie rosła, wyleje się na trawniki przed fabryką i przepędzi owce, które się utuczyły przez te osiemnaście miesięcy, podczas gdy mężczyznom, kobietom i dzieciom pozapadały się oczy od owsianki i kawy. Wyrwie się ogrodzenie z drutu kolczastego, wyrzuci precz żelazne słupy i betonowe pustaki, podniesie się pierwszą sztabę.

— Siadaj, Will — powiedziała Rozamunda.

Usiadł przy stole i patrzył, jak mu szykowały nakrycia pośpiesznie, skwapliwie, z miłością. Jill przyniosła talerz, filiżankę i spodek. Gryzelda podała mu nóż, łyżkę i widelec. Rozamunda nalala wody do szklanki. Biegały do kuchni, uskakiwały sobie z drogi, wpadały i wypadały z małego pokoju pośpiesznie, skwapliwie, z miłością.

— Już szósta — rzekła Rozamunda.

Obrócił się i spojrział na zegar stojący na półce nad stołem. Dziś mają włączyć prąd. Pójdą tam, włączą, a gdyby kompania próbowała go zamknąć, to wtedy... psiakrew, Harry, prąd pozostanie włączony.

— Weź cukru — powiedziała Gryzelda.

Wsypała mu do kawy dwie łyżki. Wiedziała, ile trzeba. Nie każda kobieta wiedziałaby, ile mu wsypać cukru do filiżanki. Ma dwa najśliczniejsze sterczące cudeńka, jakie ktokolwiek widział, a kiedy człowiek raz je zobaczy, chciałby rzucić się na czworaki i coś polizać. Tay Tay ma więcej rozumu od nas wszystkich razem wziętych, chociaż tkwi w tych cholernych dołkach i chce wykopać coś, czego nigdy nie znajdzie.

— Przyniosę talerz do szynki — powiedziała Jill.

Rozamunda stała za krzesłem Willa i przypatrywała mu się, gdy krajał mięso i chciwie podnosił kaski do ust. Była to trzydziestofuntowa szynka, podarowana im przez Tay Taya.

— O której przyjdziesz? — spytała Rozamunda.

— O wpół do pierwszej.

Ludzie już szli ulicą w stronę okrytej bluszczem przędzalni, stojącej nad szerokim potokiem Horse Creek. Ci, którzy całą noc przesiedzieli przy oknach, spoglądając na gwiazdy, wyszli, zaledwie przelknawszy śniadanie, i w krótkich spodenkach koloru khaki kroczyli teraz ulicą w stronę przędzalni. Nikt z nich nie patrzył na ziemię, po której stapał. W oknach obrosłej bluszczem fabryki odbijał się blask porannego słońca, padał na

żółte domki i raził w oczy ludzi nadciągających ulicami. Idziemy tam i włączymy prąd, a gdyby kompania chciała go zamknąć, to wtedy... psiakrew, Harry, prąd pozostanie włączony.

— Mógłbyś nam znaleźć jakąś pracę w fabryce, Willu? — spytała Jill. — Dla Bucka, Shawa i dla mnie?

Potrząsnął głową.

— Nie — odpowiedział.

— Tak bym chciała, Willu, żebyśmy mogli się tu przenieść...

— To nie jest miejsce dla ciebie ani dla tamtych.

— Przecież wy tu mieszkacie z Rozamundą.

— To co innego. Ty siedz w Georgii.

Znowu potrząsnął głową.

— Chciałabym tu przyjechać — rzekła Gryzelda.

— Nie — odparł.

Rozamunda przyniosła mu trzewiki i skarpetki. Ukłękła i wsunęła mu je na nogi. Wcisnął trzewiki, a ona je zasznurowała. Potem wyprostowała się i stanęła za jego krzesłem.

— Już prawie siódma — powiedziała.

Podniósł wzrok na zegar. Wskazówka minutowa znajdowała się między dziesiątą a jedenastą.

Ludzie coraz szybciej mijali żółty fabryczny dom; wszyscy spieszyli w jednym kierunku. Były wśród nich kobiety i dzieci. Ci z organizacji miejscowej biorą forszę za to, że siedzą na tyłku i potrząsają głową, jak tylko ktoś bąknie o włączeniu prądu. Łobuzy! Związek przysyła pieniądze na opłacenie tych drani z kierownictwa organizacji, a nam oczy się zapadają od owsianki i kawy. Ludzie szybciej szli ulicą, z wzrokiem utkwionym w poczerwieniałe od słońca okna fabryki. Nikt nie patrzył na ziemię, po której stapał. Nie odrywał oczu od gorejących słońcem okien w obrosłym bluszczem murze. Przodem biegły dzieci i spoglądały w te okna.

Jakiś mężczyzna wszedł do domu i stanął na progu kuchni. Podsunął sobie wolne krzesło. Siadł obok Willa, przekrzywił głowę, rękę położył na oparciu jego krzesła. Patrzył, jak Will Thompson je owsiankę z szynką. Skądś ty dostał szynkę, Will? Rany boskie, ale smakowicie wygląda!

— Sprowadzili z Piedmontu cywilną straż fabryczną, Willu.

— Skąd wiesz, Mac?

Will przełknął nie pogryzioną szynkę.

— Widziałem, jak przyjechali. Właśnie wstałem z łóżka, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem trzy pełne wozy, jak zajeżdżały na tyły fabryki. Tych drani z Piedmontu można poznać na milę.

Will wstał i przeszedł na front domu. Mac ruszył za nim, obrzucając spojrzeniem kobiety. Usłyszały, że obaj coś do siebie mówią we frontowym pokoju, gdzie Pluto spał na krześle.

Gryzelda zaczęła zmywać naczynia. Żadna z nich nic jeszcze nie jadła, ale zmywając statki, napiły się trochę kawy. Śpieszyły się; nie było czasu do stracenia. Musiały się śpieszyć.

— Powinniśmy już wracać do domu, ale ja bym woląla zostać — rzekła Gryzelda.

— Zostaniemy — odparła Jill.

— Buck może tu przyjechać.

— Przyjedzie — powiedziała Rozamunda. — Nie możemy mu przeszkodzić.

— Tak mi przykro... — zaczęła Gryzelda. Wiedziały bez pytania, co ma na myśli.

— Wolalabym, żeby ci nie było przykro. Nie trzeba tego mówić. Lepiej, żebyś niczego nie żałowała.

— Już dobrze, Gryzeldo — powiedziała Jill. — Znam Rozamundę lepiej od ciebie. Już dobrze.

— Jeżeli Buck się dowie, zabije Willa — rzekła Rozamunda. — Mnie tylko dlatego jest przykro. Nie wiem, co bym zrobiła bez Willa. Ale wiem, że Buck go zabije. Tego jestem pewna. Nic go nie powstrzyma, jak się dowie.

— Ale przecież coś można zrobić, prawda? — spytała Gryzelda. — Nie mogę do tego dopuścić. To byłoby straszne.

— Ja nie wiem, co można by zrobić. A boję się też, że Pluto wszystko wygada po powrocie.

— Będę go pilnowała — przyrzekła Jill.

— Nie można przewidzieć, co się stanie. Jeżeli Buck go zapyta, wyczyta wszystko z jego twarzy. Pluto nie potrafi nic ukryć.

— Porozmawiam z nim przed odjazdem, to będzie się pilnował.

Przeszły do frontowego pokoju. Pluto wciąż spał, a Willa i Maca już nie było. Pośpiesznie zaczęły się szykować do wyjścia.

— Ach, dajcie mu spać — powiedziała Jill.

Gryzelda włożyła sukienkę Rozamundy. Na nogach miała własne pantofle. Było jej do twarzy w tej sukni. Przyjrzały jej się z uznaniem.

— Dokąd Will poszedł? — spytała Jill.

— Do przędzalni.

— To trzeba się śpieszyć. Zaraz włączą prąd.

— Już prawie ósma. Pewnie nie będą dłużej czekali. Nie możemy już dłużej czekać.

Jedna za drugą wypadły z domu. Pobiegły ulicą ku obrośniętemu bluszczem budynkowi, usiłując trzymać się razem w tłumie. Oczy wszystkich utkwione były w okna, na których czerwono błyszczało słońce.

— Buck go zabije — powiedziała bez tchu Gryzelda.

— Wiem — odparła Rozamunda. — Nie da się go powstrzymać.

— W takim razie będzie musiał i mnie zastrzelić! — krzyknęła Jill. — Jak wymierzy strzelbę w Willa, ja pierwsza wejdę pod lufę. Wolę zginąć razem z Willem, niż żyć po tym, jak Buck go zabije. Będzie musiał strzelić i do mnie.

— Patrzcie! — krzyknęła Rozamunda, wskazując palcem.

Przystanąły, wyciągając szyje nad tłum. Wokoło ogrodzenia fabryki gromadzili się mężczyźni. Przepędzono precz trzy tłuste owce, które od osiemnastu miesięcy tuczyły się na trawnikach. Parkan wydzwignięto w górę razem z żelaznymi słupami, betonowymi pustakami, drutem kolczastym i stalowym zbrojeniem.

— Gdzie Will? — zawołała Gryzelda. — Pokażcie mi, gdzie Will!

Rozdział 17

— O, idą tam! — rzuciła Rozamunda, chwytając za ręce siostrę i Gryzeldę. — Will jest teraz przy drzwiach!

Wokoło nich płakały histerycznie kobiety. Wszystko wskazywało na to, że po osiemnastu miesiącach czekania znów będzie praca w fabryce. Kobiety i dzieci parły naprzód, silniejsze od płynących w dole, spiętrzonych wód potoku, cisnęły się za mężczyznami do drzwi przędzalni. Starsze dzieci powdrapywały się na drzewa i uczepiwszy się gałęzi, zawisły nad tłumem, krzycząc do ojców i braci.

— Nie wierzę własnym oczom — powiedziała stojąca obok kobieta. Przestała płakać i mogła już mówić.

Wszędzie dokoła krzyczały z radości kobiety i dziewczęta. Strach je zdjął, gdy mężczyźni po raz pierwszy oświadczyli, że opanują przędzalnię i włączą prąd, ale teraz, kiedy cisnęły się do fabryki, uwierzyły, że stanie się to naprawdę. Tu, na podwórzu przędzalni, zebrały się dziewczęta o szalonych oczach i prężnych piersiach; za oknami fabryki będą wyglądały jak kwiaty powoju.

— Otworzyli! — ktoś krzyknął.

Fala stłoczonych ciał runęła nagle przed siebie; Rozamundę, Jill i Gryzeldę popchnęła naprzód ludzka masa.

— Teraz będziemy mieli coś lepszego niż świńską karkowinę i mąkę z Czerwonego Krzyża — powiedziała stłumionym głosem jakaś kobiecina, zaciskając pięści. — Głodowaliśmy, ale to już się skończyło. Chłopcy znowu będą pracować.

Tłum mężczyzn wlewał się przez otwarte wejście. Torowali sobie drogę w milczeniu, łomotali pięściami w wąskie drzwi, rozpierali je ramionami, żli, że nie są na tyle szerokie, by mogli szybciej dostać się do wnętrza. Okna parteru rozwarło na oścież. Cizba kobiet i dzieci mogła śledzić drogę przebywaną przez mężczyzn, obserwując otwierające się kolejno okna przędzalni. Zanim podmykano wszystkie na parterze, rozchyliło się nagle kilka okien na pierwszym piętrze.

— Już tam są — powiedziała Rozamunda. — Ciekawe, gdzie teraz jest Will.

Ktoś mówił, że kompania wynajęła dodatkowo piętnastu strażników i osadziła ich w fabryce. Nowi przyjechali dziś rano z Piedmontu.

Cała przędzalnia była już opanowana. Rozwierały się okna drugiego i trzeciego piętra. Na wszystkich piętrach podbiegali do nich mężczyźni, ściągali koszule i ciskali je na dół. Kiedy ludzie w Dolinie wracali do pracy po dłuższej przerwie, ściągali koszule i wyrzucali je przez okna. Trawnik, na którym od osiemnastu miesięcy pasły się trzy tłuste owce należące do kompanii, zasłany był koszulami. Ludzie z dwóch wyższych pięter zrzucali je także; stos koszul na ziemi piętrzył się do kolan.

— Cicho! — poleciało szeptem po tłumie kobiet, dziewczyn i wrzeszczących dzieciaków na drzewach. Nadeszła chwila włączenia prądu. Każdy chciał usłyszeć, jak odezwą się jednostajnym szumem maszyny w pokrytym bluszczem budynku.

— Ciekawa jestem, gdzie Will — powiedziała Rozamunda.

— Jeszcze go nie widziałam w oknie — odparła Gryzelda. — Wypatruję go wszędzie.

Miła Jill wspięła się na palce, usiłując coś dojrzeć ponad głowami. Pochwyciła kurczowo Rozamundę,

wskazując okno w górze.

— Patrz! Jest Will! Widzisz go tam, w oknie?

— Co robi?

— Drze na strzępy koszulę! — krzyknęła Rozamunda.

Wspięły się na palce, chcąc dojrzeć Willa, zanim odejdzie od okna.

— To Will! — zawołała Gryzelda.

— Will! — krzyknęła Jill, usiłując tchnąć wszystkie swe siły w płuca, ażeby mógł ją dosłyszeć wskroś wrzawy. — Will! Will!

Przez chwilę wydawało się, że ją usłyszał. Przystanął i wychylił się daleko przez okno, próbując coś dojrzeć w zwartej masie na dole. Szarpnął koszulę po raz ostatni, zwinął ją i cisnął w tłum. Stojące najbliżej kobiety rzuciły się naprzód, wrywając sobie szczątki materiału. Te, które zdołały coś pochwycić, chowały szybko kawałki, aby ich nie zabrały inne, pragnące też zdobyć jakiś strzępek.

Rozamunda, Miła Jill i Gryzelda nie mogły przedostać się bliżej, ażeby walczyć o resztki koszuli Willa. Musiały stać na miejscu i patrzeć, jak inne kobiety i dziewczyny wrywały je sobie, póki nie zostało już nic.

— Chcemy usłyszeć maszyny, Willu Thompsonie! — krzyknęła jakaś podniecona kobieta.

— Włącz prąd, Will! — wołała inna.

Obrócił się i zniknął im z oczu. Na dole masa ludzka zamarła w bezruchu jak pusta przedziałnia przed ich przybyciem. Czekali na pierwszy odgłos warkotu maszyn.

Rozamundzie łomotało szaleńczo serce. To Willa prosił tłum o włączenie prądu. To jego uznał przez aklamację za swego przywódcę. Chętnie by wspięła się gdzieś wysoko nad ciżbę wrzeszczących kobiet i krzyczała, że Will Thompson jest jej mężem. Zapragnęła, by wszyscy dowiedzieli się, że Will Thompson to jest jej Will.

Przez rozchylone okna widzieli mężczyzn stojących przy maszynach, czekających, by koła zaczęły się obracać. Ich głosy wzbijały się okrzykami, które przenikały przez okna, a obnażone barki lśniły w promieniach wschodzącego słońca niby szeregi fabrycznych domków o wczesnym poranku.

— Włączyli! — krzyknął ktoś. — Włączyli prąd!

— Will włączył prąd! — wołała Gryzelda, tańcząc z radości. Była znów bliska płaczu. — To Will zrobił! Will! Will włączył prąd!

Wszystkie trzy były zbyt podniecone, aby móc mówić przytomnie. Podskakiwały na palcach, każda usiłowała dojrzeć coś ponad głowę drugiej.

Do okien podbiegli mężczyźni, potrząsając pięściami w powietrzu. Niektórzy śmieli się, inni klęli, jeszcze inni stali jak otumanieni. Kiedy tryby maszyn poczęły się obracać, zawrócili i stanęli w zwykłych pozycjach przy krosnach.

Nagle we wschodnim krańcu fabryki rozległo się kilka cichych detonacji. Przypominało to pękające petardy. Nieomal gubiło się w stukocie maszyn, ale przecie było dość głośne, by dać się słyszeć wyraźnie.

Wszyscy obrócili głowy ku wschodniemu krańcowi przedziałni. Tam mieścił się punkt rozdzielczy.

— Co to? — spytała Gryzelda, chwytając Rozamundę za ramię.

Rozamunda pobladła jak upiór. Twarz jej ściągnęła się i zbieła, a białe wargi były suche jak bawełna.

Inne kobiety zaczęły w podnieceniu mówić coś między sobą. Szeptaly spieszenie, bezdźwięcznie, stłumionymi głosami.

— Rozamundo, co to było? — krzyknęła Gryzelda nieprzytomnie. — Odpowiadaj!

— Nie wiem — szepnęła tamta.

Jill, stojąc obok siostry, drżała na całym ciele. W sercu i skroniach czuła spazmatyczną pulsację tętna. Oparła się ciężko na ramieniu Gryzeldy.

Któryś z mężczyzn na środkowym piętrze podbiegł do okna i potrząsnął w powietrzu zaciśniętą pięścią. Widać było świeżą krew ściekającą mu z kącików ust na nagie piersi. Podniósł wysoko obie pięści, a jego krzyk wzbijał się pod niebo.

Wkrótce inni rzucili się we wzburzeniu do okien i patrząc w tłum żon i sióstr, klęli i ryczeli, wyrażając pięściami.

— Co się stało? — krzyknęła w ścisku jakaś kobieta. — Co się stało, Boże kochany?

Okna wypełniły się klnącymi, obnażonymi do pasa mężczyznami, którzy patrzyli w dół, w twarze kobiet i dziewczyn.

Nagle zamilkł huk maszyn w przędzalni. Obróciły się po raz ostatni i stanęły, a łoskot ich zamarł. Znikąd nie dochodził żaden odgłos — nawet z tłumu zebranego na dole. Kobiety spojrzały bezradnie po sobie.

W podwójnych drzwiach wejściowych ukazał się najpierw jeden mężczyzna, a jego naga pierś zaśniła w słońcu. Wyszedł powoli; ręce zwisały mu, zbyt słabe, ażeby nadal zaciskać się w pięści. Za nim wyszedł następny, potem jeszcze dwóch, potem dalsi. Drzwi wypełniły się stąpającymi powoli ludźmi; skręcali ze schodów, a promienie słońca oblewały jakby rozcieńczoną krwią ich blade barki.

— Co się stało? — krzyknęła jakaś kobieta. — Mówcie, co się stało! Co to znaczy?

Rozamunda, Jill i Gryzelda były za daleko, aby usłyszeć, co słabym głosem odpowiadali mężczyźni. Stały wspięte na palce, trzymając się nawzajem kurczowo, czekając na Willa, aby opowiedział im, co zaszło.

Stojąca obok kobieta krzyknęła przeraźliwie, aż dreszcz przeszedł Gryzeldę. Krzyk ten był tak bolesny, że Gryzelda jęknęła.

Zaczęły przeciskać się ku mężczyznom wychodzącym z budynku. Gryzelda uczepliła się Rozamundy, a Jill Gryzeldy. Rozpychając szaleńczo tłum, posuwały się krok za krokiem naprzód, ku mężczyznom, którzy powoli wychodzili z budynku.

— Gdzie Will? — krzyknęła Gryzelda.

Któryś z mężczyzn obrócił się i spojrzał na nie. Przybliżył się, chcąc coś powiedzieć.

— Pani jest żoną Willa Thompsona, prawda?

— Gdzie Will? — krzyknęła Rozamunda, przyskakując do półnagiego mężczyzny.

— Strzelili do niego.

— Kto?

— Will! Will! Will!

— Ci strażnicy z Piedmontu.

— Boże!

— Ciężko ranny?

— Nie żyje.

To było wszystko. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Stojące za nimi kobiety i dziewczęta umilkły, jakby zapadły w sen. Poczęły cisnąć się naprzód, podtrzymując wdowę po Thompsonie i jego szwagierkę.

Mężczyźni wychodzili jeden za drugim i z wolna podążali po wzniesieniu ku szeregom żółtych domków fabrycznych, a na ich nagich barkach muskuły zwisały pod skórą niby przecięte ścięgna. Jeden miał krew na wargach. Splunął w żółty pył pod nogami. Inny zakaszał i krew pociekła mu z kącików mocno zaciśniętych ust. Splunął w żółty pył Karoliny.

Kobiety zaczynały odpływać, biegly do mężczyzn, szły obok nich po wzniesieniu ku długim szeregom żółtych fabrycznych domków. Łzy były w oczach pięknych dziewczyn idących z kochankami ku domom. Były to owe dziewczęta z Doliny, co miały prężne piersi i oczy jak kwiaty powoju, kiedy stawały w oknach okrytej bluszczem przędzalni.

Gdy Gryzelda i Jill obejrzały się, chcąc objąć Rozamundę, nie znalazły jej przy sobie. Pobieгла ku drzwiom przędzalni. Upadła przy murze budynku, czepiając się rękami bluszczu, który wyrastał tak pięknie.

Poskoczyły ku niej.

— Will! — krzyczała obłędnie Rozamunda. — Will! Will!

Objęły ją i przytrzymały mocno.

Kilku mężczyzn wyszło i przystanęło pod drzwiami. Potem ukazało się paru innych; stąpali z wolna, niosąc ciało Willa Thompsona. Próbowali powstrzymać jego żonę, Jill i Gryzeldę, ale wszystkie trzy rzuciły się naprzód, aby popatrzeć na Willa.

— Zabili go! — jęknęła Rozamunda.

Nie uświadamiała sobie, że Will nie żyje, póki nie zobaczyła jego bezwładnego ciała. Ale i nadal nie mogła uwierzyć, że Will nie wróci do życia. Nie mogła uwierzyć, że nigdy już nie będzie żywy.

Ci, którzy szli na przedzie, ujęli pod ręce Rozamundę, Jill i Gryzeldę, i poprowadzili je po wzniesieniu ku długim szeregom żółtych domków fabrycznych. Byli półnaczy, barki mieli krzepkie, a ręce ich obejmowały żonę i szwagierki Willa Thompsona.

Dotarwszy do domu, pozostali na ulicy przy zwłokach, czekając, aż znajdzie się miejsce, gdzie można je będzie złożyć. Trzy kobiety wprowadzono do domu. Inne, które mieszkały w żółtych domkach fabrycznych na tej ulicy, przybiegły z pomocą.

— Co my teraz zrobimy? — powiedział jakiś mężczyzna. — Już nie ma Willa Thompsona.

Drugi popatrzał na obrośnięty bluszczem gmach fabryki.

— Bali się go — rzekł. — Wiedzieli, że to chłop z ikrą i że potrafi im się postawić. Chyba nie będzie sensu bić się z nimi bez Willa. Teraz spróbują puścić maszyny i zmusić nas, żebyśmy brali po dolarze dziesięć. Gdyby Will Thompson żył, nie poszlibyśmy na to, Will Thompson by im pokazał.

Wnieśli ciało na ganek i złożyli je w cieniu daszku. Will leżał na wznak półnagi; nie było widać trzech oblepionych zakrzepłą krwią otworów na jego plecach.

— Odwróćmy go — powiedział ktoś. — Każdy powinien wiedzieć, że te sukinsyny strzeliły Willowi w plecy.

— Jutro go pochowamy. Chyba całe Scottsville przyjdzie na pogrzeb. Wszyscy prócz tych tam drani.

— Co ta jego żona teraz zrobi? Została sama jak palec.

— Zajmiemy się nią, jeżeli tylko nam pozwoli. Przecież to wdowa po Willu Thompsonie.

Ulicą nadjechała karetka sanitarna; krzepcy, półnaczy mężczyźni znieśli ciało z ganku na ulicę. Trzy czekające w domu kobiety podeszły do drzwi i stanęły jedna przy drugiej, patrząc, jak półnaczy mężczyźni znoszą Willa z ganku i wsuwają go do karetki. Teraz był Willem Thompsonem. Należał do tych półnagich

mężczyzn o zakrwawionych wargach. Należał do Doliny Horse Creek. Już nie był ich. Był Willem Thompsonem.

Stały w progu i patrzyły za karetką odjeżdżającą z wolna do zakładu pogrzebowego. Przygotują tam ciało do pogrzebu, a następnego dnia pochowają je na cmentarzu, na wzgórzu nad Doliną Horse Creek. Ludzie o zakrwawionych wargach, którzy poniosą go do grobu, wrócą kiedyś do fabryki, ażeby zgrzebić, prząść, tkąć i farbować. Will Thompson już nigdy nie będzie wdychał w płuca kłaczek bawełny.

Wewnątrz domu któryś z mężczyzn usiłował wytłumaczyć Plutowi, jak zginął Will. Pluto był przerażony jeszcze bardziej niż przedtem. Dotychczas bał się w Scottsville tylko ciemności, ale teraz zląkł się i dnia. W Dolinie ludzie ginęli w biały dzień. Marzył o tym, żeby namówić Jill i Gryzeldę do natychmiastowego powrotu. Wiedział, że nie zmrużyłby oka, gdyby miał zostać na jeszcze jedną noc w tym żółtym fabrycznym domku. Półnagi mężczyzna siedział w pokoju z Plutem i opowiadał mu, co się stało w przędzalni, ale Pluto go nie słuchał. Zaczął się bać nawet jego samego; oblatywał go strach, że siedzący przy nim człowiek raptem wyciągnie nóż i poderżnie mu gardło od ucha do ucha. Wiedział teraz, że miasto fabryczne to nie miejsce dla niego. Powinien jak najprędzej wracać na wieś, do Marion. Obiecał sobie, że jeśli tym razem uda mu się wrócić cało, nie wyjedzie stamtąd więcej.

Późnym wieczorem kilka kobiet z żółtych fabrycznych domków przyszło przygotować im pierwsze tego dnia jedzenie. Rano tylko jeden Will zjadł śniadanie. Pluto umierał z głodu, gdyż ominęły go dwa posiłki. Nigdy w życiu nie był tak głodny. U siebie w Marion ani razu nie zdarzyło mu się chodzić o pustym żołądku z braku pożywienia. Przez otwarte drzwi czuł zapach gotowanej kolacji i parzonej kawy i nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał, podszedł do drzwi i właśnie w tej chwili jedna z kobiet zawołała go do kuchni. W sieni znowu się zląkł i byłby zawrócił, gdyby kobieta nie wzięła go pod rękę i nie poprowadziła z sobą.

Kiedy już znalazł się w kuchni, weszła Jill i usiadła obok niego. Zaraz poczuł się o wiele pewniej. Była dla niego niejako opiekunką w tych obcych stronach. Zjadła niewiele, a potem pozostała przy nim.

Nieco później Pluto odważył się zapytać Jill, kiedy wrócić do Georgii.

— Jutro po pogrzebie — odpowiedziała.

— A nie moglibyśmy zaraz?

— Jasne, że nie.

— Przecież mogą pochować Willa bez nas — zaryzykował. — Dadzą sobie radę doskonale. Chciałbym zaraz jechać do domu, Jill. Nie czuję się bezpiecznie w Scottsville.

— Cicho, Pluto. Nie bądźże takim dzieciakiem.

Usłyszawszy to, zamilkł. Miła Jill ujęła go za rękę i poprowadziła do ciemnego pokoju za sienią. Czuł się zupełnie tak, jak przed wielu laty, kiedy był jeszcze mały i szedł trzymając matkę za rękę, wśród ciemnej nocy.

Za oknami była Dolina pełna dziwnych szmerów i nieznanych głosów. Ucieszył się, że latarnia uliczna błyszcząca między liśćmi i trochę oświetla pokój. Było jakoś bezpieczniej z tą odrobiną światła i nie bał się już tak bardzo jak na początku wieczora. Gdyby teraz ktoś podszedł do okna i wślizgnął się do wnętrza, aby poderżnąć mu gardło od ucha do ucha, mógłby go zobaczyć, zanimby uczył ostrze noża na szyi.

Jill poprowadziła go do łóżka i kazała mu się położyć. Nie chciał puścić jej ręki, ale kiedy zobaczył, że Jill też chce położyć się obok, przestał się lękać. Dolina i obce miasto fabryczne były wciąż blisko, ale miał Miłą Jill przy sobie, trzymał jej dłoń w swojej i mógł już przymknąć oczy bez lęku.

Zanim oboje zasnęli, uczył jej ramiona na szyi. Obrócił się do Jill i przygarnął ją mocno. Nie było już czego się bać.

Rozdział 18

Kiedy późnym popołudniem dojechali do domu, Tay Tay oczekiwał ich na frontowym ganku. Poznawszy auto Pluta, podniósł się z krzesła i wyszedł im na spotkanie, nim jeszcze samochód stanął.

— Gdzieście się, u diabła starego, podziewali przez te dwa dni? — zapytał surowo. — My tu z chłopakami mało nie pozdychaliśmy z braku babskiego gotowania. Coś tam jedliśmy, owszem, ale człowiekowi samo żarcie nie wystarczy. Tęskno nam za dobrym babskim gotowaniem. Zły na was jestem jak wszyscy diabli.

Pluto już zabierał się do wyjaśniania, dlaczego nie wrócili wcześniej, ale Jill kazała mu siedzieć cicho.

— Gdzie Will? — spytał Tay Tay. — Przywieźliście tego nicponia Willa z powrotem? Bo go nie widzę w samochodzie.

— Cicho, tato — powiedziała Gryzelda i rozplakała się.

— Dużo widziałem głupich kobit, ale jeszcze żadna tak nie mówiła. Dlaczego nie mogę zapytać o Willa? Ledwo o to spytałem, wy zaraz w bek. Niech mnie szlag trafi, jeżeli kiedy widziałem coś podobnego.

— Nie ma Willa — rzekła Gryzelda.

— Za co mnie bierzesz, u diabła starego? Chyba widzę, że go nie ma.

— Willa zastrzelili wczoraj rano.

— Czym? Grochem?

— Zastrzelili z pistoletu, tato — powiedziała Jill. — Pochowaliśmy go dziś po południu w Dolinie. Już nie żyje i leży pod ziemią.

Tay Tay na chwilę stracił mowę. Oparł się o samochód i począł kolejno zaglądać im w twarze. Kiedy spojrzął w twarz Rozamundy, pojął, że to prawda.

— Jak to... że niby Will Thompson... — bąknął. — Chyba nie nasz Will? Powiedźcie, że nie!

— Tak jest, tato. Will już nie żyje i leży przysypany ziemią w Dolinie Horse Creek.

— To znaczy, że była granda w fabryce. Albo o babę.

Rozamunda wysiadła i pobiegła do domu. Pozostali także wysiedli powoli i patrzyli niepewnie na rysujące się w półmroku budynki. Pluto nie wiedział, czy zostać, czy zaraz jechać do siebie.

Tay Tay posłał Jill do domu, aby nie tracąc czasu, ugotowała kolację.

— A ty zostań i opowiedz mi, co się stało z Willem — rozkazał Gryzeldzie. — Niemożliwe, żeby nasz Will zginął i żeby ja nie wiedział, jak to było. Bo Will należał do rodziny.

Zostawili Pluta siedzącego na stopniu auta i poszli przez podwórze ku frontowym schodkom. Tay Tay usiadł i czekał, by Gryzelda opowiedziała mu o Willu. Ciągle jeszcze popłakiwała trochę.

— Czy jego zastrzelili za to, że włamał się do fabryki, Gryzeldo?

— Tak. Wszyscy mężczyźni ze Scottsville poszli do fabryki i próbowali ją uruchomić. I właśnie Will włączył prąd.

— A więc to o tym gadał, kiedy w kółko powtarzał, że włączy prąd. Ja tam nigdy dokładnie nie rozumiałem, o co mu chodziło. I to nasz Will włączył!

— Wtedy właśnie zastrzelili go ci ze straży fabrycznej z Piedmontu.

Tay Tay milczał przez kilka minut. Patrzył w szary zmierzch, starając się przeniknąć go wzrokiem aż do granicy swojego gruntu. Widział każdy kopiec wydobytej ziemi, każdy głęboki, okrągły dół, jaki wykopali, a

daleko za nimi — wykarczowany teren pod lasem, gdzie było poletko Pana Boga. Z jakiejś przyczyny zapragnął przenieść je bliżej domu, aby móc stale być przy nim. Uczuł się winnym czegoś — świętokradztwa czy zbezczeszczenia — w każdym razie pojął, że nie postąpił uczciwie wobec Boga. Teraz zapragnął przenieść poletko Pana Boga na dawne, prawowite miejsce koło domu, gdzie mógłby stale mieć je przed oczami. Niewiele było na świecie rzeczy, dla których chciał żyć, a kiedy inni umierali, mógł znaleźć pociechę tylko w miłości do Boga. Przeniósł więc poletko Pana Boga z krańców farmy i umieścił je pod sobą. Ślubował w duchu, że już do jego śmierci pozostanie ono na tym miejscu.

Tay Tay nie znajdował pochwalnych słów dla Willa Thompsona. Will nigdy nie chciał pomagać przy kopaniu. Śmiał się z nich, kiedy Tay Tay prosił go o pomoc. Mówił, że to głupota szukać złota tam, gdzie go nie ma. Tay Tay wiedział, że w tej ziemi jest złoto, i trochę go brała złość na Willa, kiedy ten kpił z jego wysiłków. Will zawsze miał większą ochotę wracać do Doliny Horse Creek niż pomagać staremu.

— Czasami chciałem, żeby Will tu posiedział i pomógł nam, a znowu kiedy indziej cieszyłem się, że tego nie robi. Wariat był z niego na punkcie tych fabryk, i nie nadawał się do gospodarowania. Możliwe jednak, że Pan Bóg stworzył dwa rodzaje ludzi. Chociaż przedtem nigdy o tym nie pomyślałem, przecie teraz tak mi coś wygląda, że Pan Bóg jednych stworzył do pracy na roli, a drugich do roboty przy maszynach. Pewnie głupstwo robiłem, że chciałem namówić Willa Thompsona do zajęcia się ziemią. On tylko w kółko gadał o przedzeniu i tkaniu, o tym, jakie ładne są w Dolinie dziewczyny i jacy głodni mężczyźni. Nie zawsze mogłem wszystko wyrozumieć, ale czasami coś mi w środku mówiło, że to jest prawda. Siadał tu i opowiadał mi, jacy silni byli za młodu mężczyźni z Doliny, a jak potem słabli, kiedy dorastali, wdychając w płuca pył bawełniany, i jak w końcu konali z krwią na ustach. I o tym, jakie ładne były dziewczyny w młodości, a jak brzydyły, kiedy się starzały i umierały na pelagrę. Ale ziemi jakoś nie lubił. On był z tych z Doliny Horse Creek.

Gryzelda wsunęła dłoń w jego rękę. Przytrzymał ją nieporadnie, nie wiedząc, dlaczego chce, aby jej dotknął.

— Tata nie we wszystkim różnił się od Willa — powiedziała cicho.

— Że niby jak? Przecież zdaje mi się, że dopiero co mówiłem, jacy byliśmy różni. Will to był człowiek fabryki, a ja jestem człowiek wsi.

— Tata i Will byliście jedynymi mężczyznami, którzy mnie traktowali tak, jak lubię.

— No, no, Gryzeldo. Jesteś teraz cała podhecowana tym, żeś widziała, jak Willa zastrzelili w Dolinie. Nie przejmuj się zanadto. Na tym świecie każdy wcześniej czy później umiera, a Will umarł wcześniej. Ot i cała różnica.

— Wy z Willem byliście prawdziwymi mężczyznami.

— A cóż to znaczy, u diabła starego? Nic a nic z tego nie rozumiem.

Gryzelda pohamowała płacz, chcąc mu odpowiedzieć. Wcisnęła mocniej ręce w jego dłonie i położyła mu głowę na ramieniu.

— Pamiętasz, co czasem o mnie mówiłeś... kiedy próbowałam ci przeszkodzić, a ty nie chciałeś przestać?... O to mi właśnie idzie.

— A bo ja wiem? Zresztą może i wiem.

— Jasne, że wiesz... no, o tym, co mężczyzna chciałby zrobić, jak mnie widzi.

— To już pewnie wiem. Chyba wiem, o co ci idzie.

— Tata i Will byliście jedynymi, którzy mi coś takiego mówili. Wszyscy inni byli zanadto... czy ja

wiem, jak to powiedzieć... nie byli na tyle mężczyznami, żeby tak czuć — ot, po prostu byli tacy jak wszyscy. Ale wy z Willem byliście inni.

— Widzi mi się, że wiem, o co ci idzie.

— Kobieta nie może kochać mężczyzny, jeżeli nie jest taki. Bo w tym tkwi coś, co wszystko zmienia... to nie chodzi tylko o to, że któraś lubi, jak ją całują i takie tam... Większość mężczyzn myśli, że to już wszystko. A Will... Will mówił, że tego chce — tak samo jak tata. I nie bał się nic. Inni albo się boją mówić takie rzeczy, albo też nie są na tyle mężczyznami, żeby chcieć to zrobić. A Will... Will zerwał ze mnie wszystko, podarł na strzępy i powiedział, że to robi. I zrobił, tato. Przedtem nie wiedziałam, że sama tego chcę, ale potem już byłam pewna. Jak kobiecie raz ktoś da coś podobnego, już potem nigdy nie jest ta sama. Jakoś ją to otwiera, czy co. Nie potrafiłabym nigdy naprawdę kochać innego mężczyzny, jeżeliby mi tego nie zrobił. Myślę, że gdyby Willa nie zabili, pewnie bym tam została. Po tym nie mogłabym odejść już od niego. Byłabym jak ten pies, co kocha swego pana i idzie za nim, choćby pan był dla niego najgorszy. Zostałabym przy Willu do końca życia. Bo jak mężczyzna zrobi coś takiego kobiecie, to ona zaczyna go kochać tak mocno, że nic na świecie nie może tego zdusić. Człowiek musi mieć w sobie Boga, żeby to zrobić. To jest coś w każdym razie. I ja to teraz mam.

Tay Tay pogładził ją po ręce. Nie wiedział, co powiedzieć, bo oto siedziała przy nim kobieta, która podobnie jak on poznała sekret życia. Po chwili odetchnął głęboko i uniósł jej głowę ze swego ramienia.

— Jakoś postaraj się dojść do ładu z Buckiem, Gryzeldo. Może i on zrobi się taki, jak będzie starszy. Bo przecie jest młodszy od Willa i nie miał czasu nauczyć się tego, co powinien. Pomóż mu, jak potrafisz. To jest mój chłopak i chcę, żeby cię zatrzymał przy sobie. Na dziesięć tysięcy dziewczyn nie ma drugiej takiej jak ty. Gdybyś go rzuciła, nie znalazłby już takiej pięknej żony.

— On się niczego nie nauczył, tato. Buck nie jest podobny do ciebie i Willa. Takim się trzeba urodzić.

Tay Tay wstał.

— Szkoda, że ludzie nie mają tego rozumu, z którym rodzą się psy.

Gryzelda położyła mu rękę na ramieniu i wstała. Przez chwilę trzymała go się, aby zachować równowagę.

— Z ludźmi jest ta bieda, iż próbują sobie wmówić, że są inni, niż ich Bóg stworzył. Idziesz do kościoła i pastor powiada ci różne rzeczy, a ty w głębi serca wiesz, że tak nie jest. Ale większość ludzi jest w środku taka martwa, że w to wierzy i chce, żeby wszyscy inni żyli w ten sposób. I ludzie powinni żyć tak, jak chciał Bóg. Kiedy człowiek siądzie na osobności i poczuje, co ma w sobie, to wtedy wie, jak naprawdę powinien żyć. Tu idzie o uczucie. Niektórzy powiadają, że trzeba kierować się głową, ale to nieprawda. Głowa daje człowiekowi rozum, żeby wiedział, jak postępować, kiedy przyjdzie dobić targu albo robić takie tam rzeczy, ale czuć za niego nie może. Ludzie muszą czuć nawzajem do siebie to, co Bóg chciał, żeby czuli. Właśnie ci, co pozwalają, żeby nimi kierowała głowa, robią z życia taki galimatias. Głowa nie może kazać nam kochać kogoś, jeżeli nie mamy ochoty. Na to trzeba mieć w sobie takie uczucie, jakieście oboje mieli z Willem.

Zbliżył się do krawędzi ganku i popatrzał w gwiazdy. Gryzelda, stojąc przy nim, czekała, aż pójdzie dalej.

— No, chodźmy zobaczyć, co tam słychać z kolacją — powiedział.

Przeszli przez ciemną sień, wdychając woń świeżo zmielonej kawy. Bliżej kuchni poczuli zapach szynki smażącej się na blasze.

Gdy weszli do jasno oświetlonej kuchni, gdzie zgromadziła się reszta rodziny, Buck spojrzął na

Gryzeldę zza uchylonych drzwi, przy których siedział na krześle. Na to, by go zobaczyć, musiała się obrócić. Patrzył na nią spode łba.

— Pewnie byś tam siedziała do tej pory, gdyby go nie zastrzelili, co?

Już miała na czubku języka słowa, które chciała wykrzyknąć do niego, że tak, że by została, ale przygryzła wargi i zmusiła się do milczenia.

— Porządnieście się nagzili, co?

— Proszę cię, Buck — szepnęła.

— O co prosisz? Wolisz, żebym o tym nie gadał, prawda?

— Nie mamy o czym rozmawiać. A zresztą powinieneś mieć jakiś wzgląd na Rozamundę.

Buck spojrział na Rozamundę. Stała tyłem do niego i obracała szynkę na ruszcie.

— A mnie co brakuje? Dlaczegoś musiała latać za tym? Nie wystarczam ci, tak?

— Proszę cię, Buck, nie teraz.

— A jakieś już chciała ganiać z rozstawionymi nogami, to dlaczego, psiakrew, nie znalazłaś sobie kogoś lepszego? Ten sukinsyn to był bawełniany łeb. Bawełniany łeb z Doliny!

— Nie ma na świecie takiego miejsca, gdzie by byli sami prawdziwi mężczyźni — odezwała się Jill. — Można ich znaleźć tak samo w Dolinie, jak na Wzgórzu w Auguście, czy na farmach dokoła Marion.

Buck obejrzał się i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

— Gadasz tak, jakby i ciebie dziabnął. Co tam się, do cholery, wyrabiało?

Tay Tay uznał, że czas interweniować, nim sprawy posuną się za daleko. Położył dłoń na ramieniu Bucka, chcąc go uspokoić. Buck odtrącił rękę ojca i przeniósł się z krzesłem na drugi koniec kuchni.

— Słuchaj no, synu — rzekł Tay Tay. — Tylko się nie gorączkuj o byle co.

— Cholera z takim gadaniem! — wrzasnął Buck. — Nie wtrącaj się, ojciec, i przestań jej tu bronić.

Dziewczęta zaczęły wnosić do sąsiedniej izby nakrycia do kolacji i rozstawiać je na szerokim stole. Przeszli tam wszyscy i zasiedli do jedzenia. Buck bynajmniej nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Po prostu przeniósł rozgrywkę z jednego pokoju do drugiego.

— Idź po Pluta, Jill — rzekł Tay Tay. — Będzie tak siedział na podwórku przez całą noc i nic do ust nie weźmie, jeżeli ktoś się nim nie zajmie.

Gryzelda siedziała ze spuszczoną głową, unikając ich wzroku. Miała nadzieję, że Buck nic więcej nie powie, dopóki Rozamunda jest w izbie. Bolesna była dla niej myśl, że mógłby mówić o Willu w obecności Rozamundy, i to w taki krótki czas po pogrzebie.

Wszedł Pluto z Jill i zajął swoje zwykłe miejsce u stołu. Wyczuwał ogólne napięcie i starał się nie odzywać, póki do niego nie zagadają. Bał się, żeby go Buck nie spytał, co zaszło w Scottsville.

Przez kilka minut trwało milczenie, z czego skorzystał Tay Tay, żeby zmienić temat.

— Wczoraj był tutaj jeden gość i przyglądał się, jak kopiemy. Chciał mi wmówić, że żyła to niewłaściwa nazwa. Powiedział, że wydobywał złoto w północnej Georgii i że tam żyła nazywa się pasmem złota w skale. Mówił, że to, co robimy, jest szukaniem złoza. A ja mu powiedziałem, że jeśli tylko znajdziemy złoto, guzik mnie będzie obchodziło, jak to się nazwie.

— Miał rację — rzekł Shaw. — W szkole nauczyciele mówili, że szukanie złóż jest wtedy, jak się wydobywa złoto z ziemi albo ze żwiru. A wybieranie żyły jest wtedy, jak się skałę rozsadza, kruszy i wydobywa złoto na gorąco.

— No, może on sobie mieć rację i ty też, synu — odparł Tay Tay, potrząsając głową — ale mnie tam leży na sercu tylko to, żeby dostać złoto. Wtedy będę wiedział, że mój okręt dopłynął do przystani, a guzik mnie obchodzi, jak to nazwiesz. Możesz powiedzieć, że to jest wybieranie żyły czy złoza — jak chcesz — bylebym dostał złoto, bo wtedy będę już na mur wiedział, że mój okręt dopłynął.

— Tamten mówił, że bryłki złota mogły się tutaj dostać tylko w ten sposób, że bardzo dawno temu przyniosła je powódź, a potem pokrył muł.

— On tyle wie o kopaniu złota na mojej ziemi, co ten osioł. Robię to od blisko piętnastu lat i chyba kto jak kto, ale ja powinienem się na tym znać. Niech sobie gada swoje, ale ty nie zwracaj na niego uwagi, synu. Jak będziesz słuchał za wielu naraz, to ci się we łbie zrobi taki mętlik, że już nie poznasz, gdzie góra, a gdzie dół.

Buck pochylił się nad stołem i rzekł do Gryzeldy:

— Gdybym cię teraz chciał dotknąć, pewnie byś powiedziała: "Oj, nie rób tego, Buck. Jeszcze mnie tam wszystko boli." — Utkwił w niej wzrok. — No co? Nie umiesz gadać? Co ci się stało?

— Umiem mówić, Buck — odrzekła błagalnie. — Proszę cię, daj teraz spokój.

Pluto niespokojnie zerknął na Miłą Jill. Z lękiem myślał o chwili, kiedy Buck go zapyta, co stało się w Scottsville.

— No, już nie żyje — mówił Buck — i nic mu nie mogę zrobić. Ale gdyby żył, zrobiłbym coś takiego, żebyś popamiętała. Wziąłbym tę strzelbę, co tam wisi, i dopiero bym mu pokazał. Cholerna szkoda, że człowieka można zabić tylko raz. Ja bym go chętnie zabijał ciągle — póki bym mógł kupować naboje, żeby do niego strzelać.

Rozamunda krzyknęła. Odłożyła widelec i nóż i wybiegła z pokoju.

— No i patrz, coś narobił! — zawołała Jill. — Wstydzilbyś się.

— Zdaje się, że tobie i jej już nie wstyd niczego — odparł, wskazując widelcem Gryzeldę. — Gdybym był twoim mężem, skułbym ci porządnie głowę. Rozpuściłaś się jak pęknięty popręg na łysej kobyle.

— No, no, synu — odezwał się Tay Tay. — To jest twoja siostra.

— I co z tego? Puszczaj się, może nie? Skułbym jej głowę, gdyby była moją żoną.

— Jeżeli nie jesteś na tyle mężczyzną, żeby utrzymać przy sobie własną żonę, to wstydzilbyś się tak gadać — powiedziała Jill. — Powinien byś teraz schować się w mysią dziurę.

— I tak to ciągniemy bez końca — rzekł ze znużeniem Tay Tay. — I coraz dalej i dalej jesteśmy od szczęśliwego życia. Powinniśmy sięść i zastanowić się trochę, jak trzeba żyć. Pan Bóg nie po to nas tu posadził, żebyśmy wciąż skakali sobie do oczu. Jeżeli nie będziemy mieli jedno dla drugiego odrobinę więcej miłości, to któregoś dnia przyjdzie na mnie wielkie zmartwienie. Przez całe życie starałem się utrzymać spokój pod własnym dachem. Powiedziałem sobie, że tak ma być do końca mojego życia, i ani mi w głowie od tego odstąpić. Dajcie spokój z tymi kłótniami i pośmiejcie się trochę, a zaraz poczuję się o wiele lepiej. To najlepsze lekarstwo na wszystkie burdy i awantury.

— Ojciec gada jak kto głupi — powiedział Buck z niesmakiem.

— Może tobie się tak wydaje, Buck. Ale jak się ma Boga w sercu, to człowiek czuje, że dzień i noc warto żyć. Ja wiele nie mówię o tym Bogu, o którym słyszysz w kościołach, ale o tym, którego ma się w sobie. Kocham Go ogromnie, bo mi pomaga żyć. Dlatego właśnie zrobiłem na farmie poletko Pana Boga, kiedy tu zacząłem pracować za młodu. Bo lubię mieć takie miejsce, na którym mógłbym stanąć i czuć, że tam jest Bóg.

— Pan Bóg jeszcze nie dostał ani centa z tego poletka — zaśmiał się Shaw.

— Wy, chłopcy, nic a nic nie rozumiecie. Wcale nie o to idzie, żebym wyciągnął pieniądze z poletka Pana Boga i dał pastorowi na kościół; ważny jest fakt, że Mu je poświęciłem. Wam tylko w głowie te rzeczy, które możecie zobaczyć i dotknąć, a to nie jest życie. Najważniejsze w życiu jest to, co się w sobie czuje. Owszem, to prawda, że jak powiadasz, Pan Bóg nie dostał ani centa z tego kawałka ziemi, ale liczy się fakt, że Mu go przeznaczyłem. Bo to jest znak, że mam Boga w sercu. On wie, że ja się tu nie bogacę, ale też wcale go nie obchodzi, ile kto zarabia. Cieszy Go fakt, że przeznaczyłem Mu kawałek ziemi na dowód, że mam Go w sobie.

— To dlaczego ojciec częściej nie chodzi do kościoła? — zapytał Shaw. — Jeżeli ojciec tak wierzy w Boga, to trzeba częściej chodzić.

— To nie jest uczciwe pytanie, synu. Wiesz doskonale, jaki jestem zmachany w niedzielę po całym tygodniu kopania w dołach. A Bóg i tak nie ma mi za złe, że nie chodzę do kościoła, bo wie, dlaczego nie mogę przyjść. Przez całe życie gadałem z Nim o takich rzeczach i On dobrze się w tym wszystkim wyznaje.

— Co to ma wspólnego z nią? — zapytał Buck, wskazując widelcem Gryzeldę. — Mówiłem o niej, a ojciec raptem wyskakuje z czymś innym.

— Ano nic, synu. Nie ma to z nią nic a nic wspólnego. Ona już o tym wie. Mówiłem dla twojej korzyści, żebyś mógł nauczyć się czegoś więcej o życiu. Na twoim miejscu ukląkłbym po ciemku dziś wieczorem przed położeniem się do łóżka i pogadał sobie z Panem Bogiem. On może ci powiedzieć takie rzeczy, jak nikt inny, a kto wie, czy ci nie wskaże, jak masz postępować z Gryzeldą. Zrobi to na pewno, jeżeli tylko poświęcisz trochę czasu i starania, żeby Go wysłuchać, bo ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej Go cieszy, jak mężczyzna i kobieta przepadają za sobą. Wtedy wie, że wszystko idzie jak po maśle.

Rozdział 19

Tego wieczora Tay Tay przesiedział do późna, usiłując dogadać się z Buckiem. Czuł, iż ma obowiązek przekonać własne dzieci, że życie jest sprawą głębszą, niż sądzą z zewnętrznych pozorów. Dziewczyny najwyraźniej uświadamiały to sobie w przeciwieństwie do chłopaków. Tay Tay wiedział, że później będzie dość czasu na rozmowę z Shawem, poświęcił więc całą uwagę Buckowi przez wzgląd na Gryzeldę. Buck był rozdrażniony wyjaśnieniami ojca, i zachowywał się tak, jakby ich nie chciał zrozumieć.

— Wy, chłopcy, jakoś tego nie chwyacie — powiedział Tay Tay, opuszczając ręce. — Wam się zdaje, że jak macie trochę pieniędzy do wydania, nowy płaszcz nieprzemakalny albo jakiś inny fatalach, i brzuch napchany mięchem, to już nie ma się o co martwić. Bardzo bym chciał wam to wytłumaczyć. Ale takie tłumaczenie to trudna sprawa, bo nie bardzo umiem dobierać słowa, a choćbym nawet umiał, niewiele by to pomogło, bo takie rzeczy trzeba czuć. Jak mówił jeden gość: Jedno z dwojga, albo coś jest, albo czegoś nie ma. Otóż mnie się widzi, że w was tego nie ma. Kiedyś idź sam jeden na spacer i pomyśl sobie trochę, a może ci to przyjdzie. Nie wiem, co by ci jeszcze poradzić.

— A ja w ogóle nie wiem, co, u cholery, ojciec gada — przerwał Buck. — Ale jeżeli ojcu idzie o to coś, co ma Gryzelda, to ja tego nie chcę. Pojechała do Doliny i wróciła cała napstrykana tym czymś. A jakby mnie ojciec spytał, powiedziałbym, że to jest z Willa Thompsona. Tego bawełnianego łba!

— Will Thompson był prawdziwym mężczyzną — odezwała się Jill.

— Prawdziwym mężczyzną, tak? I tyś też dostała swoje, co? Najlepszy dowód, żeś tu przyjechała raptem gotowa wyjść za Pluta Swinta. Teraz byś była w kropce, jakby się nie chciał z tobą ożenić.

— Tak czy owak, Will był prawdziwym mężczyzną.

— Co to jest, do cholery, prawdziwy mężczyzna? Will nie był ani wyższy, ani silniejszy ode mnie. Mógłbym dla zabawy rzucać nim o ziemię co dzień przed śniadaniem.

— Był inny nie przez to, jak wyglądał, a przez to, co miał w sobie. Potrafił coś czuć, a ty nie.

Buck wstał i przez chwilę patrzył od progu na dziewczęta.

— Za co wy mnie bierzecie? Za frajera? Myślicie, że nie widzę, jak tu razem z Gryzeldą kombinujecie sobie wymówkę? Nie jestem aż taki tępak. Nie nabierzecie mnie na to gadanie.

Wybiegł z domu, nikt nie wiedział dokąd. Tay Tay czekał jeszcze czas jakiś, sądząc, że wróci za kilka minut i ochłonawszy na nocnym powietrzu, będzie go słuchał rozsądniej, ale o północy Bucka jeszcze nie było. Tay Tay wstał, chcąc położyć się do łóżka.

— Buck się zmieni, jak będzie starszy, Gryzeldo. Bądź z nim cierpliwa, póki jeszcze trochę nie pożyje. Niektórym trzeba prawie całego życia, żeby nauczyć się pewnych rzeczy.

— Boję się, że on nigdy się nie nauczy — odrzekła. — A w każdym razie dopiero wtedy, jak już będzie za późno.

Tay Tay poklepał ją po ramieniu.

— Wy, dziewczęta, jesteście całe podminowane tym, że Willa zabili. Idźcie teraz do łóżka i wyśpijcie się dobrze. Jutro rano wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej.

— Ale on nie żyje — powiedziała Jill. — Przecież nie mogę o tym zapomnieć.

— Może to i lepiej w tej chwili, że nie żyje. Nie mogłybyście zostać we trzy w Scottsville. Rozamunda

była jego żoną, a ty z Gryzeldą narobiłybyście galimatiasu, na który prawo nie pozwala.

Kiedy już wszyscy w domu posnęli, Tay Tay długo jeszcze leżał i rozmyślał. Buck nie wrócił; Gryzelda samotnie płakała w izbie po drugiej stronie sieni. Blisko godzinę Tay Tay przeleżał na boku, słuchając, jak miota się bezsennie na łóżku. W końcu uspokoiła się jednak i Tay Tay odgadł, że zasnęła. Zastanawiał się, dokąd mógł pójść Buck. Nie warto było wstawać i szukać go po nocy, więc próbował usunąć Bucka ze swoich myśli.

O jakiejś porze usłyszał, że Jill wychodzi na tylny ganek napić się wody. Słyszał, jak stąpa w miękkich pantoflach przez sień, mijając jego drzwi. Na ganku pozostała ledwie minutę i zaraz weszła z powrotem do domu. Tay Tay, usłyszawszy, że wraca, obrócił się na drugi bok i zajrzał przez drzwi do ciemnej sieni. Widział niewyraźnie jasną plamę nocnej koszuli Jill; kiedy przechodziła pod drzwiami, mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jej czubkami palców. Już chciał zapytać, czy nie jest chora, ale rozmyślił się. Przecież wiedział, iż nic jej nie dolega prócz tego, co sprawiało, że Rozamunda i Gryzelda także nie mogły sobie miejsca znaleźć. Nie odezwał się więc i pozwolił jej wrócić do łóżka. Wszystkie trzy poczują się znacznie lepiej po kilku godzinach snu. Jak zjedzą śniadanie, postara się z nimi pogadać.

O brzasku Bucka nadal nie było. Tay Tay leżał chwilę, obserwując pierwszy poblask na suficie, a potem obrócił głowę i patrzył, jak szarzejący świt przemienia się w dzień. Kiedy usłyszał na podwórku przyciszone głosy Czarnego Sama i Wuja Feliksa, wyskoczył z łóżka i ubrał się pośpiesznie. Wyjrawszy przez okno, zobaczył obu czarnych siedzących na krawędzi dołu; nogi zwiesili do wykopu i czekali na rozpoczęcie pracy.

Wyszedł na podwórze.

— Widziałeś gdzie Bucka? — zapytał Wuj Feliksa.

Tamten potrząsnął głową.

— Chyba pan Buck jeszcze nie wstał tak wcześnie? — zapytał Czarny Sam.

— Gdzieś polazł na całą noc. Pewnie się niedługo zjawi.

— Jakieś kłopoty w rodzinie, proszę pana? — zapytał ostrożnie Wuj Feliks.

— Kłopoty? — powtórzył Tay Tay. — Kto mówił, że mam w rodzinie kłopoty?

— Jak biali ludzie nie zostają na noc w domu, to prawie zawsze znaczy, że są jakieś kłopoty.

Tay Tay przysiadł o kilka kroków dalej, spoglądając w wielki dół po prawej ręce. Czuł, że nie warto okłamywać Murzynów. Zawsze wiedzieli, co się święci.

— Może i były kłopoty — rzekł. — Ale teraz chyba jest po wszystkim. Jednego zabili i od dziś nie spodziewam się niczego wielkiego. Mam nadzieję, że już jest po wszystkim.

— A kogo zabili? — spytał Czarny Sam. — Nie słyszałem, żeby kogoś zabili, panie Tay Tay. To dla mnie nowina.

— A Willa Thompsona, w Dolinie Horse Creek. Przedwczoraj ktoś go zastrzelił. Dziewczyny bardzo są tym przejęte i mocno się nabiedziłem, żeby je uspokoić.

— Pewnie, że pan Tay Tay musiał się mocno nabiedzić. Bo to trudno jest uspokoić kobiety, jak taki męski chłop odejdzie.

Tay Tay obrócił się szybko i spojrział na Czarnego Sama.

— O czym ty gadasz, u diabła starego?

— O niczym, proszę pana Tay Tay. O niczym a niczym.

— Idź do roboty — rzucił Tay Tay. — Słońce już weszło od pół godziny. Nic nie zrobimy, jeżeli

będziemy czekali z kopaniem, aż słońce podejdzie wyżej. Tak sobie właśnie myślałem, że jedyny sposób, aby znaleźć tę żyłę, to kopać, kopać i kopać.

Obaj Murzyni zleźli do dołu. Czarny Sam podśpiewywał z cicha, a Wuj Feliks czekał, aż Tay Tay odejdzie, żeby pogadać z Samem o kłopotach w rodzinie. Po chwili wyrzwał przez krawędź wykopu, w miejscu, gdzie stał Tay Tay. Starego już nie było.

— Ten Buck i tak byłby go niedługo ukatrupił — powiedział Wuj Feliks. — Zabiłby go pierwszy, gdyby nie to, że tak się wolno kapuje. Już dawno, dawno temu widziałem w oczach jego żony to spojrzenie, jak tylko Will Thompson zaczął tu przyjeżdżać do Georgii. Już wtedy szykowała się dla niego. Pewnie sama o tym nie wiedziała, ale ja to czułem na miłę. A ta druga też tylko czekała na to samo. Po prostu musiały dopuścić do siebie pana Willa. Nie było sposobu, żeby im przeszkodzić.

— O kim ty mówisz?

— Ano ta druga, ta Miła Jill.

— Oj, Murzynie, Murzynie, to dla niej nie nowość. Ta biała dziewczyna zawsze była taka. Ja już przestałem zwracać na nią uwagę. Ile widzi mi się, że ona była do tego gotowa grubo wcześniej niż zwykle, a to dlatego, że pan Will już z natury tak działał na nie wszystkie. Ale tej Gryzeldy, to trzeba się pilnować. Bo jak chłop na nią popatrzy, zaczyna go wszędzie świerzbić, że aż nie wie, gdzie się najpierw drapać.

— O, Boże mój, Boże!

— Nie miałem szczęścia od urodzenia. Chciałbym być białym człowiekiem. Bo ona ma to, o czym mówię.

— Boże, mój Boże!

— Któregoś dnia przechodziłem pod jej oknem i zajrzałem do środka.

— No i coś zobaczył, Murzynie? Księżyc wschodzący?

— To, com zobaczył, było takie, że zachciało mi się paść na czworaki i coś polizać.

— Boże, Boże!

— Nie mam szczęścia od urodzenia.

— Wielka prawda!

— Kłopoty w rodzinie.

— Boże, Boże!

— Jeden już zabity.

— A w rodzinie kłopoty.

— Już nie mają swojego chłopca.

— I już nie może ich dziabnąć.

— Boże, Boże!

— Kłopoty w rodzinie.

— Moja mama była czarna...

— I mój tata też...

— Biała dziewczyna jak rzepa...

— Boże, i rób co chcesz...

— Boże, Boże!

— Niedługo to trwało.

— Ktoś zabił ich samca.

— I już nie może ich dziabać.

— A w rodzinie kłopoty.

— Boże, Boże!

Tay Tay krzyknął na nich z góry. Poczeli wygarniać glinę, nie podnosząc oczu. Tay Tay opuścił się do wykopu, a z nim razem obsunęła się pecyna piachu i gliny.

— Buck wrócił i proszę, żebyście mu ani słówkiem nie pisnęli o tym, że go przez całą noc nie było. I tak już mam dosyć kłopotów na głowie, Wuju Feliksie, więcej mi nie potrzeba. Zostawcie go w spokoju i nie pytajcie, gdzie chodził. Tyle się na mnie zważyło, że więcej już nie wytrzymam.

Kiwnęli głowami, czując jego wzrok na sobie.

— Ktoś zastrzelił tamtego ich chłopca — rzekł głośno Czarny Sam.

Tay Tay obrócił się szybko.

— Coś ty powiedział?

— Tak jest, proszę pana Tay Tay. Tak jest. Nic a nic mu nie powiemy.

Tay Tay zaczął gramolić się na górę.

— I już nie może ich dziabać.

Tay Tay zatrzymał się w miejscu. Nagle zeskoczył do wykopu, okręcając się w powietrzu.

— Co wy, smoluchy, gadacie, u diabła starego?

— Tak jest, proszę pana Tay Tay. Tak jest. My nic nie powiemy panu Buckowi. Nie powiemy nic a nic.

Tay Tay znów zaczął wdrapywać się na górę.

— Kłopoty w rodzinie — powiedział głośno Czarny Sam.

Tay Tay przystanął po raz trzeci, ale już się nie obracał. Czekał w miejscu i nasłuchiwał.

— Tak jest, proszę pana, tak jest. My nic nie powiemy panu Buckowi. Nic a nic.

— Będzie tutaj za chwilę i chcę, żebyście go zostawili w spokoju. Jeżeli usłyszę, że pytacie, dlaczego go nie było przez całą noc, przyjdę z drągiem i łby wam z karków postrącam.

— Tak jest, panie — odpowiedział Czarny Sam. — Tak jest proszę pana Tay Tay. My nic nie powiemy panu Buckowi.

Tay Tay wylazł z dołu. Czarni milczeli. Pewien był, że posłuchają jego rozkazu. Sprytni z nich byli Murzyni.

Na górze Tay Tay spotkał Bucka idącego do roboty. Objął go za ramię. Nie powiedzieli do siebie ani słowa, a po chwili Buck odwrócił się i zsunął do wykopu, gdzie czekali obaj czarni. Tay Tay przez kilka minut stał nad krawędzią i patrzył, jak wyrzucają glinę łopatami. Potem poszedł na frontowe podwórko.

Drogą od szosy Marion-Augusta nadjeżdżało duże auto, wzbijając tumany kurzu. Zrazu Tay Tay myślał, że to Pluto, ale wóz jechał dwa razy szybciej, niżby się Pluto odważył, a oprócz tego był większy, lśniący czarny z chromoniklowymi częściami, które błyszczały w słońcu niczym nowe półdolarówki.

— Któż to może być? — zapytał siebie Tay Tay i przystanąwszy pod dębem, patrzył na zbliżający się wóz.

Nim się obejrzał, samochód już był na podwórku. Kierowca zwolnił, owiany tumanem żółtego pyłu, i stanął tak raptownie, że kurz przeleciał przed auto.

Tay Tay podbiegł kilka kroków ku wielkiemu czarnemu samochodowi, który właśnie wtoczył się na

podwórko, rozkołysany na giętkich resorach i huczący długim silnikiem.

Z rozdziawionymi ustami Tay Tay patrzył, jak z wozu wysiada i podchodzi do niego Jim Leslie. Nie mieściło mu się w głowie, że go tu widzi. Jim Leslie zjawił się u niego po raz pierwszy od lat blisko piętnastu.

— No, jak pragnę zdrowia! — wykrzyknął Tay Tay, podbiegając do syna i chwytając go za rękę.

— Cieszę się, że cię widzę, tato — rzekł Jim Leslie. — Gdzie Gryzelda?

— Kto?

— Gryzelda.

— Chyba nie po to przyjechałeś, synu, żeby o nią pytać?

— Gdzie ona jest?

— Pewnie coś ci się pokręciło, Jim. A bo to nie przyjechałeś, żeby zobaczyć się z całą rodziną?

Jim Leslie ruszył ku domowi. Tay Tay dopędził go, pochwycił za rękę i czym prędzej zatrzymał.

— Minutkę, synu. Weź no na wstrzymanie. Co ty masz za interes do żony Bucka?

— Nie mam czasu z tobą mówić. Bardzo mi się śpieszy. Puść mnie.

— Posłuchaj, synu — poprosił Tay Tay. — Mamy teraz zmartwienie w domu.

— Z jakiego powodu? Co się stało?

— Przedwczoraj zabili w Scottsville Willa Thompsona. Dziewczyny są zdenerwowane i smutne. Nie chcę, żebyś tu narobił jakiegoś galimatiasu. Chodź do wykopu i pogawędź ze mną i z chłopakami. Jeżeli ci się znudzi tu siedzieć, zakręcaj i wracaj do Augusty. W przyszłym tygodniu, jak dziewczyny trochę się uspokoją, przyjedziemy do ciebie z wizytą.

— Gryzelda nie ma nic do tego. Co ją obchodzi, że zabili Willa Thompsona? Niczym dla niej nie był. Nie zadawałaby się z jakimś bawełnianym łbem z Doliny.

— Słuchaj, synu. Ja wiem o wiele więcej od ciebie i proszę cię, żebyś tam nie wchodził. Kobiety to dziwne stworzenia i mężczyzna nie zawsze je rozumie. Nie mogę ci teraz nic powiedzieć, ale proszę, żebyś nie wchodził do domu. Wsiądź do wozu, zakręć i wracaj z powrotem do Augusty. Jedź, synu, zanim zaczniesz się bieda.

— Co ja mam z tym wspólnego? — zapytał ze złością Jim Leslie. — Will Thompson nie wchodzi tu w grę. Gryzelda nie mogła się zadawać z takim bawełnianym łbem.

— To, że jak mówisz, był bawełnianym łbem, też nie ma z tym nic wspólnego.

— Więc mnie puszczaj. Bardzo się śpieszę. Nie mam czasu tu stać i wyklócać się z tobą. Wiem, czego chcę, i po to przyjechałem.

Tay Tay pojął, że nie zdoła zatrzymać Jima Leslie, ale zdecydowany był uczynić wszystko, co w jego mocy, aby zapobiec awanturze. Uznał, że najlepiej będzie zawołać Bucka i Shawa i wspólnymi siłami zapakować Jima do auta.

Krzyknął do Bucka i czekał, nie puszczając ręki Jima. Ten rozejrzał się, czy Buck nie wyskoczy skądś lada chwila.

— To nic nie pomoże, bo ja się Bucka nie boję — powiedział Jim. — A w ogóle gdzie on jest?

— Kopie w dole.

Tay Tay zawołał znowu, nasłuchując, czy Buck się odzywa.

— Ciągłe szukacie złota — roześmiał się Jim Leslie. — I to nawet Buck i Shaw. Zdawałoby się, że do tej pory mogliście już wszyscy zmadrzeć. Powinniście wziąć się do roboty i coś uprawiać na tej ziemi. A wy

tyleście dotychczas działali, że tu usypujecie kupy piachu.

— Niedługo trafię na żyłę.

— To samo mówiłeś czternaście czy piętnaście lat temu. Z wiekiem wcale nie nabrałeś rozumu.

— Mam swój rozum, o którym ty nic nie wiesz, synu.

Zza węgła wyszedł Buck. Zdziwił się na widok Jima Leslie, ale podszedł bliżej, by się dowiedzieć, dlaczego go wołano. Przystanął w odległości paru kroków i podejrzliwie popatrzał na starszego brata.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Ja ciebie nie wołałem — odparł Jim Leslie. — Ojca zapytaj. To on cię potrzebuje.

Tay Tay zwrócił się do Jima:

— Słuchaj, synu. Jeszcze raz cię proszę, wsiądź do auta i wracaj do Augusty, zanim się zrobi awantura. Wiesz, że nie da się zatrzymać Bucka, jak już raz zacznie, a ja nie chcę u siebie burdy.

Czekał chwilę w nadziei, że Jim Leslie zastosuje się do jego prośby. Ale ten nic nie odrzekł ojcu. Nawet pojawienie się Bucka nie zdołało go odwieść od zapowiedzianego zamiaru.

— Synu — zwrócił się do Bucka Tay Tay. — Przyjechał Jim Leslie. Nie chcemy awantury. Zawsze jest u nas mile widziany. Ale jeżeli coś zacznie w domu, to... no, po prostu nie wejdzie i koniec.

Jim obrócił się do nich plecami i zaczął wchodzić na schodki ganku. W połowie drogi uczył, że ktoś wykręca mu rękę ze stawu.

— Nie pójdziesz! — powiedział Buck, puszczając go. — Zostaniesz na podwórku albo pojedziesz precz.

Tay Tay począł ryczeć do Shawa, żeby przybiegł na pomoc.

Rozdział 20

— Posłuchaj mnie, synu — powiedział Tay Tay do Bucka. — Jim Leslie przyjechał do nas i chce, żeby odjechał spokojnie. Przez całe życie robiłem wszystko, żeby mieć spokój w rodzinie, i nie mogę stać i patrzeć, jak się za łby bierzecie. Wy tłumacz Jimowi, że nie chcemy tu awantury. Jeżeli wsiądzie do auta, zakręci i wróci do Augusty, wszystko będzie w porządku i tak samo, jak było, zanim przyjechał. Nie wiedziałbym, co myśleć o samym sobie, gdybym pozwolił na to, żebyście, chłopcy, tarmosili się w moim domu.

Zauważył, że zza węgła przyglądają się tej scenie obaj czarni. Widać było tylko ich głowy, a białka oczu miały barwę wapna w słoneczny dzień. Kiedy usłyszeli, że Tay Tay woła Bucka, odgadli, że się na coś zanoszą, więc wyleźli z dołu, aby zobaczyć, jaka jest tego przyczyna. Słyszając, że Tay Tay nakazuje Jimowi wsiąść do auta, zawrócili i cichaczem skryli się za domem. Znalazszy się tam, ruszyli na palcach ku stajni, trzymając kapelusze w ręku i starając się nie oglądać przez ramię.

— Czego tu chcesz? — spytał brata Buck, zagradzając mu drogę na ganek.

— Nie przyjechałem, żeby z tobą gadać — odparł krótko Jim Leslie.

— Jeżeli nie chcesz gadać, to wynoś się stąd do cholery, a szybko.

— No, no, synu — powiedział Tay Tay.

Jim Leslie znowu odwrócił się i począł wstępować po schodkach na ganek. Buck nadal zagradzał mu drogę, ale Jim przepchnął się naprzód.

— Czekaj, ty sukinsynu!

— Skończcie z tymi awanturami! — zawołał Tay Tay. — Nie pozwolę u siebie na coś podobnego!

— Czeakać? — odparł bratu Jim. — A na co? Mnie się śpieszy. Nie mogę czekać.

Buck trzasnął go w szczękę, aż Jim zatoczył się na ścianę domu. Przysiadł na zgiętych kolanach i rzucił się na Bucka.

Tay Tay, widząc, co się dzieje, skoczył między obu synów, chcąc ich rozdzielić. Co chwila musiał uchylać głowę, aby nie oberwać którąś z czterech pięści rozlatanych dokoła niego. Udało mu się przyprzeć Jima do ściany, po czym spróbował przytrzymać Bucka.

— Czekajcie chwileczkę, chłopcy — powiedział. — Wszyscy trzej jesteście braćmi. Wiecie doskonale, że nie wolno wam bić się między sobą. Każdy z was powinien zachować spokój i życzyć sobie, żeby tak zawsze było. Chodźmy do stajni i obgadajmy wszystko na spokojnie, nie skacząc sobie do oczu jak te koguty. Mam wam to i owo do powiedzenia. Jeżeli tylko zachowacie spokój, wytłumaczę wam całą kupę rzeczy. To grzech i wstyd tak się awanturować. No, chodźmy teraz wszyscy do stajni.

— Zabiję tego sukinsyna! — warknął Buck, zniecierpliwiony gadaniną ojca.

— Nie wymyślajmy sobie wzajemnie — prosił Tay Tay. — Jestem przeciwny takiemu przeklinaniu między braćmi. Dobre to w odpowiednim czasie i miejscu, ale nie między jednym bratem a drugim.

Wydało mu się w tej chwili, że Buck byłby skłonny wysłuchać go, gdyby i Jim Leslie uczynił to samo.

— On tu nie wejdzie. Zabiję go. Wiem, czego szuka. Nie jestem durniem.

Shaw nie odzywał się dotąd, ale stał obok Bucka, gotów przyjść mu z pomocą w razie potrzeby. Ilekroć musiał wybierać, stawał po stronie Bucka. Tay Tay wiedział, że Shaw i Jim Leslie nigdy nie żyli z sobą zbyt dobrze.

— Te kłótnie o baby muszą się skończyć na mojej ziemi — oświadczył Tay Tay z nagłą determinacją. Wreszcie uświadomił sobie, że próby doprowadzenia do zgody są daremne. — Chciałem załatwić to na spokojnie, ale nie pozwolę dłużej, żebyście się brali za łby o kobity. To się musi zaraz skończyć. Ty, Jim, wsiadaj do auta i wracaj do Augusty. A wy, Buck i Shaw, złaźcie do dołu i kopcie. Patrzałem na te kłótnie, póki mogłem. Ale teraz wynoście się stąd wszyscy. Koniec z tymi burdami o baby na mojej ziemi!

— Zabiję sukinsyna — powtórzył Buck. — Ukatrupię go, jeżeli wejdzie do domu. Nie pozwolę, żeby tu przyłąził i zabierał mi Gryzeldę.

— Chłopaki, mówię wam, że te awantury o baby mają się skończyć. Róbcie zaraz wszyscy to, co wam kazałem.

Jim Leslie skorzystał z okazji, podskoczył do drzwi i już był w środku, zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać. Jednakże Buck biegł ledwie o trzy schodki za nim, a Tay Tay i Shaw także rzucili się w pogoń. Jim wpadł w pierwsze z brzegu drzwi, a potem do następnego pokoju. Nie wiedział, gdzie jest Gryzelda, zaczął więc biegać po domu, szukając jej.

— Trzymaj go, Buck! — wrzasnął Shaw. — Wpędź go do sieni... Nie daj mu uciec tylnymi drzwiami!

Kiedy w chwilę później Tay Tay wpadł do jadalni, zastał na środku izby Jima odgradzonego stołem od Bucka. Obaj obrzucali się przekleństwami. W kącie za przyciągniętym fotelem stłoczyły się wszystkie trzy dziewczyny. Gryzelda i Rozamunda szlochały, a Jill jak gdyby nie bardzo wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Tay Tay nie miał czasu przyjrzeć się im dokładniej, nie starał się też ich ochraniać, póki nie były w bezpośrednim niebezpieczeństwie, zaczął więc znowu wrzeszczeć na synów. Wkrótce jednak spostrzegł, że to bezcelowe; nie słuchali ani słowa i jakby w ogóle nie dostrzegali, że ojciec jest w izbie.

— Wyjdź z tego kąta, Gryzeldo — powiedział Jim Leslie. — Jedziesz ze mną. Wychodź i wsiadaj do auta, zanim cię będę musiał wyciągnąć.

— Stój, gdzie jesteś, i nie waż się ruszyć — rzucił przez zaciśnięte zęby Buck, nie spuszczać oka z brata.

Tay Tay w desperacji obrócił się do Shawa.

— Wołaj na pomoc Czarnego Sama i Wuja Feliksa. Sami nie damy mu rady.

— Zostań, Shaw — powiedział Buck. — Nie potrzeba mi niczyjej pomocy. Sam potrafię się z nim załatwić.

— Wyjdź z tego kąta, Gryzeldo, zanim cię stamtąd wyciągnę — powtórzył Jim Leslie.

— Przyjechałeś, żeby ją zabrać, tak? Dlaczegoś nic nie mówił na podwórku? Dobrze wiedziałem, o co ci idzie, ale czekałem, żebyś to sam powiedział. Przyjechałeś ją zabrać, co?

— Te burdy o baby muszą się skończyć — powiedział stanowczo Tay Tay. — Nie mam zamiaru dłużej tego znosić.

— Wychodź z tego kąta, Gryzeldo — powiedział Jim Leslie po raz trzeci.

— Zaraz zabiję sukinsyna! — krzyknął Buck.

Cofnął się, rozprostowując ręce.

— Te kłótnie o baby mają mi się zaraz skończyć! — zawołał znowu Tay Tay, grzmocąc pięściami w stół przedzielający obu synów.

Buck cofnął się do ściany i sięgnął po wiszącą na kołku strzelbę. Otworzył ją i zerknął, czy naboje są w lufach.

Kiedy Jim ujrzał broń w rękach Bucka, wypadł do sieni i przebiegł przez dom na tylne podwórko. Buck pognał za nim, wyciągając przed sobą strzelbę niczym węża na kiju.

Na podwórku Tay Tay pojął, że nie zdoła zatrzymać Bucka. Nie mógł mu wyrwać strzelby; Buck był za silny i odtrąciłby go bez trudu. Zamiast więc zbiec z ganku na podwórze, Tay Tay padł na kolana i zaczął się modlić.

Za nim przystanąły w sieni Gryzelda, Rozamunda i Jill; bały się zarówno iść dalej, jak i pozostać same w domu. Stłoczyły się za frontowymi drzwiami, zerkając przez szparę, aby zobaczyć, co dzieje się na podwórku.

Kiedy Tay Tay usłyszał, że Buck krzykiem nakazuje Jimowi stanąć, podniósł głowę, nie przerywając modlitwy; jedno oko miał rozwarłe ze strachu, a drugie przymknięte w suplikacji. Jim stał przed samochodem; mógł bez trudu schronić się za nim, ale przystanął w miejscu i zaczął wygrażać pięścią Buckowi.

— Teraz ją zostawisz w spokoju — powiedział Buck.

Strzelba już była wymierzona w Jima. Ze swego miejsca na ganku Tay Tay nieledwie widział, gdzie skierowana jest muszka, i przysiągłby, że czuje, jak palec Bucka zaciska się na cynglu. Przymknął oczy w modlitwie na sekundę przed detonacją. Gdy je otworzył, ujrzał Jima chwytającego rękami powietrze i prawie w tej samej chwili usłyszał huk drugiego strzału. Jim Leslie stał jeszcze przez kilka krótkich sekund, po czym zwinął się w bok i ciężko runął na twarde, białe piasek u stóp dębu.

W tej samej chwili Gryzelda, Rozamunda i Jill krzyknęły przeraźliwie za drzwiami. Tay Tay zamknął oczy, usiłując wydrzeć z myśli szczegóły tej strasznej sceny. Czepiał się nadziei, iż kiedy znowu otworzy powieki, okaże się, że wszystko to gdzieś zniknęło. Jednakże w rzeczywistości nie zmieniło się nic, tyle że Buck stał nad Jimem i wypychał w lufy nowe ładunki. Jim Leslie skręcił się i zwinął w kłębek.

Tay Tay zerwał się i wybiegł na podwórko. Odepchnął Bucka i pochyliwszy się nad Jimem, zagadał coś do niego. Bez niczyjej pomocy dźwignął syna i poniósł go na ganek. Podszedł Shaw i popatrzał na brata, dziewczęta stały w progu, zakrywając twarze rękami. Co chwila któraś z nich krzyczała przenikliwie. Buck siadł na schodkach, wypuszczając z rąk strzelbę.

— Powiedz, że nie umrzesz, synku — błagał Tay Tay, klękając obok Jima na podłodze.

Jim Leslie spojrział na niego i przymknął oczy w blasku słońca. Wargi jego poruszały się przez kilka sekund, ale Tay Tay nie mógł dosłyszeć żadnego dźwięku.

— Nie można mu jakoś pomóc, tato? — spytała Rozamunda, która pierwsza wybiegła z sieni na ganek.
— Co robić?

Uklękła obok ojca, przyciskając obie dłonie do krtani. Gryzelda i Jill przysunęły się nieco bliżej i spojrzały na Jima.

Tay Tay kiwnął głową Rozamundzie.

— Potrzyмай go za rękę — powiedział. — Tak by zrobiła jego matka, gdyby tu była w tej chwili.

Jim Leslie, poczuwszy jej dłoń na swojej, otworzył oczy i spojrział na Rozamundę.

— Możesz coś powiedzieć, synku? — zapytał Tay Tay. — Chociaż cokolwiek...

— Nie mam nic do powiedzenia — odrzekł słabym głosem, przyzymkając na powrót powieki.

Chustka, którą przykładał Tay Tay do rany, osunęła się z piersi Jima na podłogę ganku. Jim Leslie po raz ostatni otworzył oczy, które zaszklily się nieruchomo w słońcu.

Tay Tay powstał sztywno i zszedł na podwórko. Zaczął przechadzać się tam i z powrotem przed schodkami, gadając coś do siebie. Kroczył powoli od jednego węgła domu do drugiego, nie odrywając oczu od

białego piasku, po którym stapał. Gryzelda i Jill padły na kolana obok Rozamundy i klęczały, nie mogąc złapać tchu, póki szloch nie targnął ich za gardło. Tay Tay nie patrzył na nie. I tak wiedział, że tam są.

— Krew na mojej ziemi — wyszeptał. — Krew na mojej ziemi...

Ocknął się na odgłos kroków Rozamundy, która wbiegła do domu, zostawiwszy Gryzeldę i Jill. Podniósł głowę i ujrzał Czarnego Sama i Wuję Feliksa, którzy gnali przez pole do lasu za farmą. Na widok uciekających Murzynów Tay Tay po raz pierwszy tego dnia zastanowił się, gdzie może być Dave. Przypomniawszy sobie, że nie widział go od wczesnego rana. Nie miał pojęcia, dokąd poszedł, i było mu to obojętne. Jakoś da sobie radę bez niego.

Na najniższym schodku ganek siedział Buck z głową zwieszoną na piersi. Strzelba leżała na ziemi, tam, gdzie wypadła mu z rąk. Tay Tay odwrócił się, aby na nią nie patrzeć.

— Krew na mojej ziemi — szeptał.

Farma, którą widział przed sobą, była obrazem spustoszenia. Kopce czerwonej gliny i żółtego piasku, między nimi szerokie rdzawe wykopy, bura ziemia ogołociona z roślinności — wszystko tu było ruiną. Tay Taya stojącego w cieniu dębu ogarnęło ogromne znużenie. Nie czuł już siły w mięśniach, kiedy myślał o złocie ukrytym w ziemi na jego farmie. Nie wiedział, gdzie ono jest, nie wiedział, czy zdoła dalej kopać, nie mając siły. A przecież złoto tu było, bo na farmie znaleziono kilka bryłek; wiedział, że jest, ale nie miał pojęcia, czy będzie zdolny dalej go szukać. W tej chwili doznawał uczucia, że już nie warto nic robić. Przeżył swoje życie z mocnym postanowieniem utrzymania spokoju w rodzinie. Teraz to już nie było ważne. Nic nie miało znaczenia, bo oto na jego ziemi rozlana została krew — krew jego dziecka.

Wspomniał swoją rozmowę z Buckiem ubiegłego wieczora w jadalni.

“Cała bieda z wami, chłopcy, że jakoś tego nie chwyacie”.

Blask słońca poraził go w oczy i przypomniał o czym innym.

— Krew na mojej ziemi — powtórzył. — Krew na mojej ziemi.

Poprzez otwarte okna i drzwi słychać było płacz dziewczyn w domu. Kiedy Tay Tay przechadzał się tam i z powrotem, wyszły znowu na ganek i przystały, patrząc na niego.

— Jedź po przedsiębiorcę pogrzebowego albo doktora, albo ja wiem po kogo, synu — powiedział do Shawa, kiwając ze znużeniem głową.

Shaw wsiadł do samochodu ojca i ruszył w kierunku Marion. Stali na ganek i patrzeli, jak chmura żółtego pyłu osiada za autem na drodze.

Tay Tay starał się nie odrywać wzroku od podłogi, aby nie spojrzeć na swoją spustoszoną ziemię. Wiedział, że jeśli znowu na nią popatrzy, dozna uczucia skurczu w piersiach. Coś w tym widoku działało na niego odstręczająco. Już nie był taki jak dawniej. Wielkie kopce piasku zawsze wprawiały Tay Taya w podniecenie; teraz miał chęć odwrócić głowę i nigdy więcej nie spojrzeć w ich stronę. Nawet usypiska przybrały inną barwę, a gleba nie przypominała żadnej ziemi, jaką dotychczas oglądał. Nigdy nie było tam roślinności, lecz do tej chwili nie uświadamiał sobie jej braku. Na drugim krańcu farmy, gdzie była nowizna, rosło coś niecoś, bo gleby nie zawalono tam kopcami piachu i gliny i nie pokryto wielkimi, ziejącymi dziurami. Zaprzagnął mieć tyle siły, aby wyciągnąć ramiona i wszędzie wygładzić ziemię, zrównać ją, zasypać doły wykopany piaskiem. Własną bezsilność uprzytomniła mu myśl, że już nigdy nie zdoła tego dokonać. Uczuł ciężar w sercu.

— Synu — powiedział do Bucka, patrząc w dal. — Synu, szeryf...

Buck po raz pierwszy podniósł głowę i spojrzął przed siebie. Usłyszał te słowa i zrozumiał, co ojciec

chce powiedzieć.

— Och, tato! — krzyknęła z progu Rozamunda.

Tay Tay czekał, czy jeszcze czego nie powie. Wiedział, że nie ma już nic do powiedzenia. Nie mógł usłyszeć nic więcej.

Wstał i zaczął znowu przechadzać się przed Buckiem od węgła do węgła; usta miał zaciśnięte posepnie, w oczach bezradność.

— Synu — powtórzył, przystając przed schodkami. — Szeryf dowie się o tym, jak Shaw przyjedzie do miasta.

Dziewczyny zbiegły ze schodków. Rozamunda zarzuciła Buckowi obie ręce na szyję i przycisnęła go do siebie z całej siły. Gryzelda stała obok zapłakana.

— Dobry Bóg obdarował mnie trzema najładniejszymi dziewczynami, jakie człowiek miał pod swoim dachem. Łaskaw był dla mnie pod tym względem, bo wiem, że wcale sobie na to nie zasłużyłem.

Jill rozplakała się w głos. Wszystkie trzy stały teraz przy Tay Tayu, tuląc Bucka w ramionach.

— Dobry Pan Bóg uszczęśliwił mnie w ten sposób, ale też spuścił troskę na moje serce, ażebym za to zapłacił. Widać dobre i złe rzeczy zawsze muszą chodzić ręka w rękę. Nigdy nie można mieć jednych bez drugich.

Gryzelda przyciskała głowę Bucka do piersi, gładziła jego włosy i całowała po twarzy. Błagała, żeby się odezwał, ale on przymknął oczy i milczał.

— Gdzieś nam zrobiono paskudny kawał — mówił Tay Tay. — Pan Bóg powsadzał nas w ciała zwierząt, a kazał postępować jak ludziom. Tu był początek całej biedy. Gdyby nas stworzył takimi, jakimi jesteśmy, ale nie nazwał ludźmi, nawet ostatni z nas wiedziałby, jak żyć. Człowiek nie może żyć, czując się w środku sobą, i jednocześnie słuchać księży. Nie może robić obu rzeczy naraz, tylko jedno albo drugie. Może żyć albo tak, jak go stworzono, i czuć się sobą od środka, albo też tak, jak uczą księża, i wtedy musi być w środku martwy. Od początku ma w sobie Boga, ale jeżeli zacznie żyć, jak przykazują księża, musi z tego wynikać bieda. Nie byłoby tego całego nieszczęścia, gdyby chłopcy postępowali wedle moich wskazówek. Dziewczyny to rozumieją i chcą żyć, jak im Bóg przykazał, ale chłopaki idą gdzieś sobie, wysłuchują głupców i wróciwszy, próbują postępować wbrew Bogu. Bóg stworzył ładne dziewczyny, stworzył też mężczyzn, i już. Ale jeżeli ktoś próbuje wziąć kobietę albo mężczyznę i zatrzymać tylko dla siebie, to z tego musi wynikać bieda i zmartwienie do końca życia.

Buck wstał i rozprostował ramiona. Jedną ręką objął Gryzeldę, która przywarła doń i okrywała go pocałunkami.

— Tak się czuję, jakby dla mnie przyszedł koniec świata — rzekł Tay Tay. — jakby mi się ziemia spod stóp usunęła. Jakbym tonął i nie mógł się wyratować.

— Nie mów tak, tato — powiedziała Jill, tuląc się do ojca. — Nie mogę tego słuchać.

Buck uwolnił się z objęć Gryzeldy i oderwał od siebie jej ręce. Rzuciła się na niego jak szalona. Nie mógł się ruszyć w jej uścisku.

— Synu — powiedział Tay Tay, patrząc ku polu pokrytemu wysokimi kopcami ziemi. — Synu, szeryf...

Buck pochylił się i zaczął całować Gryzeldę w usta, tuląc ją mocno i długo do siebie. Potem odepchnął ją.

— Buck, gdzie idziesz? — wykrzyknęła.

— Na spacer — odparł.

Osunęła się na schodki i zakryła twarz dłońmi. Jill usiadła obok i położyła sobie jej głowę na kolanach.

Buck zniknął za węglem domu, a w chwilę potem ruszył za nim z wolna Tay Tay. Buck przelazł przez płot za studnią i poszedł polem prosto jak strzelił ku nowiźnie na drugim krańcu farmy. Tay Tay przystanął u ogrodzenia. Nie szedł dalej; stał oparty o płot, a Buck z wolna kroczył przez pole ku nowiźnie.

Tay Tay przypomniał sobie, iż przeniósł poletko Pana Boga pod dom, i tym bardziej dojmująco uświadomił sobie, że na nim właśnie został zabity Jim Leslie. Ale w tej chwili Tay Tay myślał o Bucku i nagle postanowił, że poletko Pana Boga musi iść za Buckiem i zatrzymywać się tam, gdzie on przystanie, tak aby zawsze był na nim. Patrzał za synem odchodzącym ku nowiźnie i rad był, że w porę pomyślał, aby poletko Pana Boga szło za Buckiem wszędzie, zatrzymywało się tam, gdzie on, tak aby jego syn ciągle był na nim, dokądkolwiek się uda.

— Krew na mojej ziemi — powiedział głośno. — Krew na mojej ziemi.

Po chwili Buck zniknął mu z oczu, zawrócił więc ku domowi i podszedł do krawędzi wielkiego dołu. Kiedy zjrzał do niego, uczył palące pragnienie zejścia na dno i chwycenia za łopatę. Z wolna zsunął się do wykopu. Grzbiet miał trochę zeszywniały, a kolana miękkie. Postarzał się, kopiąc te doły. Niedługo już będzie za stary, by kopać.

Podniósł łopatę Shawa i zaczął wyrzucać przez ramię spulchnioną ziemię. Trochę jej osuwało się na powrót, ale większa część zostawała na wyższym występie. Kiedy go całkowicie zasypie, będzie musiał wdrapać się tam i przerzucić ziemię na następny z kolei. Wkopali się już tak głęboko, że teraz trzeba było przerzucać ziemię kilka razy, nim wreszcie znalazła się na wierzchu. Prócz tego dół poszerzał się coraz bardziej. Jeżeli nie wyrąbią w lesie dodatkowych podpór i nie przywleką ich mułami, dom może się zawalić. Jutro rano trzeba będzie posłać Czarnego Sama i Wuja Feliksa z mułami, ażeby przyciągnęli ze sześć albo siedem dużych kłoców.

Nie wiedział, od jak dawna kopie, gdy wtem usłyszał głos Gryzeldy wołającej go z góry.

— Co tam, Gryzeldo? — zapytał, opierając się ciężko na łopacie.

— Gdzie strzelba, tato? — pytała Gryzelda. — Nie widziałeś jej?

Odczekał chwilę, zanim odpowiedział. Był nazbyt zmęczony, by mówić, nie odpocząwszy trochę.

— Nie, Gryzeldo — odrzekł wreszcie. — Nie widziałem. Nie mam teraz czasu pomóc ci szukać.

— Więc gdzież ona może być? Leżała tu na podwórku, a teraz jej nigdzie nie widzę.

— Gryzeldo — powiedział, opuszczając głowę, aby na nią nie patrzeć. — Gryzeldo, jak Buck szedł na spacer, to zabrał strzelbę ze sobą.

Nad krawędzią wykopu zaległo milczenie; po chwili Tay Tay podniósł głowę, aby zobaczyć, czy Gryzelda jeszcze patrzy na niego. Nie było jej widać, natomiast wyraźnie słyszał głos Miłej Jill i Rozamundy rozmawiających z podnieceniem gdzieś na górze. Pochylił się nad łopatą i wcisnął ją stopą w glinę, zastanawiając się, kiedy nareszcie wróci Shaw, aby mu pomóc kopać.